

# HISTORIA

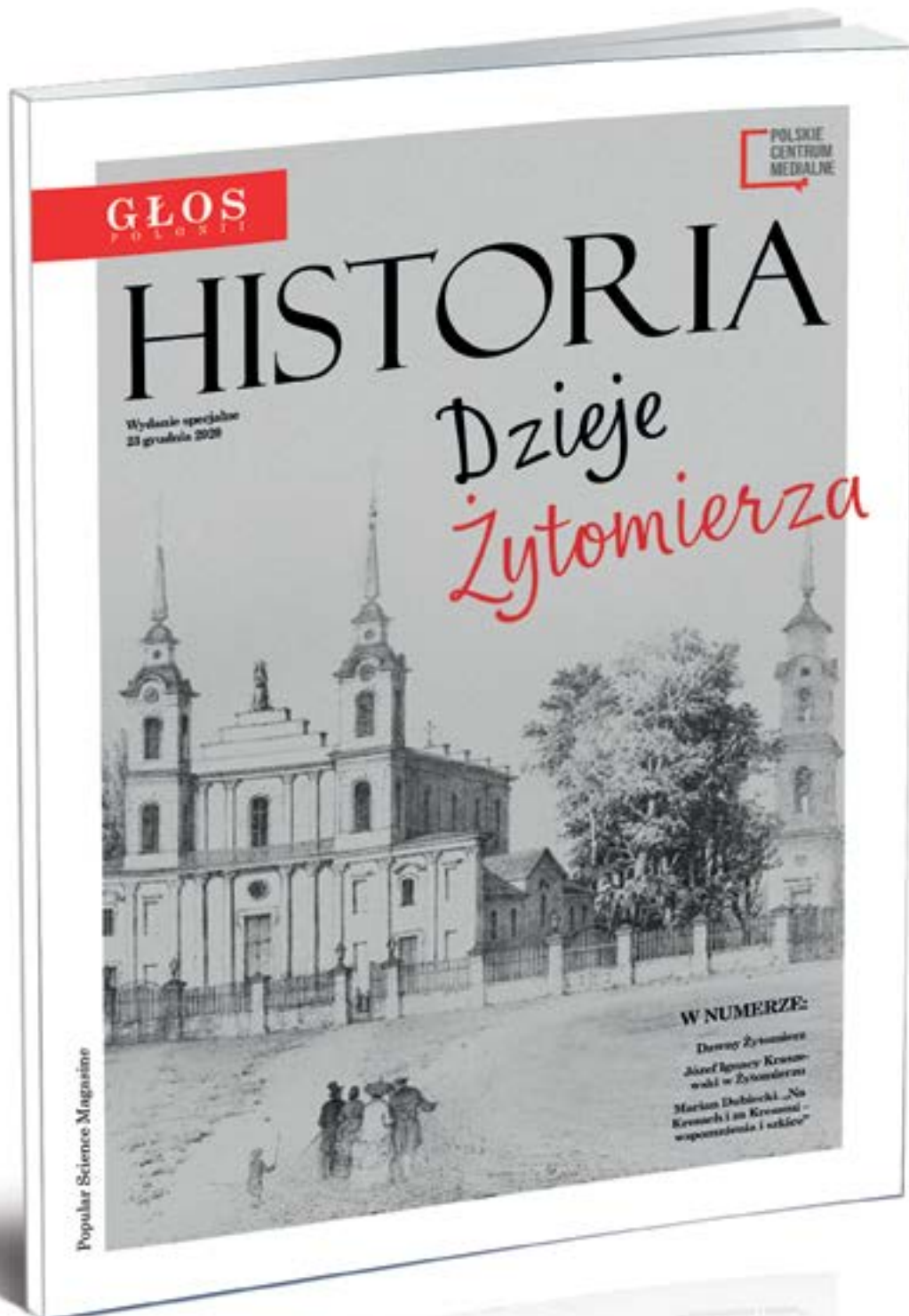
Wydanie specjalne  
15 czerwca 2021

GŁOS  
POLONII

## Dzieje Żytomierza



JEDYNIĘ PRAWDA JEST CIEKAWA



■ TREŚĆ

2. **Żytomierz**  
Wieczory wołyńskie
18. **Skała Czackiego w Żytomierzu**  
Dawna legenda mrożąca krew w żyłach
20. **Klasztor Sióstr Szarytek w Żytomierzu**  
Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo
22. **Powstanie 1863 roku na Ukrainie wybuchło w maju**  
Największe bitwy toczono pod Żytomierzem
34. **Lwica z Żytomierza**  
Anna Henryka Pustowójtówna
40. **Skok stulecia, czyli Skarbiec Królestwa Polskiego w rękach powstańców**
42. **O Karolu Różyckim w 190-lecie Powstania Listopadowego**  
„Ktokolwiek czytał Pamiętniki Jazdy Wołyńskiej i wspomnienia jego emigracyjnych przyjaciół miał uczucie, że zbliża się do czegoś większego, niż nauka, talent i sława, bo do wielkiej duszy ludzkiej. Uczucie to mieli także społecześni; miał je Adam Mickiewicz”.
46. **Decydująca bitwa w dziejach Rzeczypospolitej Zwycięstwo polskiego oręża pod Cudnowem koło Żytomierza**
48. **275. rocznica powstania Katedry św. Zofii w Żytomierzu**
50. **Kościół i klasztor Jezuitów w Żytomierzu**
52. **Józef Brandt. Zmiażdżony przez Sienkiewicza**  
180. rocznica urodzin wielkiego malarza. Cztery wątki biografii
56. **Rosyjski ślad w twórczości Henryka Sienkiewicza**
58. **Czy ostatni król Rzeczypospolitej został otruty? Tajemnicza śmierć Stanisława Augusta**
62. **Róża Czacka a Żytomierz**  
Wszystko zaczęło się w stolicy guberni wołyńskiej
64. **Pakt Piłsudski-Petlura**  
Spotkania Marszałka i Atamana w maju 1920 roku na Ukrainie

# Żytomierz

## Wieczory wołyńskie



**Józef Ignacy Kraszewski,**

polski pisarz, publicysta, wydawca, historyk, encyklopedysta, działacz społeczny i polityczny

**N**

azwisko miejsca wskazuje starożytną osadę, mylą się tylko ci co od miary wywodzą Uszomierz i Żytomierz, znaczyć to musiało ze sławiańska mir, świat Żytni i świat nad Uszą. Rzeczywiście okolica miasta wcale nie pszenna, a domyślając się z tego co dziś jest, tego co to dawniej być musiało, raczej by światem lasów nazwać wypadało stolicę naszej prowincji. Ze wszystkich prawie stron puszcza okrąża miasto, osłania je, i nie dawnymi jeszcze czasami wchodziła prawie w środek siedziby.

Od dawnego przyjazdu na Wilsk sosnowe bory niemal wrosły w przedmieścia, z drugiej strony po za Teterowem i Kamionką, stoją jeszcze na wybrzeżach ich szczątki, pod Staniszówką także las blisko. Codzień go mniej, bo człowiek wycina nielitościwie, ale jakaż to szkoda! Bez drzew pustka wszędzie, goło, nago, z niemi i weselej i milej, a później zasadzać przyjdzie to, co się nierozważnie wytrzebiło.

Położenie miasta na brzegach dwóch rzek nie wielkich i nie wspaniałych, w głębi puszczy i kraju, który nie był bardzo zaludniony, nie obiecywało wielkiego życia. Żadna wielka droga handlowa nie przechodziła tędy z dawna, punkt sam z siebie nie był strategicznie ważny, wręcz Żytomierz nie jednoczył obywateli kijowskich, którzy w grodzie ś. Włodzimierza mieli ówczesną stolicę swoją; miasteczko też wcale nie rosło i nie podnosiło się aż do końca XVIII wieku.

Jeżeli się nie mylę, gród tutejszy i osada sięgają najdawniejszych czasów, ale należały do pomniejszych i niczem się nie odznaczały, żadnych też tu starożytnych pamiątek, żadnych śladów życia którego mniej było niż dzisiaj. W początku XIV. wieku na jednej z gór miasta dziś pustej, maleńkiej jak wszystkie dawne na których się wznosiły zamczyska, stała twierdza, zdobyta w pochodzie litewskim Gedeminowym na Kijów. O zdobyciu jej na równi z innymi zamkami kijowskimi, zaledwie jest wzmianka. Miejscowe podanie i wszelkie prawdopodobieństwo wskazuje górę zamkową, tam gdzie później na wyniosłości, podniesionej dosyć i bardzo piękny na Kamionkę i okolicę widok przedstawiającej, założono ogród publiczny, który dziś zniszczał i ledwie kilka zeń drzewek zostało.

Głucha jednak wieść dozwala się domyślać że na drugim brzegu Teterowa, był gdzieś w okolicy zamek starszy jeszcze, którego ślady w okopach tylko, zarosłych lasem, zostały.

Nie wiemy który z nich zdobyty był przez Gedymina. Z późniejszych dziejów wiemy o oddaniu zamku zapewne z okolicznymi włościami, później tak zwane Starostwo składa- jącemi, przez Witolda Skirgielle. Było to w końcu XIV. wieku; przez cały piętnasty głucho i słowa dopytać się nie można o Żytomierz, który w ciszy swych lasów wegetował. Ludność jego składała się z mieszczan, tylko małe powinności odrabiających do zamku, trochę żydów zapewne, i jakiejś załogi niewielkiej. Oprócz zamku którego ślad nie został, bo być musiał drewniany, żadnej starej budowy, żadnej fundacji cerkwi ni kościoła.

Zwykle miasteczkom udzielane przywileje wspominają z początku XVI. wieku uwolnienie od myt przy wwożeniu zapasów żywności do miasta. W r. 1545 jest ślad że zamek się spalił a z nim starsze jego nadania; z tego powodu dowiadujemy się o opłacanej z tąd daninie do Kijewo - piecherskiego monasteru, zapewne Skirgiełowej fundacji, o obowiązku mieszczan kosze nia łąk na potrzebę zamkową, a choć się tu nie wspomina o innych powinnościach do zamku, straży, poprawy budowli i t. p., te same przez się rozumieć się zwykły. W ciągu tego wieku nic nie zwiastuje aby się jakie życie obudzać miało, w połowie jego wiemy tylko o dwóch młynach na rzekach Teterowie i Kamionce, i dziś jeszcze istniejących, później nieco spór między mieszkańcami a Wojewodą Kijowskim, Tyszkiewiczem rozstrzyga naznaczona komisja. Jak zameczek ten małej był wagi w militarnym względzie, dowodzi że w spisie zamków, opatrzonych działami i prochami za Stefana Batorego, nie znajdujemy wcale Żytomierza...

Ustanowiono wręcz w 1596 dwa dwutygodniowe jarmarki, które jednak nigdy znacznymi nie były. Starostwo z miastem w 1605 dano X. Januszowi Zasławskiemu, a w rok później w Maju 22. napad tatarski zniszczał je zupełnie. Mnóstwo ludu okolicznego popędzono w niewolę, miasteczko na długo opustoszało.



Z opisu zamku, przy zwykłych lustracjach zrobionego w lat kilkanaście później, zdaje się że go musiano wyre-stauować nieco.

Budowa to była drewniana, opasana wałem wysokim, jedna strona stromej góry przypierająca do małej rzeczki Kamionki, w pośrodku stał dworzec królewski, a raczej Starościński, po rogach piec baszt i trzy bramy. Z obejrzenia miejscowości która okolicy panuje, trudno jednak pojąć dla czego tu na zamek miejsce początkowo obrano. Kamionka usiana bryłami skal, latem jest prawie sucha i nieosłania wcale, z innych stron łatwo się było dostać na pagórek choć nieco stromy, gdy zwyczaj i miejscowość wskazują w widłach Teterowa i Kamionki, u ujścia jej najwłaściwsze na gród położenie. Wprawdzie wiosenne wody szeroką tu chwilowo przestrzeń zajmują, ale sypano kopce gdzieindziej, i tu się podnieść było łatwo. Do Starostwa które razem z miastem chodziło, kilka wsi sąsiednich się liczyły: Staniszkówka nad Teterowem, Słazinka (?) Pyszczce, Wacków, Baryszówka.

W połowie XVII wieku, w czasie wojen Chmielnickiego znowu zniszczony został Żytomierz ogniem i mieczem (w 1648 r.) a ten napad równie jak poprzedzający, przyczynić się musiał wielce do wstrzymania późniejszego jego wzrostu, ku któremu też żywiołów nowych nie było.

W 1667 r. przeniesienie sądów ziemskich z Kijowa do Żytomierza, nadały mu niejaką ważność i były jakby przepowiednią późniejszego dźwignienia na stolicę prowincji, co jednak nie rychło nastąpić miało. Szlachta poczęła tu mieć dworki swoje, które stały się później jądrem miasta w XVIII. wieku.

Do XVIII. wieku nie mamy nawet śladu czy był jaki kościół, i inne prócz drewnianych dwóch cerkiewek odwiecznych; w tym czasie dopiero wprowadził tu około 1761 r. XX. Bernardynów starosta tutejszy, Kajetan Iliński, a biskup Żałuski Panny miłosierdzia. Jezuici takie klasztor i kościół budować zaczęli, a oficjał Prymowicz cerkiew założył porządniejszą.

W 1796 r. nareście przy nowych rozporządzeniach kraju, Żytomierz stał się stolicą prowincji, dziwnie wy-

braną, bo na krańcu jej położony, oddalony niezmiernie od skrajnych jej powiatów przeciwległych, odosobniony całkiem, z trudnością wejść z nią może w związek jakiby istnieć powinien między ogniskiem rządowym a krajem rządonym.

Miasto jak dziś jest całkiem nowe, smutne tem, że żadnych w niem prawie nie znajdujemy pamiątek, tworzy się i wyrasta w oczach naszych codziennie powiększając i zaludniając powoli. Teraz ono z ludnością ruchomą od dwudziestu kilku do trzydziestu tysięcy liczy; domy wznoszą się codziennie prawie nowe, place zabudowują, i niedawny jeszcze pozór lichy samego środka miasta, dziś obiecuje bardzo porządne.

Nie sądzicie wszakże żeby to już dziś było miasto na wzór zagranicznych, takie jak inne prastare, całkiem to co innego i ta oryginalność według mnie jest właśnie jego głównym wdziękiem. Przybywając od strony Cudnowa gdy z lasów się wychylisz, postrzegamy na niezmiernej przestrzeni rozciągnięte bielejące domy, cerkiewki, gmachy podnioslejsze i Żytomierz wygląda ztąd niezmiernie okazałe. Ale wpośrodku tego rozległego miasta, jak w prastare czasy, ogromne znajdziesz sady, ogrody, folwarczki, i nieraz ujrzysz spokojnie orzący pług obok piętrowej kamienicy. Jeszcze niedawno w samym rynku stały zajezdne domy żydowskie o wysokich dachach, o gankach malowniczych, ścianach zapadłych, czarne, straszne a odrapaniem swem piękne, które niemal gwałtem zrzucić musiano, gdy je zewsząd mury nowe ścisnęły. Teraz już wpośrodku ich nie ma, ale na Wilekiej ulicy, po mniejszych przejściach, nad Kamionką, stoją jeszcze prastare domostwa, próbki tego, czem dawniej był Żytomierz. Zapewne dla wygody mieszkańców, dla ich przyszłości lepiej to daleko, że się tak dziś wykwintnie budują, ale dla oka malarza, szukającego czegoś niespodzianego w linjach, w kolorycie, kształtach, te kletki stare i walące się, nieoszacowanym były skarbem.

Dalej dalej już ich wzorów nie będzie gdzie szukać... a myśl nigdy tak obfitą nie jest, by stworzyć mogła coś równie fantastycznego... Pan Bóg te kletki umyślnie musiał też



#### KOŚCIÓŁ ŚW. JANA Z DUKLI W ŻYTOMIERZU

Kościół św. Jana z Dukli (inaczej zwany seminaryjnym) powstał w latach 1828–1841, po tym jak spłonęła drewniana świątynia ufundowana przez starostę żytomierskiego Jana Kajetana Ilińskiego w XVIII wieku. Obok kościoła już w czasach polskich istniał klasztor bernardynów, skasowany w 1842 przez władze w Petersburgu.

dla rysowników i malarzy kazać stawić. Co to za różnorodność w nich, jakie niespodziane szczegóły, ile niepojętych dla budowniczego nowych czasów pomysłów. Często dom jedną ścianą utkwiony na palach wysoko, nigdy jak dziś w regularny kształt pudełka do chowania ludzi nie staje. Musi się wyłamać w prawo i lewo, jednym skrzydłem niżej, drugim podniosłej. Dach posłuszny wygina się także fantazyjnie, i przedstawia to przyczółki, to ganeczki, to okienka różnie w nim poprylepiane. Do koła co wschodków i galeryjek ażeby mieszkania z sobą połączyć, to pnących się na poddasze, to spuszcających w podziemia.

Dodajmy do tego koloryt, drzewo poczerńiałe miejscami, siwe gdzieindziej, złociste tam, kędy je podsztukowano, kawałki tynku pstrzące budowę, cegłę i kamień obnażone, a przyznać będziemy musieli że dla malarza taka stara ruina nierównie piękniejsza od białego kwadratowego domu, pomalowanego zielono i różowo... Ale już dziś w Żytomierzu nawet po małych poczciwych uliczkach gdzie się dłużej stare życie trzyma, nie łatwo znaleźć co podobnego, potrzeba iść nad Kamionkę aż, gdzie codziern wali się taka ruina, a porządny dom bez charakteru zastępuje ją zaraz. To czyni miasto podobnym koniec końcem do norymberskich zabawek dzieciennych jaskrawo malowanych...

Dotąd jednak główne nawet ulice wyjąwszy środek miasta, nie są całkiem regularnie, dzięki Bogu, zamurwane i zastawione. Pomiedzy dwoma kamienicami o trzech piętrach nagle spotykasz dworek szlachecki, staruszek z gankiem na słupkach, obórki, stodołki, ogród lub plac pusty; dalej drzewa i i zagony w środku nowo wykreślonej drogi przyjemnie ci wieś przypominają. Na bokach, trochę dalej po skrajach gdzie jeszcze dobrodziejstwo bruku niesięgnęło, a błota używać mogą mieszkańcy ile chcą, pełno takich niespodzianek. Chata prosta wieśniacza, buda żydowska niewiedzieć z jakich szczątków zlepią,

pole okryte ścierniskiem, sad owocowy, młyn wietrzny, kilka drzew i szpaler w poprzek drogi nowej, rów śmieciem zarzucony, resztki ogródka kwiatowego... i t. p.

Niknie to wszystko aż nadto szybko przy ogólnym wzroście, ale przecie nam żal że z zupełnie indywidualnej fizjonomii, wkrótce się utworzy spłowiała i pospolita...

Ogromną przestrzeń zajmuje miasto, kończące się na wszystkich strony nie przedmieściami ale wiejskimi folwarczkami, chatami rozpierzchłemi po laskach, domkami w sadach, tem co dawniej stanowiło miasto całe.

Okrążają je takie posiadłości mieszczan dawnych, w których jeszcze nie ma willi na sposób zagraniczny, ale są dworki i chałupy prastare. Wiele drzew i zieleności nadają tym krańcom wesołą minę ogrodu. W miarę jak się zbliżamy do środka i rynku, znikają dworki i drewniane budynki, a nowe mury, zewsząd się wznoszą. Tu już choć porządnie, ale szkoda powiedzieć żeby było pięknie – kamienice! Nie ma nic na świecie mniej dla oka powabnego nad uczciwą kamienicę w miasteczku. Cztery ściany i dach, w ścianach dziury, o więcej nie pytaj. Wielkim przepychem są sztukaterje i gipsatury, a na froncie albo dwa lwy izraelskiego plemienia męznego, godło dziś uzurpowane, albo herby i daty. W gotycyzm, naśladowany z francuskich stołowych zegarów, jeszcześmy się wdawać nie poczęli, ale że to przyjdzie z czasem, mamy niepłonną nadzieję. Styl ten trubadurów już się powoli choć bojaźliwie objawiać zaczyna w strzałkowatych oknach i gankach. Rynek niewielki, stary, od którego wiodła dawniej do zamku ulica, dziś zwana katedralną, już otoczyły murowane domy. Z jednej strony stoi dawny po-bernardyński, dziś seminaryjny kościół, założony przez Ilińskich, a przed kilkudziesięciami laty skończony. Budowa to niekształtna i tak nieszczęśliwie wykonana, że niemal przed pokryciem już się w niej mury potrzaskały.

Zasklepić jej nie było można, potrzeba było popodpierać szkapami, i nie wiem czy i tak długo postoi. Wnętrze dzieli się na główną nawę i dwie węższe boczne, ozdobione wedle możliwości miejscowej ludności, przykładnie pobożnej i licznie do dwóch naszych kościołów uczęszczającej. Nie piękne to ale widać w wielu rzeczach bogobojne staranie i troskliwość w utrzymaniu. W bocznym ołtarzu z prawej strony jest obraz N. Panny, dawniej tu zamieszkałego artysty Frań. Zawadzkiego, który jest jednym z jego najlepszych; jego także roboty święty Józef, i wielki, przygotowany do głównego ołtarza obraz Przemienienia Pańskiego ze szkicu Warszawianina Tegazzo [1]). Ostatniego i ś. Filomeny, wiszącej na jednym z filarów, przy najlepszych chęciach pochwalić trudno; wykonane pospiesznie, wcale nie zwracają oka i nie podnoszą duszy. P. Franc. Zawadzki, człowiek nie bez talentu, dosyć długo mieszkał w swoim rodzinnym mieście Żytomierzu, ale że tu i dla jednego artysty trudno znaleźć roboty, a zdawało mu się że gdzieindziej będzie lepiej, powędrował do Moskwy. Szkoda go ze wszystkich względów... choć go już mamy czym zastąpić. Dziś by może i pracę tu znalazł, a taki na swoim śmieciisku nawet przyboleć lżej każdemu... Może być że w większym mieście znajdzie pomocniczych więcej środków, wzory, miejsce dogodniejsze, gdy tu większe obrazy w stajni malować musiał - ale serc tak sobie życzliwych jakie utracił, trudno by tam znalazł u obcych... Zawsze z nas każdemu zdaje się że gdzieindziej lepiej mu będzie, mamy skłonność do szukania w zmianie miejsca urzeczywistnienia marzeń, ale jakże rzadko człowiek nie płacze po utraconem! Dla artysty w istocie Żytomierz był miejscem dosyć niedogodnym, zamiłowanie sztuki ledwie się tu rozbudzać zaczyna, a najpierwszych potrzeb braknie zupełnie. Że brak nawet swej siwej brody i nachmurzonego czoła nie zechce dać za wzór, cóż mówić o innych! a portrety które się maluje w sztywnych mundurach i najświeższego kroju sukniach, wcale nie są powabne.

W niedzielę szczególnie na wielką mszę do kościoła seminaryjnego schodzą się licznie pobożni. Kazanie miewa zwykle jeden z seminarzystów lub księży profesorów. Trzeba przyznać w ogóle Żytomierzowi, że ma poczciwego ducha wiary i do kościoła idzie dla potrzeby! nie dla roztargnienia i zwyczaju. Żadna pora roku nie zmienia liczby mieszkańców, którzy się tu przywykli modlić, a w katedrze miejsca sobie dla szczupłości jej znaleźć nie mogą.

Wyjawszy kilku excentryczniejszych ubrań, zwracających oczy, ogół pobożnych skromny, i składa się jak sama ludność Żytomierza, z urzędników i klasy średniej. Nie ma tu tego wychodzenia i przychodzenia wśród nabożeństwa, które tak nieprzyjemnie po wielkich miastach uderza, przybyli przede mszą, wychodzą razem po niej.

Wszędzie prawie przy kościołach oprócz ubogich trafiają się sklepiki z różnymi do nabożeństwa służącymi przedmiotami, obrazkami, krzyżkami, medalami, świeczkami i t. p. Tu u nas nietylko palmy w kwietnią niedzielę sprzedają się w kruzganku, ale w podwórzach obu kościołów, szczególnie przy katedrze, jest zwyczaj wystawienia na sprzedaż najrozmaitszych rzeczy. I tak trafia się spotykać w bramie, meble, wazony, stare suknie, najrozmaitszy sprzęt domowy, którego się ubóstwo pozbywa, a nawet czasem i książki.

Wieleż to ciekawych i rzadkich edycji naszych ksiąg kupili moi znajomi pod kościołem. Jest to termin uświęcony, sprzedaje się i kupuje mnóstwo rzeczy pod kościołem; wynoszą pod kościół co kto ma do zbycia, a na co gdzieindziej o kupca trudno. Często u katedralnych

wrót przy barjerze widok ztąd najosobliwszy. Tu kupką leżą książki, dalej stary kapeluszek kobiecy ze słowiańskimi wstążkami, kilka wazonów porcelanowych, obrazek z szkłem, stolik bez nogi... Przed wielkanocnymi świętymi, zjawiają się tu całe zastępy form papierowych do bab, i baranki z chorągiewkami. Mniej tego targu przed Bernardynami, ale i tu się spotyka. Nie jest to jeszcze frymark i handel grosza chciwy, którego by należało zabronić, po większej części ubóstwo tylko, pilna potrzeba, naglący niedostatek, chwytają się tego środka.

Żydów tu prawie nie widać, a pozor i fizjonomia sprzedających świadczą o ich niewinności. Grosz który tu dostaną, oczekiwany jak jałmużna, często na kupienie chleba służy.

Zwyczaj ten nigdzie mnie tak nie uderzył, i nigdzie do takich rozmiarów zdaje mi się nie doszedł jak tu, gdzie inaczey sprzedaż trudna, kupiec nie wiedziałby gdzie szukać takich biednych towarów.

Jeden z przedmiotów który na mnie największe tu czynił wrażenie, to ta biedne wazoniki, stojące z jakimś wstydem na bruku ulicznym, przywykłe do czystej szyby okienka, do ciepła pokoju, do zacisznego kątku... Jest coś niezmiernie smutnego w tych biedakach, często na chłodzie proszących aby je kto kupił i przygarnął. Na widok pieszczonych tych roślinek przychodzi na myśl izdebka, którą zazieleniały, życie jakieś nieznanne a biedne co się i tej pociechy kwiatka wyrzec musiało... chciałoby się kupić je by oddać temu co niemając już nic zbytkownego, tych gości wiosennych poświęcił gwałtownej

Trzeba przyznać w ogóle Żytomierzowi, że ma poczciwego ducha wiary i do kościoła idzie dla potrzeby! nie dla roztargnienia i zwyczaju

potrzebie. Inne wrażenie czyni stary kapeluszek kobiecy który trąci nierządem, choć nie zawsze w skutek jego przybywa się popisywać na barjerze, inne książki odarte, rzucone na bruk wśród których kupy nieznannej

czasem i drogi brylant się trafia. Ktoś tu przecie kupił Possewinową Moscowję [2], i to Wileńskie wydanie! Znam bibljomanów co tu uczęszczają regularnie, z wielką przebiegłością udając obojętnych przechodniów, aby żydek na ich fantazją bibljomanów nie nakładał haraczu. Z rynku przed Bernardynami widać szeroki plac przez który bieży szosse, a po nad nim mury cerkwi, niedawno jeszcze wieżą nową górującą nad miastem. Jest to zaprawdę ciekawy dowód jak się to u nas nieopatrznie budują, mamy przykład tego na kościele bernardyńskim, i na cerkwi nowej. Zdaje mi się że mury, z których ją przerobić chciano na większy i lepiej potrzebom miasta odpowiadający gmach, musiały pochodzić z cerkwi fundowanej przez oficjała Prymowicza [3]. Tę tedy rozszerzyć przedsięwziąwszy, u wnijścia dano na planie bardzo podniosłą wieżycę, ale nie zastosowano do niej fundamentów, i zdaje mi się że główne wnijście zbyt dano obszerne, a nie starannie zasklepione. Gdy więc już mury niemal pod dach się wznosiły, a wieża była ukończoną, pokazały się niebezpieczeństwo zwiastujące rysy po nad drzwiami... aż w wigiliję ś. Antoniego, pięknej nocy czerwcowej wśród ciszy wiosennej, wieża nie runęła, ale się zsunęła i opadła... Szczęściem nikt życia nie postradał, bo się już miano na ostrożności. Teraz pozostały mury nadwężone wstrząśnieniem, z których niewiadomo czy co zrobić będzie można.

Na placu tym nieco dalej, jest tymczasowa drewniana cerkiewka, wielkie kramy drewniane, także jatki... i domek



**ŻYTOMIERZ**

Główny plac miasta w XIX w.

przytulku dla sierot. W przyszłości może to być, gdy się obuduje i ozdobi, wcale piękny rynek, ale dziś z tą ruiną świeżą, z nieregularnymi resztkami Wilskiej ulicy, dosyć niepozornie wygląda. W inne strony rozchodzą się ztąd od seminarijnego gmachu ulice: Kijowska, Katedralna, Berdyczowska, Cudnowska, w różnych przeciw sobie kierunkach. My pociągnięci malowniczością jej, niestety pójdziemy naprzód starą ową Cudnowską uliczką, która nad Kamionkę prowadzi. Dawniej była to najporządniejsza z ulic i znać to po domach, że się tu naprzód staranniej budować zaczęto... Przy niej stał wielki gmach jezuicki w części rozebrany, a w części obrócony na więzienie. Od miasta idąc, prześliczny tu widok na okolicę, która najbardziej jest malownicza... Ulica nagle spada z dosyć znacznej wyniosłości ku rzece, po za którą w oddaleniu widać brzegi jej okryte lasami, ozienione, oblane niebieskawym powietrzem. Już się tu przeczuwać daje cały wdzięk tego pejzażu nad Teterowskiego.

Widok z wierzchołka ulicy nagle spadający, na lasy świeże, zielone, piętrzące się na wzgórzach, ten spoczynek dla oka wśród natury niepopsutej przez człowieka... rozwesela, orzeźwia.

Może też sprzeczność żydowskiej, brudnej ulicy i wyziewów otaczających jeszcze milszą czyni tę perspektywę zieloną... Ulica dosyć stromo zbiega ku Kamionce, w

części brukowana, w części błotnista i jeszcze zwłaszcza ku rzece ciekawe wzory starych domostw przedstawiająca.

Jest to sobie zakulisowa zresztą uliczka, i wcale nie dbająca o elegancję. Żydów na niej jak mrowia, więcej fur od młyna jadących niż koczów i karet, chłopków niż pannów, i biednych kancelarystów, wracających do ubogich kwaterek swych nad Kamionką, niż lwów domorosłych. Tędy wszystkie z miasta konie prowadzą do rzeki i wodopoju, jadą beczki po teterowską wodę na herbatę, praczniki niosą na brzeg bieliznę, młodzież w szlafrokach rusza do łaźni, stojącej nad Kamionką bardzo sobie bez ceremonij w niepoczesnym domu. Zjawiają się tu psy, kozy, bydło, i kury grzebiące na śmieciach. Pod parkanami mnóstwo kramików z owocami, przekąskami dla chłopów i ludu.

Życia i gwaru pełno prawie zawsze, nawet w sobotę gdy reszta miasta obumiera chorując na szabas, nieporządku wiele, ale tu jakoś wesoło i oryginalnie. Może samo położenie ulicy, góra, niezbyt regularne ustawienie domów, widok na dziką tuż okolicę, przyczynia się do jej upięknienia. Im niżej się zjeżdża, tem niepozorniejsze spotykamy domki drewniane, chałupki, parkany, aż przy malowniczej chałupie żołnierza Pareńki, u której uwiązany pies na łańcuchu, naszczekuje na przechodniów, ukazując się pierwsze skały bryły, służące jej za podmurowanie. Tuż stary młyn na Kamionce i rzeczka cała gładzi usiana,





tak że latem więcej w niej kamieni, niż wody. Droga tędy prowadzi ku Cudnowowi, a że grobla przy młynie wiosennymi wodami nadwerężona, ledwie dla pieszaków służy, podróżni przebywają rzekę pierwotnym i najprostszym sposobem, to jest wplaw. Przez większą też część roku nie ma tu nad kilkanaście cali wody, płynącej od niechcenia pomiędzy starymi głazami, wyszczerbionymi przez koła wielu pokoleń co tędy koło młyna przejeżdżały.

Właśnie to wzgórze, na którym Cudnowska się wznosi ulica i część małej Berdyczowskiej, najdawniej zamieszkanym było, a miasto stare rozciągało się wedle wszelkiego podobieństwa po nad Kamionką klinem ku zamkowi, i ztąd rozpromieniło się dalej a dalej. Życie ztąd uciekło teraz, pozostały stare chaty i domki ubogie, a nowe miasto i nowy żywot posunął się na mokre płaszczyzny aż ku tak zwanym nowym budowom, między którymi a miastem niedawno jeszcze polowano na kaczki. Fizjognomja uliczek nad Kamionką, zachowała się jeszcze taką, jak była przed laty; gdzieniegdzie tylko wyrósł domek porządniejszy i dziwnie od starych, czarnych odbija.

Tak zwana Berdyczowska ulica jest jedną z głównych arterij, a samo jej imię uprzedza, że tędy żydowski handel i ruch ku sławnemu Berdyczowowi spływa. Od rynku ma ona pozór bardzo prządny i wyjąwszy małe szczyrby, cała ustrojona wielkimi kamienicami piętrowymi, ale w

miarę jak się oddalamy od ogniska, place puste gęstsze są, kamienice niższe i ku rogatce już tylko porządne z ogrodami dworki stoją.

Miasto się jednak wyciąga i przedłuża, budowami wielkiego a na pół pustego szpitalu i rozmaitemi kłetakami do przedmieścia Smolanki. Osobno opiszemy okolice, wracamy więc do obrazu samego miasta, i wyjeżdżamy z kolei na Kijowską ulicę, która tak samo jak poprzednia, im więcej się oddala od rynku, tem weselej zieleni. Smutne są tylko szare lub czarne z białym parkany, opasujące wszędzie ulice, gdzie brak jeszcze domów wedle nowego planu stawianych.

Nigdy bym nie pozwolił ludziom wygnać z miast ogrodów które je rozweselają i choć trochę wieś naszą przypominają wygnańcom. U nas zwłaszcza, gdzie ziemi tyle, gdzie cena jej jeszcze tak umiarkowana, można sobie pozwolić tej przyjemności, która zdrowszem powietrzem odpłaciłaby się sowiecie.

Jeszcze też w Żytomierzu przy bocznych zwłaszcza ulicach, często długie sady spotykać można, a latem przy bramach ich siedzące przekupki, które ledwie zerwane sprzedają owoce.

Kijowska ulica wyjąwszy tego miejsca gdzie nowy dom gubernatorski, kilka zajazdów, sąd główny, i sklep Łąckiego życie skupiają, mało ma ruchu. Nieco opodal, naprzeciw dworca, w którym pierwszym mieszkańcem po ukończeniu jego był panujący Cesarz JMC w dniu 3. Września 1857 roku, nowa stoi cerkiew, zbudowana przez starego ruskiego kupca tutejszego, Chabotina [4], własnym kosztem i staraniem. W późnym już wieku, bezdzietny, postanowił wznieść dom Boży, prawie wszystko co miał poświęcając na to, i dziś niewidzianej już dał dowód gorliwości, sam doglądając budowy. Nieraz wieczorem, gdy robotnicy kończyli pracę, widzieć go było można na ławeczce pod murem, rozplacającego się z mularzami, i z skórzanej torebki dobywającego grosza, a ten starzec z siwą brodą, rachujący się tak pod gołem niebem z robotnikiem swoim przypominał stare czasy.

Oprócz mnogich kupców rossyjskich, przybyłych tu i osiadłych w ostatnich czasach, Żytomierz ma znaczną liczbę Rozkolników, to jest staroobradzców, z głębi Rossji tu zbiegłych dla swobodniejszego zachowania obrządku, którego się z dziwną wytrwałością trzymają.

Ulica dawniej Pilipońską zwana, dziś Petersburgską, tym osadnikom winna swoje nazwisko; mieli oni przy niej starą kapliczkę drewnianą, którą obalono przeprowadzając nową boczną ulicę. Dziś w domu jakimś odprawiają nabożeństwo. Liczba tych wychodźców, spokojne i ustronne wiodących życie, nie zdaje się wielka; mężczyźni i kobiety zachowali strój narodowy, dość dziwaczny, z krótkimi przyodziewkami, oszytymi futerkiem, które się zowią ogrzejduszkami. Trudnią się rzemiosłami, ogrodnictwem i handlem.

Na szerokiej nowej ulicy, będącej dawniej ich siedzibą, mało ich teraz widać, w święta tylko strojem wyróżniają się kobiety, podpasane pod pachami, w kolorowych czółkach i kaftanikach króciuchnych, siedzące przed domostwy lub przechadzające się powoli.

Ulica katedralna a dawna zamkowa, wiedzie do kościoła głównego, w obszernym stojącego dziedzińcu. Budowa to szczupła bardzo na Żytomierz, z XVIII. wieku, niedawno wyrestaurowana, porządna we środku i miła, z pięknym organem nowym, ale tak ciasna, że w dni uroczystsze często z narażeniem życia prawie się wchodzi, taki tłum ją zalega.

Gwałtowną byłoby potrzebą dla miasta, rozszerzenie katedry, i zastosowanie jej rozmiaru do pomnaża-

jącej się ludności. Dwa kościoły, ten i po-Bernardyński zaledwie zmieścić w sobie mogą pobożnych; trzecia kapliczka, dawniej P. P. Miłosierdzia, oddalona od miasta, nie wiele na to zaradza.

Klasztor ten stoi nad brzegiem Teterowa, w najpiękniejszym położeniu, na wzgórzu nad rzeką, wśród której gdzieniegdzie u brzegów i w łożysku sterczą szare skały, a podniosłe obrywy okryte są bujną zielonością. Widok z klasztoru i na klasztor dziwnie malowniczy, jak wszystkie okolice Teterowa, który płaci za swą niespławność, krajobrazami niezrównanego wdzięku.

Chociaż miejsce wybrane na klasztor jeszcze nie daje całkowitego wyobrażenia o piękności brzegów rzeki, w swoim jednak rodzaju bardzo szczęśliwie potrzebom takiego rodzaju instytutu odpowiada. Tuż przy dosyć obszernych murach zasadzony drzewy stromy rzeki brzeg, z którego widać w głębi siną wstęgę Teterowa, a na przeciwnej stronie zielonością obrosłe wzgórze... Woda wszędzie tu prawie ściśniona skałami, przerywa się przez nie wijąc kapryśnie, a nad nią zwieszają się bujne wierzby i łązy, i poplątanych zarośli gałęzie. Oko idąc nad biegiem dalszym rzeki, gubi się w sinych oddalonych pagórkach, okrytych lasami...

Kapliczka tutejsza przeznaczona dla miejscowych, w porze błotnistej niedostępna, nie posługuje miastu wcale. Oprócz niej nie mamy więcej kościołowi a obrządku wschodniego mieszkańcy tutejsi, nie lepiej są uposażeni. Małeńki drewniany budynek, ostatnimi czasy postawiony, szczerzy bardzo, Chobotina cerkiew, i wiejskich parę cerkiewek, oto wszystko. Był czas nawet, ie główne nabożeństwo odprawiało się w bardzo lichym domu przy Wilskiej ulicy, grożącym niebezpieczeństwem... Najlepiej to wszystko świadczy o świeżym jeszcze wzroście miasteczka, które o pierwszej potrzebie duszy pomyśleć i zaradzić na nią nie mogło dotąd.

Z innych względów miasto nie lepiej zaopatrzone; mamy wprawdzie gmach teatralny bardzo porządnym, wzniesiony świeżo, ale za to na szkoły nie mamy pomieszczenia, i gimnazjum najmuje domy u żyda dosyć niewygodne i niestosowne.

W domu miejskim, także świeżo wyporządkowanym, mieści się klub miejscowy, a wielka sala tutejsza służy na wszystkie bale i koncerty. Salon główny pomieścić może dwieście kilkadziesiąt osób, a drugie tyle gdy boczne pomieszkania zostaną zajęte, ale na ówczas już obrócić się trudno i ciasno. Na galerji, dla muzyki i widzów przeznaczonej, ledwie kilkadziesiąt osób wygodniej można ulokować. Klub jak wszelkie kluby i resursy po miastach, służy głównie za miejsce przyzwoite schadzki dla tych, którzy niemając zajęcia, chcą pograć w bilard lub preferans. Ale do tego rodzaju życia nie czujemy wcale popędu, kto nie ma rodziny szuka jej sobie u przyjaciół i cudzy dom przyswaja; z tego powodu klub mało uczęszczany.

Tu może miejsce powiedzieć o życiu społecznym w Żytomierzu, wcale nie miejskiem zresztą, i więcej jeszcze wioskę przypominającym. Żytomierz jak pod stare swe czasy jest mieszkaniem szlachty, która tu z sobą swój obyczaj, zamiłowanie ciszy i małego kółka przynosi. Wszyscy żyją jak na wsi dobrzy sąsiedzi, nie wystawnie, po gospodarstwu i więcej doma niż za domem.

Otwartsze domy sprowadzają czasem ludzi różnych kółek chwilowo w jedno grono nie spójne, ale te spotkania ich nie łączą. Wszyscy się mniej więcej znają, mało kto z sobą żyje, każda rodzina i dom ma swoje małe kółko, które jej wystarcza, trochę zachwytyjąc do niego z wyższych i średnich sfer społeczeństwa. Ale człowiekowi jakkolwiek potrzeba ludzi, i bez nich ani się żyć nie godzi ani można czyż znowu wielki tłum lepszy? czy nie wielkie a serdeczne a przyjazne kółko?

Nie ma wprawdzie w Żytomierzu ognisk, które by do zbyt kuupiały liczbę wielką, lecz nie brak kółek takich spójnych i połączonych harmonią pojęć, położenia i potrzeb, które sobie wystarczają. Ztąd wielka swoboda stosunków i życia, nikt nie potrzebuje nastawiać się, wydymać, równać z bogatszymi i do nich przybliżać, każdy zachowuje swój obyczaj i w swoich właściwych trzyma się granicach. To odosobnienie różnych warstw społeczeństwa, nie czyni ich sobie nieprzyjaźnemi, spotykają się, łączą, mieszają, lecz każdy później do swojej sfery powraca. Rodzaj życia powszechnie nie wystawny, skromny, cichy,

#### KATEDRA PW. ŚW. ZOFII

W Żytomierzu w latach 1724-1725, na miejscu zniszczonego w XV wieku przez Tatarów kościoła Panny Marii, wybudowano drewnianą katedrę, konsekrowaną w 1726 r. Nowa katedra nie była udana – budynek miał wady konstrukcyjne. Około roku 1732 r. biskup Ożga własnym kosztem rozpoczął budowę nowej świątyni – murowanej z cegły, którą konsekrowano w 1746 r.





balów mało, wieczory w kółku niewielkim, nawet gra nie jest, od niejakiego czasu przynajmniej, zapamiętają i gwałtowną, bo w ogóle obyczaję, jak na miasto, skromne, przyzwoitość największa i zbudować się można, tak tu mało jeszcze dzięki Bogu życia miejskiego. Zdrowe wsi powietrze zawiewa jeszcze do miasteczka, a zwyczaję wioski panują tu dotąd.

Zbytek tak mało jest potrzebą mieszkańców, że gdyby się kto nań chciał silić, trudno by żądania wykwiniejsze miejscowemi środkami zaspokoił. Magazyny nie sprowadzają rzeczy zbyt kosztownych, na odbytych ich nie mogą rachować, a ponieważ w rzeczy nawet pierwszej potrzeby nie bardzo są zamożne.

Handel z małemi wyjątkami, zostaje tu na tej jeszcze stopie co na Wschodzie i w Krymie, gdzie prosić niemal potrzeba ażeby kto co sprzedać raczył, a na żadną z kupca strony grzeczność i uprzedzenie rachować nie można.

Jedni żydzi zapobiegli wsi i natrętniejsi stanowią wyjątek, reszta kupców naszych nie może się do Europejskich policzyć, taka w nich nie mówię obojętność fatalistyczna na sprzedaż, ale zagrażający brak grzeczności, którąśmy wszędzie spotykać przywykli. Potrzeba przyjechać powozem, być bardzo pięknie ubranym, i płacić bez szemrania, a nie wymagać pokazywania towarów... to się bez niesmacznych przymówek obejdzie. Jakżeby to potrzeba ich wyprawić na naukę do Londynu, gdzie najobdartszy ulicznik może połowę sklepu przewrócić, nic nie kupić, i jeszcze go z ukłonami do drzwi przeprowadzą, tak się to zda naturalnem. Ale minąwszy to nieukształcenie komissantów, same magazyny dzięki Bogu nie tylko nie są zbyt kosztowne i na wielką skalę zasposobione, ale w nich nad kilkadziesiąt łokci jednej materji, nad kilka jednakich rzeczy nie szukać. Serwisy porcelanowe na dwanaście osób, okrycie na meble na sześć krzesel, butelek jednakowych tuzin, trudno o więcej. Bardzo by to było chwalebne i dobrem, gdyby ceny były przystępniejsze, a towar jadalny i napoje odpowiadały innym. Ale tu tego wychodzi nad miarę, więcej niż innych rzeczy zbytku.

Taż sama skromność w zajazdach i hotelach, których tu nazwisko nawet nie jest znane. Powszechnie gościnnością płatną zajmują się sami żydzi, i domy ich wykwinem się nie odznaczają.

Przy traktjerze Bellofa jest parę pokoiów nie lepszych od innych, ale wygodniejszych dla tego że sie struć można na miejscu, nie wychodząc z domu. Oprócz tego mnóstwo zajazdów, w domu Dobrowolskiego, Laudańskiego, na Cudnowskiej ulicy, a nawet na Wilskiej gdzie jeszcze są gospody starą formą dla pana i koni pod jednym dachem. Każda z tych gospod ma swoją charakterystykę odrębną. Wyższy ton zajężdza do Bellofa, do domu Dobrowolskiego, Laudańskiego lub sąsiedniego nie dawno urządzonego domostwa; średnia klasa do Preskiesa i Hamermana, do Rauszy wręście, a ludzie lubiący co tanie do mniejszych zajazdów na Cudnowskiej lub Wilskiej. Przy każdym z tych domów jest faktor, vulgo zwany My szur es, homme a tout faire, który że nie jest płatny i owszem sam często gospodynii płaci za pozwolenie obdzierania podróżnych, korzysta też z tego prawa jak może. Gotów za grosz na wszystko, melduje paszport, najmuje konie, sprowadza kogo potrzeba, kupuje, handluje, a na każdej rzeczy stara się zarobić, bo to jego rzemiosło. Błoto go nie ustrasza, śnieg nie szkodzi, deszcz go ochładza, wiatr rzeźwi, uderzenia rozbudzają do czynu, łajanie wywołuje energją, przekonanie o kradzież nie rumieni, i by leby mu zapłacono, na nic się nie wzdygnie. Myszuress zna całe miasto z widzenia, mieszkania głównych dygnitarzy, domy znaczniejsze, rynkowe wypadki, głośniejsze historję, nawet cichsze skandale, rozpowiada czasem dowcipnie a zawsze złośliwie, i z nieinteresowanemi osobami jest prawie zuchwały, za to z temi co mu płacą aż do chwili odjazdu najpokorniejszy. Na każdym kupnie musi coś sobie ukreścić, i w ostatniej godzinie niebezpiecznie mu powierzać pieniądze do zmiany... Dla obcego jest to factotum bez którego obejść się nie podobna, świadcząc się tymi co bywali w Kijowie, gdzie już ów myszuress nie istnieje...

#### KLASZTOR SIÓSTR SZARYTEK

W XVIII wieku w Żytomierzu powstała pierwsza placówka medyczna w historii miasta. W 1766 r. biskup Andrzej Załuski ufundował w Żytomierzu klasztor sióstr miłosierdzia szarytek. Oficjalna nazwa – Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. To żeńskie katolickie zgromadzenie zakonne zostało założone w 1633 r. przez francuskiego prezbitera katolickiego, opiekuna sierot i ubogich Wincentego à Paulo i francuską świętą Ludwikę de Marillac.



**BULWAR W  
ŻYTOMIERZU**

Jako ułatwienie do przenoszenia się z miejsca na miejsce, są tu do najęcia tylko parki czyli dorożki, małe niekryte powoziki, dosyć niewygodne, którymi się potrzeba kontentować, bo nic innego znaleźć nie można. W Kijowie dodatkowo dostać się czasem trafia faeton, który siedm do ośmiu rubli dziennie się płaci, a nasza parka mniej niż połowę bierze, dosyć trzęsie i niekiedy się łamie w pośród drogi. Dorożkarze daleko są mniej rażni niż Warszawscy, a że po większej części nie na swoją rękę przemysłem tym się trudnią, dosyć obojętnie około tego chodzą.

Brukowa ludność miasteczka na różnych miata wysokościach wcale jest odmienną, ale naprzód o luminarzach stolicy... Zaczawszy od naczelników to jest gubernatora, vice- gubernatora, prezesów, marszałka gubernialnego i powiatowego, biskupów dwóch, sędziów, deputatów którzy niejako urzędową arystokracją składają, głównymi figurami są po nich niżsi urzędnicy i zamieszkująca tu szlachta, już dla wychowania dzieci, już dla kuracji lub wprost przepędzenia zimy w liczniejszym towarzystwie. Każdą z tych postaci po koniach, powozie, ludziach i po twarzy zna miasteczko doskonale, a nawet odgadnąć może z pory dnia i kierunku gdzie kto jedzie i do kogo. Równie na ulicy znane są oryginalniejsze postacie, które się częściej widuje wędrujące do Klubu, do Bellofa, do Rinneberga i Łąckiego, do Bartoszewicza i

Minella. W ulicy wszyscy niemal się znają, nowo przybyła postać uderza zaraz i odbija od powszedniego ogółu. W tem jeszcze wiele jest wiejskiego, nie wielka liczba powozów i koni pozwala je łatwo spamiętać, pewna jakaś fizjognomja swojska pozwala odróżnić autochtonów od wędrownych z gubernij. Mała rzecz, czapka, futro, surdut wnet wskażą obywatela od Włodzimierza, który się ubiera w Warszawie i Lublinie, od Krzemieńca co sprowadza elegancje z Galicji, i Owruczanina który w błogiej prostocie nosi długie poły wśród krótkich, i przycina je gdy znowu długie się poczynają.

Ten poczciwy i zacny powiat Owrucki, który z Radomyśkiego częścią i Mińskiej gubernij jeden lesisty i błotnisty kraj stanowi, niesłusznie tu może ma sławę zapadłego świata krańca, do którego nic prędko nie dochodzi, i gdzie obyczaje prastare dotwały do dziś dnia. Może być że złe drogi, wielkie przestrzenie, błota, lasy i t. p. są zlemi przewodnikami nowości, ale z natury swej to być musi kraj konserwatystów, których jako przechowowaczy tradycji poszanować należy. Śmieją się ze szlachcica Owruckiego, ale on ma także swe posłannictwo broniąc się przeciw nowościom i święcie przechowując podania, obyczaje i przesady naddziadowskie. Może być że Owruczanin nawet w Żytomierzu wydaje się śmiesznym tak jako Żytomierzanin w Warszawie, ale cóż na świecie dla



lekkich umysłów śmiesznem nie jest? Duch obywatelstwa i spójności tu się przecie zachował lepiej niż gdzieindziej.

Powiaty także mają swą charakterystykę. Tak Łucki ma sławę z gorliwości obywatelskiej szlachty, która w sobie starego ducha sejmikowego dotąd nie wygasła, Kowieński jest arystokratyczny i elegancki, Owrucki starszłachecki i zacofany, Zasławski składa się prawie z jednego tylko obywatela, X. Sanguszki [5], który jest posiadaczem trzech czwartych może części powiatu, Konstantynowski uchodzi za bogaty i skąpy i t. p.

W Żytomierskim najtrudniej zawsze bywało utrzymać się urzędnikom, tak widać wiele od nich wymaga no i przerzucano nimi: najobficiej tu sypano negatywy.

Najuboższymi bezsprzecznie są powiaty Owrucki, który przy obszernych ziemiach mało ma środków korzystania z nich, podobny mu z wielu względów Kowelski, po nich część Łuckiego poleska, zamożniejszymi Dubieński, Kowieński, Ostrogiński, Zasławski, Konstantynowski...

Wyjawszy gwałtownych potrzeb i interesu do miasta, lub wyborów urzędników które co lat trzy przypadają, szlachcic nie chętnie przyjeżdża do Żytomierza i bawi w nim jak na szpilkach siedząc, rad się wyrwać co rychlej, tak że często wieczorem otrzymawszy rezolucję, w nocy zaraz ucieka do penatów swoich.

Nic go tu nie zaciekawia, nic nie bawi, nie pociąga, nie nasycy, a wszystko przestrasza i nudzi, chodzi, stęka, boleje, rzekł byś na stomilowem wygnaniu, liczy dni, godziny, chodzi na dzień po sześć razy do sądu, odsyłany od dnia do dnia, i modli się żeby go Bóg od przyjemności prowincjonalnej stolicy uwolnił. Tymczasem najgrzeczniej go tu przyjmują, zabawiają, zapraszają, karmią i poją, a jeśli za to na jaką składkę, loteryję dobroczynności dać jaki grosz musi, toć go nie zuboży. Ale nie wiem czemu przywykły do kapoty i kożuszka domator, zmuszony kłaść frak i rękawiczki, tęskni do zagrody nad wyraz wszelki, niecierpliwi się i pobyt w miasteczku zatruwa mu ten niepokój. W mieszkaniu przy widuje mu się czad, u Bellot'a szkodzi mu jadlo, turkot nie daje spać w nocy, we dnie niecierpliwią ludzie, z którymi ma do czynienia...

Rozjaśnia mu się oblicze dopiero gdy rezolucją ma w kieszeni, i robiąc sprawunki, zabiera się do odjazdu. Naówczas inny z niego człowiek, ściska się, całuje, kocha i byleby go nie prosić żeby się zatrzymał, na wszystko gotów w świecie.

Pierwszych dni po przybyciu do miasta obywatel jest najlepszych nadziei, wszyscy mu poobiecują, że interes się wpędce ułatwi, śmieje się, bawi, podżartowuje i niedowiaduje nawet do plenipotenta. W parę dni spotykają się niespodziane trudności, których zawsze jednak spodziewać by się wypadało; trochę go to niecierpliwi. Zdobywa się na ofiary i oczekuje skutku. Ale tydzień płynie za tygodniem, rano obiecują mu na wieczór, wieczorem odsyłają do rana, i tak codzień odbywa pielgrzymkę Dantowskich potępieńców, odnawiającą się bezustannie, aż w końcu nadzieję traci, i ponurą gryzie się rozpaczą. Naówczas omijać go trzeba na ulicy, bywa w usposobieniu niebezpiecznem.

Gdyśmy już tego dotknęli, mówmyż o tem jak się u nas robią interesa powszechnie. Jedni je powierzają pełnomocnikom, co koło nich mniej więcej dobrze i żwawo chodzą, drudzy przekonani, że sami lepiej sobie radę dadzą, przyjeżdżają, in persona attentując. Pierwszego tedy dnia rozpoczynają wizyty do gubernatora, marszałka i urzędników, którzy grzecznie ich przyjmawszy, odprawują pełnych najłodszych nadziei. Ale w natłoku interesów jak o sprawie pamiętać, a co gorzej, jak o niej powziąć wyobrażenie z jednostronnego opowiadania. Nie zawsze więc przy najlepszych chęciach zrobić co można i to jeszcze tak prędko jakby sobie życzył interesowany. W kancelaryjach idzie to wszystko wedle form pewnych powolnych, niekiedy umyślnie utrudnionych, i co krok spotyka zawady, które różnemi kluczami otwierać potrzeba.

Jeżeli mający sprawę spuści się na miejscowego, znajcego stosunki człowieka, ten nie wielkim kosztem i w przędszym czasie potrafi wyjść z tego labiryntu, w którym obcemu ani się połapać, ani nic zrozumieć nie można. Mniej więc wszyscy obiecują grzecznie, odprawiają utuczonych nadzieją, ale wkrótce odbierają ją i skutek zawodzi. Żal prawdziwie biedaków, którzy wycierają przedpokoje kancelarii, stojąc na straży, kłaniając się nisko, i próżno podpierają się obietnicami wyższych urzędników. Przewaga kancelarii prędzej późniejszego najlepiej popartym z góry, musi się dać uczuć. Jeśli wreszcie interes zostanie zrobiony za protekcją starszyny, pewnie w papierze znajdzie się jakiś frazesik nie do zgryzienia, jakiś kručzek i niepełność, którą wypadnie dopełnić. Bez dobrej woli maluczkich którzy sami najwięcej pracują, i na których machnięcie obraca, próżno by się myślało co zrobić. Nie życzyłbym więc nikomu ani samemu brać się do interesów, ani ufać w protekcje, jeżeli chce oszczędzić sobie czasu i kłopotu.

Jak tutejszy świat żyje i co go zajmuje, nie łatwo na pierwszy rzut oka wyrozumieć, trzeba tu długo pożyć,

wejść w różne towarzystwa kręgi, i obeznać się z ludźmi, którzy nie wiele na zewnątrz i na pokaz robią, a kryją się prawie z uciekami i zajęciem. Zabawy publiczne jeżeli do nich nie przywabia ciekawość, nie są ani licznie uczęszczane ani ożywione bardzo, skupiają one ludzi mało sobie znanych, nie poufałych, ostrożnie się o siebie ocierających, ztąd sztywność w nich jakaś, obawa, i koniec końcem każdy spogląda, patrzy, a mało kto żywy udział bierze w czynnej zabawie. Bale klubowe, wieczory z rozmaitych powodów dawane w mieście i za miasteczkiem w których się tłum naciska, skupiają wprawdzie na chwilę, dają przedmiot do gawęd na długo, niekiedy wyrodzą jakie nieprzyjemne zajście, ale nie zadowolniają nikogo. Wszyscy wolą w swoim małym gronku się zbierać ze swobodą jaką daje dobra znajomość, przyjacielskie stosunki i jednakowe w społeczeństwie położenie. Szumnych zabaw nie lubi Żytomierz, nie ugania się za nimi, i ma w tem najzupełniejszą słusność. Teatr, który od czasu wzniesienia gmachu na ten cel służącego, pociąga dosyć publiczności, jest dla niej i powinien być resursem wielkim. Ale tu największa różnorodność zdań i upodobań niedozwala nigdy w smak publiczności trafić, choćby się o to starano najwięcej. Jedni mają swoich ulubionych artystów, a uprzedzeni są przeciw reszcie, drudzy pragnęli by co spektakl nowej sztuki, a ogół jak zwykle na prowincji, chce nade wszystko dramatu. Jest to upodobanie którego sobie wytłómaczyć nie łatwo, a choć na pozór dziwi, w głębi jego może tkwić popęd ku czemuś wznioślejszemu i lepszemu.

Powszednie życie jest aż nadto prozą i rzeczywistością, nie dziw więc, że znużeni niem pragną poezji i ideałów, czegoś z innej obcej sfery, co by ich chwilowo rozgrzało i podniosło. Na nieszczęście dzisiejszy dramat wcale nie jest karmią zdrową, a ideału w nim zbyt mała doza, obok zbytku namiętności i zbrodni. Wszelkie jednak podniosłe uczucie,

Żytomierz jak inne miasta często też zwabia wędrownych koncertantów, a nawet sławniejsze w świecie muzycznym imiona

myśl szlachetna, słowo nawet czarodziejskie co w sobie zamyka poryw ku dobru, wzbudza w widzach zapal, który im zaszczyt przynosi. Na komedje choćby te były Fredry, jeszcze u nas czas nie przyszedł najlepiej grane skupiają ledwie garstkę widzów, ale nie pociągają tłum, który lada dramat sprowadza. Powtarzam, że ściśle rozebrawszy ten fenomen moralny, zresztą powtarzający się prawie wszędzie na prowincjach, w głębi jego znajdziemy pragnienie podniesienia się. Nie zbrodnie i gwałtowne sceny namiętności ciągną publiczność, ale szlachetniejsze i wznioślejsze uczucia, które za nimi idą w parze. Jest to chęć wyjścia choć na chwilę z zadania rzeczywistości chłodnej, w której często nie ma miejsca na tęsknotę za ideałem, i uczucie głębsze; jest to poryw ku dobru, któremu z trudnością teatr poddać może przy dzisiejszym stanie literatury dramatycznej. Teatr musi po większej części uciekać się do starego swego repertuaru, aby odpowiedzieć powszechnemu zadaniu, do tragedij niemieckiej, do francuskiej nawet raczej, niż do dramatu dzisiejszego, który w gwałtowne obfitując położenia, budząc namiętności, nie daje na zburzone lekarstwa. W sztukach tych choć jest uczucie cnoty i moralna nauka, zdają się one tylko dla decorum i przywoitości przylepione, ale ich ciepło nie ogrzewa utworów, dla rozjątrzenia tylko ciekawości, dla płochego popisu wymyślonych.

Żytomierz jak inne miasta często też zwabia wędrownych koncertantów, a nawet sławniejsze w świecie muzycznym imiona, ale upodobanie w muzyce nie doszło jeszcze do tego stopnia, by nie doznawali zawodów. Mało który z nich zadowolniony wyjechał z Żytomierza. W istocie gronko dyletantów i amatorów bardzo jest szczupłe, a ogół dosyć na muzykę obojętny, i chyba ciekawość posłyszenia kogoś po świecie rozslawionego, potrafi go licznie zgromadzić.

Wszędzie też podobno pora tych popisów minęła, pojęcia o muzyce znacznie się zmieniły, ludzie od niej czego innego wymagają, nie igraszki i zręcznych figlów, na których mniej więcej każdy się koncert kończy. Muzyka stara i poważna, to co prawdziwie muzyką nazwać się może, coraz więcej do serca przemawia; pragniemy arcydzieł nie zabawki. Ztąd już zamiast różnorodnych popisów instrumentu jakiegoś, wolemy zbierać się w muzykalne czwórki, dwójki i trójki, i dla przyjemności muzyki wyrzec miłości własnej, która też solistów do zbytku dotąd wysoko wynosiła.

Jest to opamiętanie się bardzo w porę i słuszne, bo też w chwili szału jakiegoś w całej Europie, zbyt jakoś zapamiętałe przyklaskiwano koncertantom i wirtuozom i tylko co dla nich nie wyrzeczono się muzyki. Lada zręczny żydek zbierał i laurów i głośniejszych pochwał i pieniędzy daleko więcej, niż przez swe całe życie Hajdn, Mozart i Beethoven; kobiety szalały za nimi, mężczyźni najszcześliwsi byli, czyniąc się ich dworakami i pochlebcami, tłum dobijał się do sal, w których odbywać raczyli popisy, znoszono ich kaprysy, dziwactwa i niegrzeczności, a z koncertów tych człowiek wychodził zdziwiony, odurzony i nie uspokojony. Z pochwał, jakie im oddawano można było wnieść, że to istotnie byli geniusze, a jednak w kompozycjach ich po większej części nic nie znalazłeś nad szum, mierność i pospolitość. Wykonanie podnosi o te drobnostki, entuzjazm nadawał im znaczenie, jakiego nie miały, nieznanomość rzeczy podnosiła je stokroć nad istotną wartość. Wpłynęło to nawet na sfalszowanie o muzyce pojęcia i skrzywienie smaku, który do lekkich i popisowych zwracając się sztuczek, muzyki poważniejszej pojąć już nie mógł, i na prostocie genialnej mistrzów nie umiał się poznać.

Koncertanci przecię zawsze odegrywali rzeczy tylko swoje, co najłatwiej, karmili zręcznością, a rzadko z nich który nawet był w stanie do surowszej przystąpić muzyki.

Dzisiejsza więc reakcja przeciw nim jest opamiętaniem się w porę, a ocenienie pięknego wykonania należyte, postawić ich powinno na stopniu, który zajmować mają, nie na tym, który przywłaszczali. Była chwila istotnie, że błyskotliwa ich sława ćmiła największe jenuzysze muzyczne, lada dwunastoletni dzieciak, któremu palce wylamano, stawał wyżej Mozart'a, lada wirtuoz lekko mówił o dostojnikach sztuki, a że dziś odesłano ich na miejsce właściwe, nic złego.

W ogólności miasteczko nasze mało jest muzyczne, i wykształcenie jego w tym względzie potrzebuje czasu jeszcze; jednakże fortepian jest wszędzie w największym użyciu, i nie ma domu, gdzieby dwóch, lub przynajmniej jednego nie było, a idąc ulicą więcej się gąmm niż żydów nawet spotyka.

O malarstwie mówiliśmy nieco wyżej, i nie ma się co dziwić, że na prowincji, gdzie dzieł sztuki braknie, wzorów dobrych mało, sposobności oswojenia się z nimi nie ma prawie, upodobanie w w niem nie rozwinęło się jeszcze.



Житомирь.  
Żytomierz.

Городокъ. Театръ и Водопроводн. Башня.  
Miejski Teatr i Wieża wodociągowa.

№ 21. О. А. Эйленбергъ. Житомирь.

Wszakże powiedziałbym prawie sądząc z wielu próbek o ogóle, że Żytomierz więcej jest przygotowany do poznania się na pięknym obrazie niż na dobrej muzyce, choćby o tę łatwiej. Trafia się, że ktoś zachwycony zostanie ślepem naśladowaniem natury, kolorytem świetnym, ułudną stroną obrazu, lecz w ogóle sąd o utworach malarstwa dosyć jest trafny i sprawiedliwy. Tysiącokrotnie mogliśmy się o tem przekonać.

Ubolewać tylko należy, że fotografia i fotografowie codziennie liczniej przybywający, swojemi produkcjami krzywe pojęcie o pięknie i prawdzie sztuki wszczepiają, i upowszechniają to zimne powtórzenie natury, które prawdziwością swą nęci, a w istocie nawet prawdy materialnej nie daje, i pozorem jej ludzi tylko, ducha zaś nigdy nie schwyty.

Zdziwi się nieznający Żytomierza, gdy mu powiemy że prawie nie mamy księgarni. Jest jedna, ale w najosobliwszy sposób urządzona z obojętnością nam właściwą, w której książek mało, drogie, a o kupienie ich doprasza się niemal potrzeba. Nowości przybywają do niej gdy się już dobrze postarzejają, a ceny są tak fantazyjne, że mało kto zmuszony do kupna, odważy się na nie. Księgarnia ta jest dla nas jak większa część sklepów zagadką, zdaje się bowiem, że właściciel nie tylko się nie stara o powiększenie obrotu, ale usiłuje się od niego uwolnić, podnosząc ceny nad miarę i zrażając kupujących obejściem z nimi prawie niegrzecznym. Przytem zasób księgarni wcale potrzebom miasta nie odpowiada, i nikt też do niej nie zachodzi, chyba przyciśniony jakąś ostatecznością. Ceny nie licząc pięćdziesięciu procentów zysku, wyższe są od zwykłych katalogowych. Malarzki drugi handelek ma żyd introigator, wedle starego obyczaju kumulujący dwa powołania, oprawiacza i kupca książek; ale tu ledwie parę set tomików wala się na pulkach, srodze od much

popstrzonych. Chcący więc czytać i mieć książki nowe, zmuszeni są albo nabywać je w bliskim Kijowie, lub sprowadzać od innych księgarzy z Warszawy, a nawet z prowincji, gdyż Dubno, Łuck i małe miasteczka lepiej są w tym względzie uposażone od Żytomierza.

Przed niedawnymi jeszcze czasami, nad parę egzemplarzy Tygodnika Petersburskiego [6], nie było tu gazet prawie, dziś sądzą że po kilkanaście każdej znajomszej naliczyć by można; potrzeba czytania znacznie wzrosła, zamiłowanie i zajęcie literaturą codziennie się pomnaża.

Jakkolwiek jeszcze liczba tych, których ona obchodzi jest nie wielką, już obiecuje na przyszłość. Książki nowe są poszukiwane, przechodzą z rąk do rąk, zajmują się nimi, mówią o nich, chwytają. Nie można zaprzeczyć żeby to nie był znak dźwigającego się ku lepszemu społeczeństwu. Są złe książki to pewna, są szkodliwe, lecz z czytania w ogóle najlepsze wypływają skutki, i literatura jest środkiem cywilizacyjnym pożytecznym, ona kształci społeczność, i sama przez nią będąc rządzoną, wpływ swój na nią wzajem wywiera: Cieszymy się więc im niżej i głębiej w społeczność przechodzi potrzeba czytania, oświecenia się, myślenia. Człowiek poczyną od przyswojenia sobie myśli cudzej; ale ją przerabia dla siebie, budzi ona w nim własną, zmusza do wewnętrznej pracy, i podnosi powoli nad czystomaterialne życie powszednie, które bez promyka światła ideału stało by się nieznośnym.

Cieszyć się więc należy, gdy powoli w potrzebę wchodzi czytanie, nie żebyśmy pragnęli powiększenia liczby literatów i literatek, bez których obejść się można, ale że książki kształcą, podnoszą, uczą człowieka jego obowiązków, i zmuszają do pojmovania życia na serio. Zaczęto i u nas już narzekać przeciw książkom,

**TEATR SZLACHTY  
WOLYŃSKIEJ W  
ŻYTOMIERZU**



Житомиръ. Zytomierz.

Публичная библиотечка.

**BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
W ŻYTOMIERZU**

Została otwarta  
10 kwietnia 1866 r.

ich liczbie i rozpowszechniającemu się zamiłowaniu w czytelnictwie; ale to dziwactwo kwaśnych humorów chyba ich fantazją usprawiedliwić się może. Dziś czytamy może więcej, pobieżniej, lżej, inaczej, ale i w dawnych wiekach u nas czytano także nie mało, a dowodem tego wszystkie inwentarze i testamenty, w których przy najszczuplejszym mieniu zawsze prawie wymienione są rękopisma i książki. Pierwszy to podobno zauważył Bizardiere [7], że w Polsce każdy prawie szlachcic był zbieraczem materiałów historycznych i notat do współczesnych dziejów. Księgi te, poczęte przez pradziadów, kończyli wnukowie, powoli do nich wpisując, co powszednie życie przyniosło. A że każdy więcej żył życiem publicznym niż do- mowem, dla tego też raczej to są poważne aktów zbiory niż pamiętniki, choć w nich i człowiek sam i rodzina występują czasami. Oprócz tej księgi, spisującej życia codziennego w kraju dzieje, każdy szlachcic niemal miał biblią lub nowy testament, a co najmniej Ewangieliczkę, kronikę Bielskiego [8] lub Strykowskiego [9], Kromera [10], Gwagnina [11], żywot Chrystusów, kantyczki, poezje Kochanowskiego [12], herbarz choć jeden w którym poprawki notował, czasem dodatkowo Argenidę i Syloreta [13], a dobry plik mów, panegiryków i świst-

ków, w które go księża i miasteczko zaopatrywało. W wolnych chwilach, wieczorami zimowemi, czytano po obiedzie żywot Skargi [14], kawałki z kronik, lub rękopismowe, obiegające po kraju okolicznościowe pisma. Szlachcic nie tylko w tem sobie lubował, ale z ortografią czy bez ortografii notaty swe na marginesach kreślił, dodatki robił, a białe w oprawie stronnice, użytkow- wał zapisując epitalamja i nagrobki. Nie wiele było książek, ale czytano lepiej może, i dosyć jak na owe wieki czynu, a wybór dzieł zastępował ich ilość.

Stosunkowo oświata nasza w przeszłości nie na tak niskim stopniu stała, jak się w XVIII. wieku sztycherzo utrzymywać podobało, łupina często była śmieszna, i lekkie umysły nie przegrzyższy jej, z niej sądziły o wartości i wyrokowały fałszywie. Nieroztropni chwalczy przeszłości, którzy ją sobie sami tworzą, chcieli, by obskurantyzm swój poprzeć powagą przykładu, ale ich argumenta dowodzą nieznamośći rzeczy. Ktoś bardzo słusznie wyrzekł, że nikt dziś podobno nie umie gruntownie tyle, ile za nieuka okrzyczany stary szlachcic polski. Oprócz polskiego i łaciny którą znał jak swój własny język, musiał umieć po rusku dla ludu i stosunków prawnych z prowincjami litewskimi, często wojna go uczyła tureckiego i tatarskiego języków, choć trochę musiał





rozumieć niemieckiego, na palcach znał prawo swoje, litewskie, saxona, rzymskie, kanoniczne, historję swoją i państw ościennych, zasadnicze ustawy i zwyczaje kraju, historję kościelną i naukę religij, poszanowanie literatury klasycznej czyniło niezbędnem poznanie starożytności; każdy był prócz tego mówcą, trochę politykiem i summa oświaty ogólnej w kraju nie była niższą od krajów ościennych, tylko nam z niej użytkować nie dawały zajęcia, które często najsilniejszy i najpotężniejszy umysł do szabli i prostej żołnierki powoływały.

Dziś na oko liźnęliśmy wielu rzeczy, i znamy je powierzchownie, mówimy o wszystkim, ale gruntowniej znamy bardzo nie wiele. Nie tylko by więc nieodstręczać należało od ukształcenia, ale do niego nakłaniać i zachęcać. Jeszcześmy wcale nie przemądrzeli, a instynkt poczciwy pędzi nas ku nauce i oświacie. Ten popęd i u nas jest bardzo widoczny, a ci co znali Żytomierz przed laty kilkunastu i widzą go dzisiaj, oceniają najlepiej różnicę umysłowego stanowiska ogółu.

Liczba dzienników i książek będących w obiegu najlepszym jest termometrem ruchu i pracy. Dawniej obchodzono się Tygodnikiem i trochę pożyczanych książek, teraz porządna księgarnia stała się prawie niezbędną.

Daliśmy już pojęcie życia powszedniego naszego miasteczka, i zamięłowania w spokoju, które charakteryzuje mieszkańców; rzadko też skupiają się oni i dotąd nie mamy takiego publicznego miejsca, w którym-byśmy zejść się i zobaczyć mogli kiedy niekiedy, i policzyć, i uśmiechnąć sobie lub z siebie z daleka. Ogrodu spacerowego brak nam zupełnie, maleńki przy domu gubernatora i szczupły jest, i nie zbyt uczęszczany.

Za to okolica, nad podziw malownicza, dozwala wszędzie najmilszej używać przechadzki, i zastępuje najwykwintniejszy ogród. Chociaż w samym mieście rok mieszkać można i o nieporównanych krajobrazach, jakie go otaczają, niewiedzieć, już z wierzchołka Cudnowskiej ulicy domyśli się każdy że w tamtej stronie pięknie być musi. Cała Kamionka niezmiernie malowniczo wije się pod miasteczkiem, zasiana ogromnemi głazami, i domy zbudowane na wzgórzu nad nią, mają prawie szwajcarskie widoki na wzgórza zielone, lasy, pagórki, wodę i skały... Nad jej brzegami obrano miejsce na cmentarz katolicki, rozrzucony w lasku na górach i formujący smutny ale nieporównanego wdzięku obraz. W pośrodku stoi kościółek na najwyższym góry grzbiecie którego dach i ściany podnoszą się po nad gęste drzew massy... Grobowce wykwiłtne i skromne, posypane są po obszernej przestrzeni tego pola umarłych, wśród którego gdzieniegdzie wykwiłta zdziczały kwiatek, ręką smutku żywego jeszcze sadzony. Zwyczajem tu jest w poniedziałek po niedzieli przewodnej odwiedzać cmentarz i groby, ale to pożyczylimy z obrządków Rusi wschodniej. Cmentarz dosyć jest odległy od miasteczka, a dawnego bliższego, także na wyniosłości nad Kamionką znajdującego się, ślady pozostały tylko. Przeciwny brzeg tej rzeczki która wzbiera wiosną, a latem zaledwie ma czem zwilżyć dno swoje, zarasta jeszcze gęsty i ładny laszek sosnowy, w którym pełno małych dworków i chatek bardzo podejrzanych, do będących schronieniem włóczęgów.

Kamionka uchodzi do Teterowa, równie skałami otoczonego, i od tego ujścia począwszy brzeg sam Teterowa stanowi cudną przechadzkę. Rzeka ta musiała kiedyś z wielką siłą wyrzynać sobie koryto, które głęboko dziś u podnóża przedartych skał się znajduje. Skały te na kilkadziesiąt sążni, wysokie, obnażone gdzieniegdzie, pogruchotane, zsunięte, nagromadzone w nieładzie malowniczym, siwe, czerwone, żółte, omszone, przy drzewach i wodzie ciemnej głębi rzeki stanowią obraz, jakiby malarz z trudnością stworzyć potrafił. W rozmaitych miejscach a z kilku punktów jest to coś tak uroczonego, że nawet ci, co bardzo do pięknej natury przywykli i dużo po świecie bywali, nie mogli się wydziwić dzikiej piękności naszej okolicy...

Może być że nagle przejście z miasteczka na tę pustynię milczącą pomnaża efekt i czyni go tem silniejszym, że całkiem niespodzianym.

Od ujścia Kamionki idąc brzegiem, prócz kąpiących się w porze letniej których tu wszędzie pełno, nieznajdujemy śladów życia miejskiego; czasem przesunie się strażnik pilnujący wódki, chłopiec z wędką, lub małe gronko ciekawych... Ścieżka wiedzie między łomami skał i zaroślami na pagórek z którego coraz cudniejsze mamy pod nogami widoki. Rzeka płynie ciemna po skalistym łożysku, nad nią zwieszono ściany granitu, gdzieniegdzie jakby zwaliska zamku i mury formujące, a w szparach pełno krzewów i zieleni; w dali świeci się uciekająca woda i lasy. W jednym miejscu jest urwisko z kawałką głazu złożone, które się zowie sokołą skałą. Wedle podania kilku tu ludzi rzucić się miało z niego w głębinę, a że wysokość wielka, a dno ka-



## Житомиръ. Рѣка Тетеревъ.

### SZWAJCARIA ŻYTOMIERSKA. MALOWNICZE BRZEGI TETEROWA

Polski arystokrata, hrabia, powieściopisarz i publicysta Henryk Rzewuski ustami swojego literackiego bohatera, mówiąc o pięknie przyrody w okolicach Żytomierza, powiedział: „Byłem zafascynowany ich widokiem, nawet w Szwajcarii nie widziałem piękniejszych krajobrazów, zwłaszcza że zawsze bardziej lubię swoje własne niż cudze”.

mienne, śmierć była niewątpliwa. Jedna ze skał widziana zdała przedstawia niezłe niby popiersie mężczyzny statecznych rysów, o dużym nosie, a miejscowi przezwali ją skałą Czackiego, na pamiątkę drogiego Wołyniowi męża. Z drugiej strony od młynka zaszedłszy, nie mniej cudnie przedstawia się Teterów w ramach brzegów, najeżonych skałami, z Żytomierzem w głębi obrazu. Cała ziemia ponad urwiskami zasypana jest bryłami głazów ogromnych, widocznie obalonych z góry, zsuniętych i kształtujących w jednym miejscu cypel, wchodzący w rzekę, którą gdzieindziej przecinają i marszczą kamienie podwodne. Nad samą wodą pełno wierzb, bujno rosnących, kaliny, kloników zwanych tatarskimi i różnych krzewów, które gałęzie swe zwieszają od brzegów.

Teterów tu jest może najwspanialszy, ale i dalej przepływając lasy Cudnowskie, w Korosteszowie, także i innych miejscach pełen jest wdzięku, który mu skały i lasy nadają.

W tym rodzaju są niektóre okolice nad Słuczą, i Hniłopiatem, mianowicie w Szumsku.

Dla mieszkańców Żytomierza wszędzie te brzegi rzeki domowej zastępują ogród i wabia na przechadzkę; nieszczęściem codzień siekiera cywilizacyjna i młot

kamieniarzy nadwerężają fizjognomię, której popsucia żaden w świecie porządek nie nagrodzi.

Z drugiej strony, po za cmentarzem, nad drogą szosowaną, jest o parę wiorst od miasta na gościńcu ku Nowogrodowi Wołyńskiemu, w bardzo pięknym położeniu, folwarczek, Topolką nazwany, z ogrodem, domkiem, parkiem do spaceru i domem dla gości. Tu także położenie miejsca nad rzeczką, wśród wzgórz, drzewa, cień i widoki zwabiają przechadzających się i latem liczne bywają zgromadzenia. Do koła otoczona lasami, u podnóża gór, nad rzeczółką położona Topolka, ma w sobie coś niezmiernie miłego.

Porozrzucane tu domki, młynki, fabryczki, przepysny most wzniesiony wysoko, czynią z niej pejzaż, w pewnych dnia porach i oświeceniu zachwycający... Jeszcze ku Stanisławce jadąc brzegiem Teterowa, już spłaszczonym i piaskami pokrytym, dosyć piękne mamy widoki, za to ku Wilskowi płaszczyna pospolita, która za Sokołową górą grozi polesiem zwyczajnym.

Otóż nie pełny i szybko narysowany obraz nasze go miasteczka, o którym by więcej napisać można, gdyby się nie lękało drażliwej miłości własnej ludzi, do



Zytomierz.  
Rzeka Teterów.

występowania publicznego nie przywykłych. Trzeba poszanować ich skromność i bojaźliwość, i choćby się nawet co na ich pochwałę powiedzieć mogło, zamilczeć, aby im nie zrobić przykrości...

Każdy kto tu pobył dłużej, ocenić musiał ludzi, których ogół jeśli nie jest jeszcze towarzystwem wykształconem po europejsku, ma żywioły wszelkie z których się społeczność zacna i pocziwa wyrobić może... Więcej tu cnót i dobrych popędów, niż śmieszności i złego, wielkie zamiłowanie spokoju, uczucia wszystkich ku sobie raczej przyjazne niż niechętnie, religijność gorąca, pobożność prawdziwa, skromność obyczajów przykładna, pogarda zbytku wiele obiecująca. Wady jeśli są, to wspólne z ogółem kraju naszego i takie niestety, które tkwią zbyt u nas głęboko, byśmy się z nich łatwo poprawić mogli, i tu trudniej o wytrwałość niż o zapał, o cierpliwą pracę niż o porywczą ofiarę, próżność gra w nas czasem, duma niepotrzebna rozdyma... ale któż bez ale... a ileż to dobrego płaci za te słabości ludzkie?

Zresztą i to dodajmy, że Żytomierz kształci się i wyrabia po większej części pracą własną i siłą swoją tylko, odsunięty w głąb kraju, położony na krańcu prawie prowincji, mało mający komunikacji ze światem, nie wielu przyjezdnych i z kądem przybyłych, nie ulega żadnemu wpływowi, nawet prowincji, i w sobie czerpać musi zasoby ku przekształceniu. Zwalnia to może postępy jego, ale zapewnia mu utrzymanie się w swoim charakterze, czego byśmy nie tylko Żytomierzowi, ale krajowi całemu życzyli.

Świat idzie dziś drogą dziwną zlewania się wszystkich narodowości i indywidualności, kraje stają się sobie podobne i ludzie nie mają cech wybitnych, równają się umysły, inteligencje, charaktery, fizjonomie; straszno, żeby i nas nie pochłonął ten potop ogólny cywilizacji pozornej a bezbarwnej. Bierzmy od drugich wszystko co dobre, lecz zachowajmy w sobie surowego ducha przeszłości, który nas uczynił tern, czem byliśmy, i szanujmy nawet najdrobniejsze pamiątki, odcechowujące nas od tego tłumu, co nie ma dziś ani ojczyzny którąby kochał, ani wiary, za którą by dał życie...

Józef Ignacy Kraszewski.  
Wieczory wołyńskie, Lwów, 1859

(Opublikowano ponownie przez Ośrodek „Wołanie z Wołynia” w 2015 roku, ISBN 978-83-88863-72-X)

## Przypisy

1. Franciszek Tegazzo (1829-1879) - malarz i ilustrator czynny w Warszawie i Petersburgu. Zajmował się także malarstwem religijnym, jego obrazy znajdują się w kościołach Mazowsza. Zob.: Jarosław Maciej Zawadzki, Franciszek Tegazzo 1829-1879: malarz niespełniony, ilustrator z konieczności, Warszawa 2009.
2. Antonio Possevino (1533-1611) - dyplomata, legat papieski, jezuita. Przyczynił się do zawarcia w 1582 r. polsko-rosyjskiego rozejmu w Jamie Zapolskim. Pozostawił wnikliwy opis państwa rosyjskiego i rządów cara Iwana IV Groźnego. Zob.: Antonio Possevino, Moscouia. Po raz pierwszy w całości przetłumaczył ks. Albert Warkotsch, Warszawa 1988.
3. Ks. Michał Prymowicz - unicki (grekokatolicki) oficjał kijowski. Drobny twórca seminarium grekokatolickiego w Żytomierzu. Zob.: Maryan Dubiecki, Na Kresach i za Kresami. Wspomnienia i szkice, Kijów 1919, s. 124.
4. Michał Chabotin (f 1861) - żytomierski kupiec, który w 1856 r. ufundował cerkiew pw. św. Michała w Żytomierzu. Obecnie w tej świątyni mieści się Sobór Katedralny UKP Patriarchatu Kijowskiego. Jako fundator świątyni został pochowany pod jej prezbiterium.
5. Sanguszkowie - magnacki ród książęcy, będący gałęzią litewskiej dynastii Giedyminowiczów, a wywodzący się od przyrodniego brata króla Władysława II Jagiełły Fedora, syna Wielkiego Księcia Litewskiego Olgierda, syna Wielkiego Księcia Litewskiego Giedymina. Ostatnim ordynatem zaślawnym był książę Roman Damian Sanguszko (1832-1917).

6. „Tygodnik Petersburski” - pismo polityczno-literackie w języku polskim, wydawane w St. Petersburgu w latach 1830-1858 pod redakcją Józefa Emanuela Przeclawskiego i Franciszka Malewskiego. Ze środowiskiem „Tygodnika Petersburskiego” przejściowo był związany Józef Ignacy Kraszewski.
7. Michel David Bizardiere - historyk francuski.
8. Marcin Bielski (ok. 1495-1575) - żołnierz, historyk, autor Kroniki Polskiej (wyd. Kraków 1597).
9. Maciej Strykowski (1547- między 1586 a 1593) - polski historyk i poeta. Autor dzieła Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi (wyd. Królewiec, 1582).
10. Marcin Kromer (1512-1589) - humanista i historyk, bp warmiński (od 1579 r.). Autor kilku dzieł poświęconych historii Polski.
11. Aiexsan(ler Gwagnin (Alessandro Guagnini) - polski historyk, żołnierz i dziejopis pochodzenia włoskiego. Autor dzieła Sarmatiae Europaeae Descriptio (1578) - Kronika sarmacji europejskiej (przetłumaczona w 1611 r. przez Paszkowskiego).
12. Jan Kochanowski (1530-1584) - polski poeta epoki renesansu.
13. Argmida i Syloret - dzieła poety epoki baroku Wacława Potockiego (1625 - przed 1697).
14. Piotr Skarga (1536-1612) - jezuita, kaznodzieja i pisarz. Autor wielokrotnie wydawanych i wznawianych Żywotów Świętych (Wilno 1579).

# Skąła Czackiego w Żytomierzu

## Dawna legenda mrożąca krew w żyłach

# W

okolicach Żytomierza, które dzięki malowniczości brzegów rzeki Teterów nazywane bywają „Szwajcarią wołyńską”, znajduje się Skąła Czackiego (granitowa podobna założyciela liceum w Krzemieńcu). Ten geologiczny pomnik przyrody i związana z nim legenda zostały opisane w 1863 r. na łamach popularnego warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” przez polskiego prawnika i pisarza Jana Prusinowskiego. Publikujemy ten ciekawy artykuł w całości.

„Grób wielkiego wygnańca na wyspie św. Heleny osadzono płaczącymi wierzbnami, a sploty zwieszających się gałęzi, przy stosownym oświetleniu słonecznym, tworzyły postać bohatera, w zwykłej postawie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Był to niby powietrzny pomnik, stawiany w pewnych chwilach przez tajemniczego ducha natury, łączącego grę światła i cieni w znane kształty, przed okiem szukających złudzenia wędrowców...

Podobnego doznajemy złudzenia na brzegach pod Teterowem pod Żytomierzem, na kilkadziesiąt kroków przed ujściem Kamionki. Tajemniczy ten duch natury, wyprzedzając oznakę pamięci ziomeków, wyrażoną przed kilku laty w posągu p. Oskara Sosnowskiego, uformował na wierzchołku jednej ze skał zwanych Sokulą, głowę Tadeusza Czackiego. Układ kilku kamieni, trochę żwiru i mchu i karłowata brzoźka, jakby zaklęta w swym wzroście, przy odpowiednim kierunku promieni słonecznych, wydolne rysy starosty nowogródzkiego, mającego tyle prawa do pamięci potomnych. Z kilku punktów na brzegu rzeki i z kilku innych na samej rzece, powtarza się to miłe złudzenie, nadające ustroju charakter powagi tradycyjnej. Jakoż każdy rybak, wprowadzając nieznanego do swej łódki, z pewnością zapyta: Czy płynąc do skały Czackiego? i zatrzyma czółno w miejscu stosownym, dla ukazania jego posągu, wyciosanego przez samą naturę.

Lecz inne jeszcze podanie, podanie czysto ludowe, przywiązane jest do tego szeregu skał nadteterowskich zwanych Sokulą... Ale serce dziewcząt (dziewcząt powieści ludu) nie pyta zwykle o nic i polega na miłosnych zaklęciach kochanka. I nasz więc Kozak z łatwością zawrócił głowę pięknej futorzanki, córki innego Kozaka, zwanego Sokołem i mającego chutor na górze znanej do dziś dnia pod imieniem Sokołowej góry, odległej od Żytomierza o staj kilka, przy dawnej drodze pocztowej do Zwiaha. Awanturniczy Kozak, uwiódłszy dziewczynę, nie troszczył się o jej dolę, i przysięgając miłość dozgonną gotował zdradę bliską.

Razu pewnego, wracając z chutoru Sokoła, z myślą nie powrócenia nigdy do kochającej go dziewczyny, skamieniał wraz z koniem w tym miejscu wówczas pustym, które dziś stanowi mały placyk, przedłużający główny rynek miasta. Miejsce to, przed przeprowadzeniem drogi bitej, wypełnione było małych drewnianych domków. Upewniało mi kilka starych ludzi, że przed jednym z tych domków, przy ciasnej uliczce, leżał wielki kamień, mający niejaki podobieństwo do tułowiu końskiego, z siedzącym na nim jeźdźcem, a gmin, wskazując na ten kamień, chciał widzieć potwierdzenie swojej powieści, której koniec niemniej jest cudowny.





Uwiedziona futorzanka z Sokolowej góry, zwana od imienia ojca Sokulą, poznawszy przez siłę czarów zamysły zdradne kochanka, zamieniła go, jak widzieliśmy, tąż mocą czarów, w głaz nieruchomy. Lecz żądza zemsty trwała tylko chwilę, miłość przemogła. Puściła się więc za nim w pogoń, a ujrzawszy, że przybiegła za późno, nieukojona w żalu i rozpacz, rzuciła się do rzeki ze skały w której miał schronienie. Stąd nazwa tych skał Sokula, od imienia nieszczęśliwej kochanki...

Lud jednak rzadko kończy karę swoich bohaterów wraz ze śmiercią. Wiara w nieśmiertelność duszy, głęboko wkorzeniona nawet w czasach przedchrześcijańskich, każe fantazji ścigać ich za grobem... Posłyszycie więc zapewnie-

nia między tutejszym ludem, że pod skałami Sokóli dają się często widywać nocami jakieś postaci czerwone, niby krwią opłynione, własną czy cudzą, a jest to samobójczyni Sokula i jej kochanek, ze współnikami swego zbrojstwa.

Malownicze to ustronie brzegów Teterowa, zwane skałami Sokóli, albo skałą Czackiego, mamy już w albumie p. Wilczyńskiego; lecz załączony tu szkic pani P. lepiej uwydatnia charakter skały, noszący imię patrona niegdyś krzemienieckiej szkoły".

*Jan Prusinowski,  
Skała Czackiego pod Żytomierzem,  
Tygodnik Ilustrowany Nr 210, 1863 r.*

# Klasztor Sióstr Szarytek w Żytomierzu

## Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo

---

# W

XVIII wieku w Żytomierzu powstała pierwsza placówka medyczna w historii miasta. W 1766 r. biskup Andrzej Załuski ufundował w Żytomierzu klasztor sióstr miłosierdzia szarytek. Oficjalna nazwa – Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. To żeńskie katolickie zgromadzenie zakonne zostało założone w 1633 r. przez francuskiego prezbitera katolickiego, opiekuna sierot i ubogich Wincentego à Paulo i francuską świętą Ludwikę de Marillac.

W Żytomierzu Szarytki założyły pierwszy bezpłatny szpital (wtedy nazywano go Szpitalem Sióstr Miłosierdzia), aptekę, sierociniec dla kalek i sierot, przytułek dla seniorów i szkołę dla sierot. Kilka pomieszczeń w klasztorze przeznaczono również dla chorych żołnierzy.

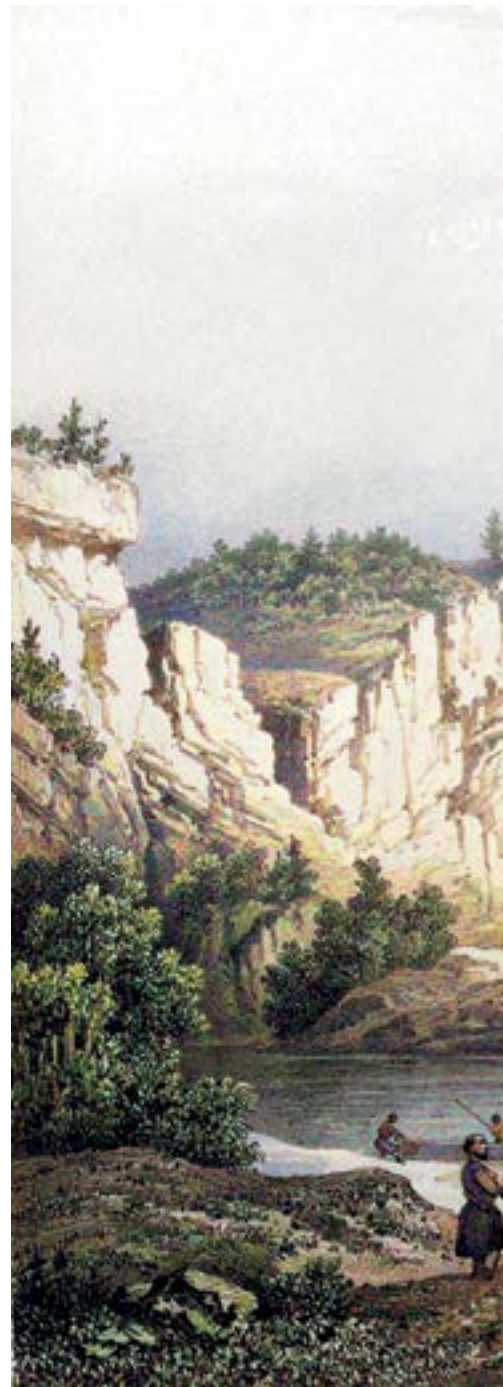
„Klasztor ten stoi nad brzegiem Teterowa, w najpiękniejszym położeniu, na wzgórzu nad rzeką, wśród której gdzieniegdzie u brzegów i w łożysku sterczą szare skały, a podniosłe obrywy okryte są bujną zielonością. Widok z klasztoru i na klasztor dziwnie malowniczy, jak wszystkie okolice Teterowa, który płaci za swą niespławność, krajobrazami niezrównanego wdzięku.

Chociaż miejsce wybrane na klasztor jeszcze nie daje całkowitego wyobrażenia o piękności brzegów rzeki, w swoim jednak rodzaju bardzo szczęśliwie potrzebom takiego rodzaju instytutu odpowiada. Tuż przy dość obszernych murach zasadzony drzewy stromy rzeki brzeg, z którego widać w głębi siną wstęgę Teterowa, a na przeciwnej stronie zielonością obrosłe wzgórze... Woda wszędzie tu prawie ściśniona skałami, przerywana się przez nie wijąc kapryśnie, a nad nią zwieszają się bujne wierzb i łązy, i poplątanych zarośli gałęzie. Oko idąc nad biegiem dalszym rzeki, gubi się w sinych oddalonych pagórkach, okrytych lasami” – tak Józef Ignacy Kraszewski opisał teren, na którym znajdował się klasztor Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo. [1]

Według polskiego historyka i pamiętnikarza Mariana Dubieckiego, biskup Andrzej Załuski złożył w depozycie u bankiera Teppera 30 tys. złotych polskich na ufunodowanie klasztoru sióstr miłosierdzia w diecezji kijowskiej. Śmierć niespodziana (w r. 1774) nie pozwoliła mu oglądać urzeczywistnienia swej myśli filantropijnej, niemniej jednak zabiegi rozpoczęte wydały owoce. W roku jego zgonu sprowadzane przez niego szarytki przybyły z Pułtusza i w jednym z małych drewnianych domów miasteczka zostały umieszczone.

Wkrótce dom ten spłonął. Kupiony inny przy katedrze był za szczypty na szpital i szkołę dla sierot. Już w XIX wieku, chcąc rozwinąć swą działalność opieki nad chorymi i dziećmi, wyniosły się one o półtora kilometra poza miasto. Nad brzegiem Teterewu, u krawędzi obszernego gaju, w miejscowości wyniosłej, suchej, zdrowej, oddzielonej od miasta przestrzenią pustego pola, które zaczęło nosić nazwę „plac paniński”, wytworzyły z fundacji biskupa J.A. Załuskiego nową siedzibę dla swych chorych i sierot. [2]

Dziś obszar ten znajduje się w obrębie miasta, w rejonie obecnych ulic Wielkiej Berdyczowskiej, Dowżenki, Starego Bulwaru i rzeki Teterów. W tej chwili zlokalizowane są tam placówki medyczne: szpital wojskowy, szpital obwodowy i miejski szpital dziecięcy.





„Cesarz Aleksander I, za wstawieniem się gubernatora Bartłomieja Giżyckiego, powiększył ich uposażenie, nadał im Wilsk; mogły odtąd znacznie rozszerzyć swą działalność humanitarną. Zawsze w ich klasztorze było 14 siostr opiekujących się 50 chorymi, wychowujących i uczących sieroty – 160 dziewcząt i 60 chłopców” – pisze Marian Dubiecki w swoim szkicu pt. Dawny Żytomierz. [3]

W 1831 r., po stłumieniu powstania listopadowego, klasztor jako potencjalny „generator zamętu i wolnomysłicielstwa” został objęty dekretem zakazującym przyjmowania do niego nowych siostr miłosierdzia, a po śmierci ostatniej miał zostać zamknięty.

Mimo to klasztor działał jeszcze przez ponad 30 lat. W roku 1842 odebrano im uposażenie, jakie posiadały w ziemi [4], jednak w latach 1855 – 1856, podczas wojny krymskiej, w klasztorze leczono rannych obrońców Sewastopola. Co więcej, w 1857 roku przełożona klasztoru nazwiskiem Dzwilowicz

przekazała dziesięć pomieszczeń zgromadzenia siostr miłosierdzia szpitalowi wojskowemu.

Klasztor nadal potajemnie przyjmował nowe siostry, którzy były rejestrowane pod imionami zmarłych zakonnic. Jednak po powstaniu styczniowym specjalna inspekcja z Petersburga, która dotarła do Żytomierza, ujawniła tę sztuczkę i w 1865 r. klasztor został całkowicie zamknięty. Wszystkie budynki szarytek zostały przekazane szpitalowi wojskowemu, który znajduje się tu do dziś.

W 1943 r. w wyniku bezpośredniego trafienia bomb, – w trakcie sowieckiej ofensywy zrzuconych na miasto przez lotnictwo Armii Czerwonej – zniszczeniu uległa większość zabudowań klasztornych. Z trzykondygnacyjnego budynku klasztoru pozostało tylko pierwsze piętro i piwnica.

Tak zakończyła się historia klasztoru Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo w Żytomierzu.

Redakcja



## Powstanie 1863 roku na Ukrainie wybuchło w maju

Największe bitwy toczono pod Żytomierzem

*...I od Karpat krzyk weselny  
Zabrzmi aż do Dzwiny,  
Żyj Różycki, żyj nasz dzielny,  
Synu Ukrainy!...*

**T**

\* \* \*

emi słowy piosenki powstańczej, piosenki bojowej, sławiła zbrojna młodzież wołyńska, idąca w nader nierówny bój z wrogiem, w dniach majowych 1863 r., wodza swego generała Edmunda Różyckiego...

Imię to w epoce Styczniowego powstania, na obszernych przestworzach Zabuża w ustach wszystkich brzmiało, w sercach starszego i młodszego pokolenia znajdowało oddźwięk pełny

sympatii. Jeszcze przed wybuchem Styczniowego powstania, nim jego płomień od Karpiskich lasów, od równin Rawy i wybrzeży Wisły a Świętokrzyskich wyżyn przedarł się na Wołyń, sięgnął Słuczy i Teterowa, myśl ogółu na całym Zabużu, instynktownie niejako, wskazywała na Edmunda Różyckiego, jako na człowieka, który do zwycięstw wieść tam powinien zbrojne szeregi ruchu narodowego. [...]





**Marian  
Dubiecki,**

polski historyk,  
sekretarz Rusi w  
Rządzie Narodowym  
powstania  
styczniowego

W „Wydziale Rusi” nowokreowanym, Edm. Różycki objął jedno z trzech stanowisk; drugie dostało się powszechnie cenionemu profesorowi Kijowskiego uniwersytetu, dr. Iz. Kopernickiemu; a na trzecim krześle widzimy człowieka lat starszych, ale znacznym mirem wśród młodzieży cieszącego się, X.

Edm. Różycki, chociaż utrzymał stanowisko w Kijowie, Żytomierza na czas dłuższy nie opuszczał. W Żytomierzu wchodził do Zarządu Wołynia i uprawiał stosunki ze szlachtą bliższych okolic, gdzie w całej mocy żyły jeszcze tradycje „pułku jazdy wołyńskiej”, zorganizowanego przez Karola Różyckiego, w r. 1831. Teżsame okolice, które były miejscem powołania oddziału Karola Różyckiego, zorganizowały pułk „jazdy wołyńskiej” pod Edmundem Różyckim.

Zimę z r. 1862 na 1863 przepędza on w Żytomierzu, w cichem zaciszu, na jednej z nowo-przeprowadzonych wówczas ulic, poza teatrem. Lokal maluczki, z jednego pokoju i przedpokoju złożony nieustannym był celem pielgrzymek, również tych, co skłaniali się do propagandy ruchu zbrojnego, jak i żywiołów umiarkowanych, a nawet najbardziej konserwatywnych wśród szlachty bliższych i dalszych okolic. Jedni przybywali ze sprawozdaniami, inni po instrukcje, a najczęściej by grunt zbadać, powziąć języka i, opierając się na wieściach w przelocie w mieście gubernialnem złapanych, rozprawić a politykować w powiecie. Z odwiedzającymi interesantami załatwiał sprawy szybko; zdaje się, że to nie była rola właściwa jego usposobieniu; unikał więc jej, o ile zdołał. Jeżeli zaś usunąć się nie mógł od spraw administracyjnych, jeżeli potrzeba było rozwinąć powagę władzy, umiał być wobec polityków wiejskich nader stanowczym. Wiemy, iż pewnego rokoszana z powiatowej organizacji, wezwawszy do Żytomierza, z dziwną szybkością jednym słowem napomnienia do porządku przyprowadził. Skoro raz organizacja tajemna zajęła stanowisko swoje w robotach przygotowujących powstanie, które miało stać się echem wypadków, zbliżających się w Kongresówce, nie pozwalał on urzędnikom organizacji schodzić z rzeczonyj drogi; spotykały się bowiem indywidualia, na różnych, nawet na wyższych szczeblach sprzysiężenia stojące, samowolnie zawracające na inne drogi w chwilach stanowczych, w przeddniu wybuchu. O ile wiedział o wypadkach tego rodzaju, o ile jego głos mógł dosięgnąć paraliżujących ruch zbrojny w chwilach stanowczych, wstrzymywał ich i zwracał na drogę dobrowolnie przyjętych zobowiązań.

W pierwszych dniach grudnia 1862 r. odbywał Edmund Różycki, wraz z Ant. Cham., podróż do Warszawy: chodziło o wyrozumienie ostateczne zamierzonych działań tamecznej, przedpowstańczej konspiracji. Podróż trwała dni kilka zaledwie. Wrócono z twierdzeniem stanowczym, iż konspiracyjne działania stoją na pochyłości prowadzącej do wybuchu... Przewidywano już wówczas w Warszawie brankę massalną, przewidywano też zarazem, iż ona ostatecznie przechyli szalę przeznaczeń... iż nikt i nic nie wstrzyma wielotysięcznego sprzysiężenia od ujęcia za oręż...

Po sześciu zaledwie tygodniach przewidywania ziściły się ...

Nie piszemy w niniejszym szkicu biograficznym zarysu walki ówczesnej, a przeto stajemy zdala od wszelkich roztrząsań, tyjących się robót przygotowujących ruch zbrojny w zabużańskich okolicach.

Obecnie jedynie pragniemy nakreślić bodaj ogólne kontury postaci Edmunda Różyckiego i jego udziału w rzeczonyj walce.

\* \* \*

Wybuch styczniowy w Królestwie rozstrzygnął o zachowaniu się dalszem ziem zabużańskich i zanie-meńskich. Powstanie w rzeczonych ziemiach stało się już tam kwestyą niedługiego czasu.

Walka na Litwie, dorywcze wystąpienie w Inflantach były niejako zapowiedzią, iż rychło fala ruchu zbrojnego uderzy o południowe okolice, rozleje się na przestworzach ziem zabużańskich. Usiłowania Edm. Różyckiego wstrzymywały wybuch w rzeczonych ziemiach do chwili przygotowań zupełniejszych, do dni późniejszej wiosny, gdy działania powstania wołyńskiego będą mogły być skombinowane z ruchami oddziałów galicyjskich, które wkroczyć miały z Galicyi na Wołyn, pod generałem Józefem Wysockim. Do tych planów Wysockiego zastosowywał się i termin wybuchu na całym Zabuzu.

Spiskowe prace na Zabuzu prowadzono przeważnie powoli, i jeżeli gdzie spotykano tam żywioły, które od dołu do góry parły, by przyspieszyć wybuch, to jedynie wśród niektórych kół młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie. Koła te już w lutym marzyły o jakimś dorywczym czynie w samym Kijowie, i głównie wdaniu się Ed. Różyckiego zawdzięczać należy, że nie przyszło do urzeczywistnienia myśli pełnej hazardu.

Przygotowania powstańcze prowincyj zabużańskich na papierze, w sprawozdaniach rozmaitych funkcjonaryuszów organizacji, okazywały się wielkimi, rzeczywistość zaś była inną. Toż samo spotykano w Królestwie. Ludzie często zawodzili; a wróg, wybornie świadomy, iż wybuch zbliża się, rozwinął cały szereg swych sił, środków, zabiegów, by unicestwić powstanie w samym zawiązku. Dowiedziona rzeczą, że władze nieprzyjacielskie na Zabuzu, wiedząc o mającym nastąpić tam wybuchu, i pracując na drodze propagandy ludowej w celu sparaliżowania ruchu, pragnęły spieszego rozwiązania katastrofy. Spisek był dla nich niewiadomą, która w oczach niektórych wśród nich do rozmiarów zbyt wielkiej siły urastała, naturalną przeto stawało się rzeczą, iż tę niewiadomą pragnęli zamienić na ilość znaną, wiadomą. Niepewność ich przytłaczała, copędzej więc chcieli wyjść z tej dziedziny ciemności: wybuch miał być dla nich promieniem, oświecającym sytuację. Obie strony przygotowywały się w cichości do chwili stanowczej. Spiskowi dążyli do uzupełnienia przygotowań, rząd najezdniczy w cichości podniecał namiętności ludowe.

Stanowcza chwila rychło nadeszła. Po tajemnych zabiegach obu stron w marcu i kwietniu, zaświtał dzień 8 maja, oddawna zapowiedziany, i już od początku kwietnia w sferach zwierchności spiskowej znany, jako chwila zamierzonego wybuchu. Różycki wczesną wiosną odbywał tajemną podróż za kordon austriacki, gdzie zjeżdżał się z generałem Józefem Wysockim, i tam we wsi Sidorówce (siedzibie Adama Pajgierta), po naradach, uchwalono termin wybuchu na 8 maja dla ziem Wołynia i Ukrainy.

Dzień 8 maja, 1863 r., zastał Edm. Różyckiego na stanowisku, które zakreślał mu plan działań na Zabuzu; zastał o kilka mil na zachód od Żytomierza, w lasach cudnowskich. Na kilka dni przedtem, a

mianowicie dnia 3 maja, w Żytomierzu go jeszcze widziano, gdy żegnał odjeżdżającego do Warszawy tego, który miał być łącznikiem między organizacją powstańczą Zabuzzańską, a głównym kierownictwem powstania, mającym właśnie wtedy, po dniach dziesięciu, przekształcić się na Rząd Narodowy. W czasie owego pożegnania przyszedł wódz jazdy wołyńskiej pełen był wiary w walkę, do której wtedy właśnie oręż z pochwy wyjmował. Wiarę swą jak zawsze opierał na tej prawdzie, iż „los bitew w rękę Pana Zastępów”, że „Bóg często siły użycza i tym, co słabi z pozoru”... i w owej chwili, podobnie jak później, jak w ciągu życia całego, wiara jego streszczała się w słowach, które nakreślił w liście do pewnego młodzieńca (w r. 1878): „Z pomocą Bożą, w czas Boży, bez wahania się będziemy mogli pójść w szczupłej garstce na milionową terazniejszą armię moskiewską; bez tej pomocy, bez tej opieki, i w trzy miliony przegramy przeciw stu koni[7]”. Zwycięstwo mienił łaską Bożą; a przeto o rzeczonyj łasce i jej nabyciu tak się wyrażał, w wyżej przytoczonym liście: „Przyłożmyż się całą duszą, robiąc to, co nam Bóg w obowiązkach naszych nakazuje, do pozyskania tej łaski najwyższej, niezbędnej nam do oswobodzenia tak biednej, a tak ukochanej przez nas ojczyzny naszej[8]”...

\* \* \*

W przeddniu wybuchu powstania na Zabuzę, t. j. d. 7 maja, we czwartek, zbierały się małe jezdnych gromadki, na uroczysku nazywanym się „Pustocha”, w lasach Karpowieckich. Z tych maluczkich konnych i zbrojnych gromadek urósł miał ów nieliczny, ale mężny i karny pułk jazdy wołyńskiej, który pod ubóstwianym swym wodzem Edmundem Różyckim, wśród licznych zastępów wojsk nieprzyjacielskich, wśród ogólnych klęsk powstania, szerzących się dokoła, zdołał utrzymać się trzy tygodnie na Wołyniu, zdołał okryć się sławą na polach Salichy, i nie uległ ani razu porażce, ani na chwilę prąd trwogi nie przebiegał jego szeregów. Do takiego wyższego moralnego poziomu mało urastało ówczesnych oddziałów powstańczych; niewiele wśród nich liczone takich, któreby mogły na liście swej służby bojowej posiadać słowa tak wielkiego uznania, jakie potomność zapisuje na karcie wspomnień o pułku „jazdy wołyńskiej” generała Edm. Różyckiego.

„Pustocha”, uroczysko, w okolicy wioski Karpowiec położone, zaliczało się ongi do województwa Kijowskiego, pow. Żytomierskiego. Tam się zebrały i usztyftowały pierwsze kadry jazdy wołyńskiej; ztamtąd, nazajutrz po usztyftowaniu, wyruszyły one, licząc zaledwie szóstą część owej ilości, na jaką podczas doby przygotowań liczone. Spodziewano się, że oddział ten naczelny stanie od razu we dwanaście setek, natomiast dwustu zaledwie konnych w dniu pierwszym widziano. Podobnych niespodzianek, zawodów i rozczarowań na każdym kroku niemało spotykano; ale niemi ludzie tej miary, co wódz owej jazdy wołyńskiej, zrażać się nie mogli i nie zrażali. Były to początki, mające wkrótce urósł i rzeczywiście urastały one, a cała jazda miała być tylko częścią owych oddziałów, co się tworzyły na Wołyniu wschodnim i ku Kijowszczyźnie pod Ciechońskim, Chranickim, Krzyżanowskim i innymi, a również i tych, które z Galicyi, pod gen. Józefem Wysockim, lada chwila spodziewanymi były. Czynności Edm.



Różyckiego najzupełniej zależnymi być miały od wejścia Wysockiego, z którym wspólnie działać zalecały plany i uchwały, z nim w Sidorówce, jak już wyżej wskazaliśmy, przedyskutowane[9].

Obóz Różyckiego, zatoczony na leśnych polanach „Pustochy”, odosobnionym nie był: tworzyły się, lub, wedle planów i sprawozdań, tworzyć się miały poza nim, i w dalszej odległości, po obu jego skrzydłach, mniejsze i większe oddziały, gromady i gromadki zbrojne pod Borowskim, Piotrem Chojnowskim, Jul. Świącickim, Władysł. Henszlem, Zielińskim, Krzyżanowskim, Ciechońskim, Romualdem Olszańskim, Chranickim. Nad całą plejadą owych szyków powstających Ed. Różycki naczelną posiadał władzę; sam zaś wówczas zależał od generała Józefa Wysockiego, co wszakże wkrótce zmienionem zostało.

Los mieć chciał, iż prawie wszystkie te oddziały, z wyjątkiem trzech — Krzyżanowskiego Chranickiego i Ciechońskiego — na dnie, a nawet omal nie na



**POWSTANIE  
STYCZNIOWE 1863  
ROKU. W LASIE KOŁO  
ŻYTOMIERZA,**

Stara rycina

godziny istnienie swe liczyły — ale, w pierwszych chwilach swych operacji, Różycki o ich oplakanych kolegach nie wiedział, lub jeszcze nie dosięgnęły ich były klęski ostateczne.

Pułk jazdy wołyńskiej, czyli jak go pospolicie nazywano „oddział Różyckiego”, po ostatecznym swym sformowaniu się, liczył 850 ludzi: t. j. składał się z pięciu szwadronów kawalerji (w każdym szwadronie widziano od 140 do 145 głów) i 150 piechoty[10]. Obóz składał się z 85 furgonów. Piechota — jak twierdzi świadek naoczny — pełniła przeważnie służbę przy furgonach, czynną zaś była jedynie w chwilach stanowczych, podczas gwałtownej potrzeby[11].

Jednocześnie z usztyftowaniem rzeczonoego pułku, który mieniono też niekiedy „pułkiem jazdy ziem ruskich”, Edm. Różycki otrzymał od Rządu Narodowego stopień generała, którym to tytułem nazywać go odtąd będziemy w dalszym ciągu niniejszego wspomnienia.

Przy boku generała widziano sztab bardzo nieliczny: szef pułku, komissarz Rz. Nar. Stanisław Dunin, kapelan x. Eustachy Szczeniowski (nieodstępujący wodza ani na chwilę) i adjutanci — Aleksander Frankowski, Sierzputowski i Józef Miaskowski. Wśród grona oficerów byli: August Mazewski, Prozor, Machczyński, Konopacki, Szaszkievicz, Klukowski — jako dowódcy szwadronów — Jan Burzyński, Henryk Piegłowski, wśród innych, dowodzili plutonami[12].

Trzy tygodnie zaledwie trwać mająca wyprawa oddziału gen. Różyckiego rozpoczęła się marszem d. 8 maja, 1863 r., ze wspomnianej wyżej „Pustochy” i głównie skierowywała swe siły ku zachodowi, zkąd miały nadejść, jak już zaznaczono, posiłki galicyjskie, pod gen J. Wsockim. Pierwsze kruki „jazdy wołyńskiej” szły w kierunku rzeki Słuczy, którą przebyto w miasteczku Lubarze, i sam Lubar, bez oporu prawie żadnego załogi, zajęto w tymże dniu. Załoga wzięta do niewoli została wypuszczoną z rozkazu generała. W Lubarze „jazda wołyńska” miała przed sobą dnie



**MAJ 1863.  
ŻYTOMIERSCY  
POWSTAŃCY W  
MIROPOLU**

Rysunek Juria Dubinina

pełne nadziei: z poza kordonu spodziewano się na pewno znacznie większych sił powstańczych, podczas gdy pod bezpośrednim naczelnym dowództwem generała tworzyły się, lub już były utworzone szeregi piechoty, pod kierownictwem pułkowników Ciechońskiego i Chranickiego. Ostatni mienić się mógł skrzydłem prawym, w niezbyt dalekiej odległości dążącym ku niższemu biegowi Słuczy, prawie równoległe z „jazdą wołyńską”, a Ciechoński tworzył niby przedmurze tych sił, oparte o lasy tak zwane „Cwetu” (jedynej większej na Wołyniu puszczy, połączonej z pasmami lasów, a wreszcie trzęsawisk Polesia), zachowując ciągłe czucie z oddziałem generała. Ciechoński, wraz z partyzantami Chranickiego i Rudnickiego, posiadał siły omal nie przekraczające liczbą sił Różyckiego, zwłaszcza Ciechońskiego oddział co do ilości poważnie stawał, stosunkowo do ówczesnych okoliczności i warunków. Liczył on, po przyłączeniu się dwóch tylko co wspomnianych dowódców, około 700 głów nieźle uzbrojonej piechoty i dwa szwadrony jazdy. Piechota posiadała 500 strzelców z dubeltówkami i myśliwską bronią dość dobrą — niekiedy kosztowną — tudzież dwieście kos, razem 1000 żołnierza, jak na powstańca dość dobrze uzbrojonego; młodego wprawdzie, dopiero ćwiczącego się, pod naciskiem zbliżającego się zewsząd nieprzyjaciela; może niezbyt karnego, ale

niemniej pod względem moralnym bardzo wysoko stojącego. Zapału, szczególnie wśród młodzieży uboższej powiatu Zasławskiego, wśród oficyalistów tamecznych dóbr, było bardzo dużo. Z takiego materiału umiejętna dłoń uczynić mogła wiele, byleby stosowny czas zdołał się znaleźć; na nieszczęście, czas się ten nie znalazł: Ciechońskiego kadry, zaledwie wytworzone, porażono na głowę, zanim dłoń gen. Różyckiego zdołała wytworzyć z tego dobrego materiału siłę pożyteczną.

Rozbicie Ciechońskiego zaszło później, w dzień dni po zajęciu Lubaru przez jazdę wołyńską; lecz wówczas, gdy Różycki nad Słuczą stawał, nie było mowy o klęskach: przed Słuczą wszystko zdawało się rokować dni stosunkowo pomyślne; o porażkach, o krwawych scenach Sołowiówki, o rozbewstwieńiu ludu, o wytwarzaniu przez policję i popów nowej Koliszczyzny, co wszystko ku wschodowi, poza Słuczą, po dniach paru, lub niewielu godzinach miało mieć miejsce — jeszcze nie wiadomo. Owszem, były to czasy najszerszego rozwoju powstania na całej przestrzeni dawnej Polski w zaborze rosyjskim, podczas gdy inne dwa zabory niosły mu pomoc skuteczną, a generał jazdy wołyńskiej ze słuszną dumą mógł spoglądać na szyki nieliczne, lecz karne, i oddane swemu wodzowi całą duszą.

Żywioty, z których składała się owa jazda, do celniejszych pierwiastków ówczesnego społeczeństwa zaliczały się. Rekrutowała się ona ze szlachty tego zakątka ukraińsko-wołyńsko-podolskiego, która niegdyś dostarczyła wiarusów do pułku jazdy Karola Różyckiego, a zawsze obfitował w szlachtę o zacięciu żołnierskim, o bujnej fantazyi, przypominającej dawną przeszłość stepowego rycerstwa. Rycerska fantazyja, cechująca oddział Różyckiego, wyróżniała go nie tylko z tego wszystkiego, co było powstaniem na Zabuziu, ale ze wszystkich innych sił ówczesnego zbrojnego ruchu. Widziano w szeregach tej jazdy wołyńskiej niemały procent ziemian, ludzi lat starszych, pewnego życiowego doświadczenia, obok dużej liczby młodzieży szlacheckiej i wieśniaczej: wśród pierwszej spotykano młodzież wykształconszą, niemniej zaś znaczny zastęp uboższej, rekrutującej się z warstw nader patryotycznych oficyalistów, dozorców gospodarstw większych; a druga połowa młodzieży — to kozacy dworscy zamożniejszych ziemian, lud wybitny i bardzo roztropny, to kontyngens czeladzi dworów szlacheckich. Pierwiastek ludowy był tam więc dość licznie reprezentowany i, obok mowy i komendy polskiej, brzmiała tam często mowa rusińska; piosenka rusińska często unosiła się nad szeregami, język rusiński brzmiał często w obozie, a miano serdeczne, pod którym w obozie znano wielce kochanego wodza, nie inne było jak Bat'ko. Patrzano na Bat'ka okiem prawdziwie synowskiej miłości, która stała się cementem karności, podwaliną posłuchu i poddawania się zupełnego rozkazom wodza.

Dajemy tu głos jednemu z żołnierzy jazdy wołyńskiej, który, po trzydziestu latach, na mogile generała składa taką relację o ówczesnych stosunkach obozowych i karności w szeregach:

„Kto raz go poznał — mówi ów szeregowiec, bojownik z pod Salichy — ten musiał go serdecznie kochać i wysoce szanować... W obozie nazywano go powszechnie Bat'ko, i każdy z nas wskoczyłby był w ogień za nim... Generał był w obozie bardzo przystępny dla każdego i nadzwyczaj sprawiedliwy... nazywał nas wszystkich braćmi[13]”...

Pełne prostoty echo to czasów, o których mówimy, najlepszym świadectwem stosunków panujących w obozie generała i zarazem rysem wybitnym charakteru człowieka i wodza.

Karność w jego szeregach wielką była, lecz nie groza ją wytwarzała; płynęła ona z wyższych pobudek. Rozróżniał on karność w innych wojskach i u innych ludów, od karność, jaka w powstańczych szeregach ma panować... „Powołani jesteście — mówił on — wyrabiać w sobie karność inną, a daleko wyższą drogą, nie przez strach ludzi, a przez bojaźń Bożą; nie pod grozą, a z własnej woli, przez miłość dla Boga, dla prawdy, dla ojczyzny[14]”...

\* \* \*

Stojąc nad brzegami Słuczy, generał miał po obu swych skrzydłach nieprzyjaciela, w mniejszej lub większej odległości: na prawem, w Miropolu, Baranówce, Zwiąhlu; w dwóch ostatnich miejscowościach artylerya; na lewem zaś, ku Podolowi, piechota i dywizya kawalerji (ułańów) gen. de Doulier; od czoła nagromadzono znaczną siłę w Star. Konstantynowie, których późniejszym zadaniem miało być osaczenie, oskrzydlenie i zamknięcie przejścia Różyckiemu. Szedł on dość wolnym marszem, przez Giżowszczyznę, Derewicze,

ku Połonnemu. W każdej z większych osad zebranemu ludowi odczytywano tak zwane Złote Hramoty, zapewniające wieśniakom to, co manifest Komitetu centr., z dnia 22 stycz. 1863 r., w chwili wybuchu wieśniakom nadawał. Lud nie dość, iż chętnie ucho dawał owym ogłoszaniom, ale był przykład, że odwoływał się do powagi generała, gdy po przejściu oddziału stosunki pańszczyźniane natychmiast nie zostały rozwiązane. Tak więc w dobę, czy nieco później po opuszczeniu Giżowszczyzny, widziały tylne straże oddziału Różyckiego pędzących dwóch chłopów na spienionych koniach. Wstrzymano dopędzających. „Czego chcecie?... pytano. — „My do p. generała, aby mu się poskarżyć, iż po dawnemu u nas... pan nic nie zmienia”...

13 maja jazda wołyńska zajęła miasteczko Połonne, niegdyś twierdzę dawnej Rzplitej, już za dni kampanii 1793 r. spustoszoną i niezdatną do obrony. Załoga mała, nieprzyjacielska, umknęła z miasteczka, zostawiając składy efektów wojskowych. Parę dni oddział tam organizował się, otrzymał posiłki ściągnięte z obozu Ciechońskiego; kuł swe lance, przygotowywał się do dalszych spiesniejszych marszów, do cięższych niewczasów, do obfitego krwi przelewu. Podczas parodniowego pobytu w Połonnem, widzia-

no Mszę św. połową odprawioną w obozie: zrobiła ona niemałe wrażenie na młodym żołnierzu i mieszkańcach, marzących o blizkiem zmartwychwstaniu ojczyzny.

Generał znał już dobrze odwagę i gotowość bojową swego żołnierza, pragnął wszakże wypróbować przybyłe szwadrony z pod Ciechońskiego. Wydał więc rozkaz, aby powołano ochotników do mającej się utworzyć wycieczki na ukrytego w blizkiej okolicy nieprzyjacie-

la: był to fałszywy alarm; przyniósł atoli pożądaný rezultat. Z ostatnim wyrazem odczytanego rozkazu dziennego, gdzie dobitnie wypowiedziane były złowróbné słowa: „być może, iż z was ani jeden nie wróci”... całe szeregi ochoczo stanęły do apelu... „Każdy, mówi wyżej cytowany uczestnik owych chwil bojowych, z prawdziwą dumą żołnierza miał czoło wypogodzone... cisza zapanowała jak w świątyni”... Przenikano się do głębi uczuciem świętego zapału do spełnienia powinności... „A tego wrażenia — mówi on dalej — jakie na nas wywarły słowa generała, jako nagroda za męstwo do nas wypowiedziane, nie zapomnę do śmierci... Oto, w chwili gdy wszyscy oczekiwali dalszych rozkazów, przybył przed nasz front sam generał, z wypogodzoną twarzą i zawołał z widoczną radością a donośnym głosem: „Dziękuję wam, bracia! Dziś daliście dowód, iż godni jesteście praocjów naszych, którzy nigdy nie stawiali tyłem do nieprzyjaciela, lecz przodem. Rozkaz mój wyboru ochotnika był tylko próbą młodego żołnierza, którąście mężnie wytrzymali, jak każdemu żołnierzowi polskiemu przystoi”...

Edmund Różycki przede wszystkim mocno wierzył w ową prawdę, którą niegdyś wygłosił za dni Jagiellońskiej doby hetman Tarnowski, iż „los bitew jest w ręku Bożemu, w ręku Pana Zastępów; On sam zwycięża i ten komu On pomagać raczy... O tę więc pomoc przede wszystkim żołnierz i każdy wódz starać się winien”...

Od sześciu dni manewrował już generał ze swym oddziałem, a Wysockiego sił wciąż nie widziano; nie były one jeszcze gotowe do wymarszu, z powodu opieszłości różnych galicyjskich komitetów, które je sztyftowały. Wieści nadchodzące z Galicji znać ich prędko nie obiecywały, postanowił przeto Różycki wzmacniać się siłami miejscowymi. Ciągnęły od Żytomierza piesze partye ku dolnej Słuczy; w Miropolu połączyć się z nim miały. Po południu, 15 maja, stanął on pod rzezonem miasteczkiem, z kądem wobec paru szwadronów powstańczego rekonesansu, wycofali się kozacy: obóz swój rozwinął pod mieściną, i nazajutrz, o świcie, był atakowany przez siły nieprzyjacielskie, nietyle przeważne jak wyborowe; składały się bowiem z 4 kompanij finlandzkich strzelców, o bronii nader celnej, i ze znacznej liczby kozaków. Piechota Różyckiego chwilowo wstrzymywała nacisk na miasteczko, lecz liczbą zbyt słabą, cofnęła się — a nieprzyjaciel, usadowiwszy się w miasteczku, raził skutecznie powstańców: poza palącą się mieściną wywiązał się bój, który dla jazdy wołyńskiej pierwszym się stał chrztem krwi. Generała widziano jak pełen zimnej krwi spieszył na zagrożone pozycje, jak pod gradem kul stawał i, przypatrując się celnym strzałom nieprzyjaciela, mówił, ze swym zwykłym, dobrodusznym uśmiechem: „Finlandzcy strzelcy dobrze strzelają“... Dla braku stosownej ilości piechoty, gdyż spodziewane oddziały nie nadciągały, w porządku cofać się zaczął, co naraziło nieprzyjaciela na znaczne, nieprzewidziane straty. Kawalerya nieprzyjacielska, z kozaków złożona (pod dowództwem pułkownika Gołubowa), mniemając, iż odwrót Różyckiego będzie popłochem, śpiesznie wysypała się z miasteczka, wielką masą zapełniając przestrzeń otaczającą powstańcze stanowiska. Generał natych-

miast dał rozkaz szarży czterem szwadronom, i, po chwili, kozacy byli rozbici, zasypując wejście do gorejącego miasteczka swemi licznymi trupami.

Nie doczekawszy się sił pieszych, ciągnących z niemałym wysiłkiem od Teterowa ku Słuczy, generał ze swą jazdą podążył w

okolice bardziej rozwarte, ku powiatowi Starokonstantynowskiemu, zbliżając się zarówno ku Podolowi jak i kordonowi austriackiemu, z poza którego ów spodziewany Wysocki jeszcze nie nadciągał. Po opuszczeniu dnia 16 maja, ku wieczorowi, pozycyi pod Miropolem, generał, około Siahrowskich karczem, przez Swinnę, Macewiczki, Kustowce i Worobijówkę, podążył, zbliżając się ku okolicom Ostropola. Tam, przy Worobiejuwieckich karczmach, zaszła potyczka, która dała powstańcom 36 jeńców, broniących się w owych karczmach (19 maja). Na dobę przedtem zastępowano naszemu wodzowi drogę pod Kustowcami; lecz pościg nieprzyjacielski był zmylony, a jazda wołyńska, bez żadnych poważniejszych przeszkód, przeszedłszy Ostropol, stanęła znowu poza Słuczą, już w dawnym województwie Podolskiem, wśród pól rozwartych, na uroczysku noszącem miano Hanczarychy, a leżącym na gruntach wsi Ihnatek.

Maryan Dubiecki o Różyckim: „Przez całą swą młodość, przez cały okres swej militarnej kariery rosyjskiej, przygotowywał się on na żołnierza sprawy narodowej”.

Uroczysko Hanczarycha, upamiętnione w legendach i pieśni ludowej, ma do swej doliny przywiązaną przepowiednię, iż tam stoczony będzie bój krwawy, rozstrzygający pomyślnie wszystkie nasze boje o niepodległość.

Jazda wołyńska na Hanczarysze bitwy nie stoczyła, owszem, miała tam dzień odpoczynku i przysły jej niejaki posiłki z nadzieją nowych zaciągów powstańczych, jeśli generał zwróci się jeszcze bardziej ku Podolowi. Rzeczywiście pomknął on nieco dalej, ku podolskim rozłogom; przeszedłszy Terespol, Wójtowce, w Mytyńcach, pod Ułanowem, 60 zbrojnych Podolaków, prowadzonych przez dzielnego Szaszkiewicza, powiększyło szeregi naszego wodza. Owi zbrojni Podolacy byli zaciągiem wzorowym, jak wogóle to wszystko co stawało pod sztandarem Różyckiego. Żywioty ludowe, wchodzące do plutonów Szaszkiewicza, posiadały nawet swą piosenkę bojową, rusińską, zdaje się ułożoną przez organizującego ten mały zaciąg.

Posuwanie się poza Ułanów, i zwrot nagły ku północy, w kierunku Lubaru, miało nie tyle na celu wcielenie nowych podolskich zaciągów, ile wogóle podanie dłoni pomocy powstaniu podolskiemu, gdyby ono dawało znaki życia, a wreszcie zmylenie pościgów wojska nieprzyjacielskiego, które w różnych kierunkach prawie na pięty następowało jeździe wołyńskiej, wszędzie o niej słysząc, nigdzie zaś nie mogąc ani jej doścignąć, ani ostatecznie pokonać. Powstanie podolskie wszakże wcale nie istniało, przeto nie było komu podawać ręki pomocy; pojedyncze zaś indywidua, gdy się znalazły na gościńcu marszu generała, łączyły się z nim; lecz tu głównie chodziło o to, aby wśród tych marszów z małemi siłami, doczekać się liczniejszych galicyjskich zaciągów Wysockiego.

Poza Ułanowem pociągnął generał ku Chmielnikowi (d. 23 maja), podczas gdy nieprzyjaciel na jego tyłach szybkim pędem przecinał szlaki przezeń przebyte, i zamykał mu drogę komunikacyi z oddziałami Ciechońskiego i Chranickiego.

Od Chmielnika, do niego jednak nie dochodząc, generał zwrócił się nagle ku północy, w kierunku dawniej zajmowanych pozycyji pod Lubarem i temsamem stawał frontem ku nieprzyjacielowi ścigającemu go; jeszcze marsz jeden przez Steckowce, ocierając się prawie o Krasnopol i Mołoczki, pod któremi niegdyś walczył zwycięzko Karol Różycki, a obóz jazdy wołyńskiej staje w Bratałowie, gdzie dochodzi pierwsza wieść o zupełnem rozbiciu oddziałów Ciechońskiego w Minkowieckich lasach i zgonie ich dowódcy. Wieść ta hiobowa, głosząca okropną Minkowiecką porażkę, co miała miejsce przed dwoma dniami zaledwie, tem straszniej brzmiała w uchu i sercu generała, iż jednocześnie zapewne nadeszły wiadomości o wcześniejszej nieco (d. 17 maja) bitwie Miropolskiej, stoczonej przez pułkownika Chranickiego z przeważnym nieprzyjacielem, a zakończonej pogromem powstańców. Każda z relacyi o tych porażkach posiadała niemało szczegółów, świadczących o wielkich rozmiarach klęski i licznych excessach nieprzyjacielskiego żołdactwa.

Po otrzymaniu owych strasznych wieści, za które mi szły groźne echa porażek i ostatecznego upadku powstania w Kijowszczyźnie, jawną stało się rzeczą, iż na całej przestrzeni południowych prowincyji nie było już ani jednego oddziału, oprócz sił jazdy wo-



łyńskiej. Wysocki, na którego przybycie tak napewno rachowano i łączono je z planem całym wyprawy Różyckiego, nie przybywał. Stan rzeczy stawał się coraz bardziej przykry: nieprzyjaciel, po rozgromie innych oddziałów, miał znaczne siły do zgniecia jazdy wołyńskiej, i wcale się nie spodziewał, aby ona mogła jeszcze zebrać laury na polach Wołynia.

Generała zewsząd osaczano, i nieprzyjaciel z wszelką łatwością zdołałby go zamknąć w pierścieniu swych wojsk, o sile piętnastu tysięcy. Przedrzeć się przez coraz bardziej zwężający się mur bagnietów i dział, ciągnących ku południowym powiatom Wołynia, zdawało się rzeczą niepodobną.

Co jednak dla wielu niepodobnym mienić się mogło, było dla generała Różyckiego zadaniem, o którego rozwiązanie kusić się chciał, i z całym właściwym sobie spokojem po takowe sięgnął. Dla jego niezaprzeczonych uzdolnień, doświadczenia bojowego, wyniesionego z Kaukazu, dla jego ducha mającego w sobie coś z owych rycerzy, którzy ongi spieszyli, by „zatknąć krzyż na murach Jerozolimy”, coś z tych, co żelazną pierś odtrącali pod Grunwaldem obcy pierwiastek od wód wiślanych, dla brawury tych szlacheckich i chłopskich synów, którzy

z nim szli w bój krwawy a nierówny — o rozwiązanie wielu twardych zagadnień kusić się można było.

Wyszedł on z osaczeń nieprzyjacielskich w sposób dziwny a zwycięzki. Już w Bratałowie, gdzie spotkała Różyckiego wiadomość o pogromie minkowieckim, nieprzyjaciel stał tuż, w sąsiednich wioskach (Biczowej i Berezówce), stał w sile, która najzupełniej wystarczała do pokonania jazdy wołyńskiej; lecz o atakowanie nie kusił się nawet: czekał pono rozkazów od wyższej zwierzchności. Różycki od Bratałowa w kierunku Hrycowa poszedł szybkimi marszami, niezważając na nieprzyjaciela, który prawie ocierał się o jego lewe skrzydło, ale nie nacierał. Przesunął się generał szybko przez Lubar, i d. 24 maja oddział jego nocował w Chrabużnej. Nazajutrz przechodził przez Onackowce, przy których na tyłach pokazali się Moskale, i ci jednak wstrzymali się od natarcia: może to leżało w ich planie, aby następując na pięty powstańcom, wpędzić ich w sieć bez wyjścia. Lecz ów dzień uciążliwego marszu nie przeszedł bez boju, chociaż żadnych dotkliwszych strat nie przyniósł. Minąwszy Hryców, Malki, Trościaniec i Lisińce, przechodząc około Kośkowa, Pieniek i Butowiec, uznojeni chcieli stanąć

#### **BITWA POD MIROPOLEM STOCZONA W DNIACH 16-17 MAJA 1863 ROKU. RYSUNEK JURIA DUBININA**

Pod Miropolem wywiązały się dwudniowe walki (16-17 maja). W sensie taktycznym bitwa została przegrana, albowiem Wołyńczycy ustąpili. Rosjanie nie rozbili jednak oddziału Różyckiego. Różycki z oddziałem wymknął się z oblawy, manewrując najpierw na zachód, a potem na południe. Mimo iż były na to szanse, nie doszło do upragnionego połączenia z Chranickim. Po bitwie zostawił pod Miropolem piechotę, sam skierował się na Podole. Piechota została wkrótce pokonana, a za Różyckim ruszył pościg.

**POWSTANIE STYCZNIOWE NA BYŁYCH KRESACH WSCHODNICH I RZECZYPOSPOLITEJ**

W przededniu Powstania Styczniowego Żytomierz pod względem patriotyzmu był porównywalny z Warszawą. Powstanie na Ukrainie wybuchło w nocy z 26 na 27 kwietnia 1863 roku, trzy miesiące później, niż w Królestwie Polskim. W ciągu pierwszego dnia Tymczasowy Rząd Narodowy ogłosił Odezwę do mieszkańców Ukrainy wzywając do wsparcia swoich braci w Polsce i na Litwie. Dowódcą powstańców na Wołyniu został Edmund Różycki, urodzony w Agatówce w powiecie żytomierskim, syn Karola, powstańca listopadowego, emerytowany oficer armii rosyjskiej. Oprócz niego dowódcami powstania zostali Izidor Kopernicki i Aleksander Jabłonowski. Przed wybuchem powstania Różycki stale przebywał w Żytomierzu – centralnej siedzibie władz powstańców na Ukrainie.



obozem pod Łaszkami; Moskwa, której piechota przybyła na podwodach, atakowała ich w okolicy Laszek i Medwedówki, dość gęsto rażąc tyralierskim ogniem. Odpoczynek przeto był krótki, ale do bardziej stanowczej rozprawy nie przyszło, gdyż zmrok już zapadał i tyralierski ogień nie zdołał wśród ciemności dłużej się utrzymać. W dniu potyczki pod Łaszkami, w godzinach popołudniowych, 48 rozbitków z pod Minkowiec połączyło się z generałem. Była to cząstka szwadronu Klukowskiego, która ze swym dzielnym dowódcą, idąc przebojem, zbrojną a szczęśliwą ręką wydosłała się ze straszego Minkowieckiego pogromu. Klukowski cały swój szwadron wyprowadzał; lecz gdy obliczył się, po przedarciu się przez ogień nieprzyjacielski, zaledwie

45 pozostało, t. j. mniej niż trzecia część szwadronu. Postanowiono połączyć się z generałem: dążono do niego, błąkając się trzy doby po Zasławskim, Ostrogskim, i Starokonstantynowskim powiatach. Głodni, znużeni, na koniach wycieńczonych, niepokojeni wciąż przez kozactwo, niepewni, w którym kierunku iść mają, by wodza spotkać, wreszcie, na parę godzin przed potyczką pod Łaszkami, spotkali go. Było ich wtedy 48, bo, podczas trzydniowego błąkania się, 3 konnych rozbitków do nich się przyplątało. Generał żywciliwie ich powitał, rozpytywał o szczegóły klęski Minkowieckiej, rozpytywał ze zbolełym sercem Klukowskiego, i jego niemniej dzielnych żołnierzy, wśród których był wspomniany tu wyżej Anzelm Zaruski. Na twarzy generała, mówi



ów naoczny świadek, gdy pytał o szczegóły, był „wielki smutek wyryty”, bladeść uwidoczniała ból głęboki, lecz czoło dla powitania nieszczęsnych, lecz mężnych rozbitków starał się wypogodzić.

Starcie przy Łaszkach, prócz kilku rannych, między którymi, przybyły zaledwie przed paru godzinami rotmistrz Klukowski, dostał kulą w strzemię z oderwaniem kawałka buta — nie wyrządziła większych szkód w oddziale. Po tej potyczce jazda wołyńska, bezwzględnie na znużenie i ciemność nocy, maszerowała bez wytchnienia, i, omijając Medewdówkę, ciągnęła ku zachodowi. O świcie zaledwie, widząc, że konie strasznie zmęczone, generał pozwolił nieco wypocząć. Wstrzymano pochód idący przyspieszonym krokiem; nie dłużej wszakże wypoczywano jak dwie godziny.

\* \* \*

Z głębi mgły porannej, nad wzgórzami i stawiskami Wołynia, ukazała się wspaniała tarcza słońca. Ranek 26 maja był cichy, pogodny, pełen orzeźwiających aromatów pól i łąk; szeregi zbrojnych szły rażno, wesoło, nie czując znużenia, które, zaiste, było niemałe; echa smutnych przeczuć nie unosiły się ponad kolumnami jeźdźców; bezbrzeżna wiara w wodza dodawała wszystkim otuchy, wierzone głęboko, iż z nim zawsze zwycięstwo... pieśń powstańcza zabrzmiała wśród szeregów.

Wszystko dokoła było oblane promieniami wiosennego słońca, pełne niczem niezamąconej pogody, ale baczniejsze oko mogło dojrzeć, że generał wciąż dawał rozkazy pośpiechu, że hasła komendy coraz częściej przebiegały przez szeregi szwadronów.

Na poważnym obliczu generała nie widziano nic oprócz spokoju, lubo w jego myśli bezwątpienia dużo gościło troski. On czuwał za wszystkich. Wiadomem mu było, iż Moskwa, osaczająca go wciąż, niesie mu cios ostatni. Jeszcze chwila, jeszcze spóźnienie się bodaj półgodzinne, a ów żelazny pierścień nieprzyjacielskich bagnatów, który wciąż ścieśniał się, zamknie mu drogę dokoła... Opóźnienie liczące czas na kwadrans stanowiło o wszystkim. Generał najzupełniej mógł być lada chwila wparty między stawiska, wody, i zewsząd otoczony bez żadnej możliwości wyjścia... Doszły do czujnego wodza wieści, iż czoło kolumny nieprzyjacielskiej, atakującej go poprzedniego wieczora pod Łaszkami, postępuje tuż za nim, i że mając bezpośrednie czucie z innymi oddziałami wroga, omijanymi przezeń szczęśliwie, podczas uprzednich dwóch dni, zdwaja swe siły, aby z tem większą mocą na jego jazdę uderzyć; że z oddalonego o kilka mil Starego-Konstantynowa, jakby promienie pękającego granatu, wyleciały czterema drogami nowe siły moskiewskie, w celu pościgu powstańców i ich zmiżdżenia; że dążą na wozach, by śpieszniej dójść do celu, że zagrażają od lewego skrzydła i tyłu; że, wreszcie, z nieco dalej ku południowi położonego Międzyboża, pędzi kawaleria gener. rossyjskiego de Doulier, która mogła zabiedz od czoła, chociaż w nieco dalszym punkcie pochodu, że na prawem skrzydle rychło ukażą się rotwy Duvala, których bagnety jeszcze nie oschły z krwi pod Minkowcami wylanej.

Wszystko to mu było znanem dokładnie. Ze spokojem wiadomości odebrał, ze spokojem roz-

kazy wydał, z zimną krwią patrzył w oczy sytuacji prawdziwie rozpaczliwej. On wszakże nie uważał jej za rozpaczliwą, a tylko poważną.

Zbliżano się ku wsi noszącej miano — Salicha Mała.

Nazwisko, dotąd nieznanne, za chwilę stanąć miało na karcie dziejów Wołynia i chlubić się zapisać obok imienia niezbyt ztamtąd odległych Zieleniec.

Droga szła wzgórzami i u wiejskiego kołowrotu Salichy łączyła się z gościńcem większym, który biegł z lewej strony zbliżających się kolumn. Baczniejsze oko dojrzeć mogło, iż generał coraz częściej, coraz pilniej zwracał się ku lewej stronie. Już czoło powstańców szeregów wchodziło w owe wiejskie wrota, gdy na gościńcu, z lewej strony do wrót dobiegającym, spostrzeżono wielką chmurę kurzu. Chmura ta posuwała się szybko, coraz szybciej lewym gościńcem, jakby prześcignąć pragnęła przed Salichą szeregi powstańców. Jeszcze chwila, a już wybornie dojrzeć można było, że to nieprzyjacieli na niezliczonej liczbie wozów pędził, a otaczały go zastępy kozactwa. Błysk bagnatów na wozach wkrótce widocznym się stał. Komenda przebiegała szwadrony powstańcze coraz częściej, coraz szybciej. Polecały rozkazy do czoła kolumny, aby furgony obozu szły przyspieszonym marszem, a cała jazda niemniej kroku dotrzymywała rażnie posuwającym się furgonom.

Stojąc u wrót wioski, można było objąć jednym rzutem oka cały teren, który leżał przed czołem kolumn powstańców... Okolica falista; tuż od wejścia do wioski pochyłość, na której rozrzucona mniejsza część Salichy; u stóp pochyłości staw, rzeczka, poza nią zaś, na wzgórzu, pozostawała część wsi; obie połowy połączone mostem. A dalej, za wsią, znowu fale wzgórz okryte zbożem dojrzewającym.

Nieprzyjacielowi wiele zależało na wstrzymaniu powstańców na wyznach przed mostem i stawiskiem, dałoby mu to możliwość, przy szczęśliwym dla niego wyniku walki, wrzucenia przeciwnika do wód i trzęsawiska. Ciągające zewsząd posiłki zapewniały wrogom wynik pomyślny walki. Przeworność generała, obejmującego lotnym wzrokiem całość sytuacji, przerzuciła pole mającego stoczyć się boju poza wieś, poza most i wodę. Ostatnie trójki szwadronów jazdy wołyńskiej wpadały na most, w chwili gdy piechota nieprzyjacielska, zsiadłszy z wozów, naprędce szykowała się i rozpoczynała ogień karabinowy.

Przeszedłszy wieś, poza jej drugą połowę, generał w ten sposób uszykował swój oddział, iż nieprzyjacieli najzupełniej był w błąd wprowadzono co do liczby i zamiarów przeciwnika. Mniemano, że Polacy cofają się, unikając boju. Był to jedynie manewr wodza, który na gościńcu zostawił trzy szwadrony, i z nimi pomału odstępował, w szyku obronnym, podczas gdy inne dwa szwadrony, we

Bojownik z pod Salichy o Różyckim: „każdy z nas wskoczyłby był w ogień za nim... Generał był w obozie bardzo przystępny dla każdego i nadzwyczaj sprawiedliwy... nazywał nas wszystkich braćmi“...

wklęsłościach doliny na skrzydłach ukryte, czekały sygnału bojowego. Nieprzyjaciel rzekomo cofaniem się wywabiony ze wsi na pole, dojrzewającym zbożem odkryte, posuwał się zuchwale ku czołu powstańczej kolumny, rażąc ją rześnistym ogniem i nie zważając, raczej nie wiedząc, co mu na skrzydłach zagraża. Gdy piechota nieprzyjacielska — z 600 ludzi (3 rot) złożona — o 800 kroków od wioski odeszła a mniej więcej na sto kroków zbliżyła się do frontu przeciwnika, ze zdumiewającą szybkością hasła komendy przebiegły szeregi powstańcze — i dwa ukryte szwadrony, pędząc niby huragan stepowy, w ukośnym kierunku, zwartą ławą uderzyły na szeregi nieprzyjacielskie.

Atak był tak gwałtowny, niespodziany, z taką ścisłością i brawurą doświadczonego żołnierza dokonany, iż kolumny wroga w czworobok uformowane zachwiały się; czworobok zmiądzony — runął. Rozpaczliwymi wysiłki starał się wróg tworzyć nowy czworobok i stawić czoło piorunującemu natarciu... Próżne usiłowania!... Rozpacz wkradła się do serc wroga; walczył on już nie o zwycięstwo, lecz o życie, o ocalenie — zupełna zagłada stała się udziałem tych rot nieszczęsnych... Od dni Zieleniec, w r. 1792, i Pohoryły, w Starokonstantynowskiej ziemi, gdzie Wyszkowski, dążąc do Kościuszki w r. 1794,

zabrał Moskalom działa, pola Wołynia nie ziano nigdzie tak obficie krwią nieprzyjacielską jak w ciągu dwugodzinnego boju w ów pamiętny poranek, 26 maja 1863 roku, pod Salichą.

Zwycięstwo było zupełne — obręcz zamykająca drogę generałowi przerwana. Z chlubą piastowany sztandar purpurowy, z orłem białym, powiewał w onym dniu z dumą nad purpurowym pobojoziemem...

Nie mamy możliwości

opowiedzieć dokładnie o wszystkich obrotach wojskowych owych mężnych zastępów jazdy wołyńskiej w dniu tym dokonanych, które dla fachowego badacza zapewne są główną podstawą zwycięstwa; lecz niektóre epizody, nacechowane prawdziwym bohaterstwem same cisną się pod pióro... Oto uniesiony bojowym zapalem, młody podoficer, Anzelm Zaruski, przedziera się przez czworobok nieprzyjacielski, leci szarżą szaloną, wróg mu obciął lejce, lecz on swym lotnym atakiem przecina całą głębię kolumny nieprzyjacielskiej, zapędza się do rezerwy wroga, ranny i krwią najeźdźcy oblany, cudem wraca do swoich... Tuż obok inny młodzian, przed dziewiętnastu zaledwie laty zrodzony na niwach Wołynia, Stanisław Żółkiewski, również wichrem boju uniesiony, wpada aż na tylne straże przeciwnika, tam walczy z gromadą liczną wroga, który go osacza, zadaje mu kilka śmiertelnych ran niżej piersi; już nawpół martwy, lecz jeszcze nie runął z konia; ognisty rumak wyprowadza go z ciżby najeźdźczej, z wiru walki, i do polskich szeregów przynosi... Wraca młodzian do hufcu swego i tam dopiero pada na dłonie współbojowników...

Siły moskiewskie, uczestniczące w boju, wytępione prawie zupełnie pod Salichą zostały; co nie zginęło — pierzchnęło. Kilkunastu żołnierzy wzięto do niewoli. Popłoch wśród wroga padł wielki, echo porażki wojska najeźdźczego rozbiegło się długimi promieni po sąsiednich powiatach. Nieprzyjaciel, zawsze o Różyckim z uznaniem mówiący, jeszcze większym otacza go szacunkiem, a zastępy jego w swem mniemaniu do kilku i więcej tysięcy podnosi.

Bitwa pod Salichą, rozpoczęta o godzinie 9, zrana, około 11 już była skończoną. Pobojoziemisko stało się krwawym łańcem, na którym trupy i ranni obu walczących obozów wielkimi gromadami spoczęli. Straty naszych, stosunkowo do zdobytych korzyści, małemi nazwać wypada. Obliczano je na czterdziestu kilku, zabitych i rannych. Pierwszych liczba nie przekraczała 22; wśród których widziano: Dobrzyckiego, Hołubskiego, Niepokojczyckiego, Pawłowskiego, Podgórskiego, Żółkiewskiego[15].. Moskale stracili około 350 w poległych i rannych; przeważnie wśród ich strat byli ranni, których przewieziono do szpitala w Starym-Konstantynowie na 85 wozach. Z poległych w ich szeregach widziano oficera Łomonosowa, a kapitan Michnow cały bój przesiedział pod mostem, chroniąc tam swe życie. Po powstaniu, władze rossyjskie, za owo przebywanie pod mostem, sądziły go sądem polowym, w twierdzy Kijowskiej.

Po tak krwawym żniwie Polacy kilka godzin odpoczywali na polach Salichy. Około godziny drugiej popołudniu pociągnięto dalej, w kierunku południowo-zachodnim, zbliżając się do kordonu, z poza którego wciąż spodziewano się Wysockiego oddziałów. Tym razem wieści nadbiegłe z Galicyi twierdziły, iż wejście posiłków galicyjskich już lada chwila nastąpi. Wieści znowu nie miały się sprawdzić, niemniej wszakże Różycki podążył w kierunku domniemanego punktu wejścia rzeczonych oddziałów. Dalszy przeto pochód zależnym był najzupełniej od potrzeby zbliżenia się do kordonu i od tych niebezpieczeństw, które wciąż groziły. Wkrótce po opuszczeniu pól krwawych Salichy, nieprzyjacielskie siły ściągac się tam zaczęły; okolica zalana została wojskami najeźdźczymi różnej broni. W ciągu dwóch dni, które nastąpiły po zwycięstwie pod Salichą, marsz oddziału skierowano ku granicy galicyjskiej. Pochód trwał bez przerwy; nawet dzień zwycięstwa nie stał się dniem wypoczynku. Popołudnie 26 maja i całą noc następną dążono bez wytchnienia; zaledwie nazajutrz (27 maja), o wczesnym poranku, na wysokości Bazalii, odpocząć mogli na chwilę ludzie, wytchnąć znużone konie. Trwało to wszakże bardzo krótko; dano sygnały dalszego śpiesznego marszu. Nie zaślepiało generała powodzenie, tak jak niepowodzenia nie prowadziły go do zniechęcenia. Po rozbiciu wroga również on czujny, ostrożny, pracowicie rzecz swą prowadzący, jak czynił uprzednio. Nadciągały w ciągu marszu wiadomości; nie o Wysockim wszakże, ale o nieprzyjacielu, który grupował się w większe masy i przerwane osaczenie powstańców wznowić pragnął.

Ze wszystkimi powstańcami partiami w południowych województwach już wówczas nieprzyjaciel był skończył: wszystkie, po dłuższym lub krótszym trzymaniu się, rozbite, rozproszone, zniknęły;

Siły moskiewskie, uczestniczące w boju, wytępione prawie zupełnie pod Salichą zostały; co nie zginęło — pierzchnęło. Kilkunastu żołnierzy wzięto do niewoli. Popłoch wśród wroga padł wielki, echo porażki wojska najeźdźczego rozbiegło się długimi promieni po sąsiednich powiatach.

jazda wołyńska generała Różyckiego jedyną była partią powstańczą tamtych okolic, która i rozbiciu nie uległa i zdołała pochłubić się zwycięstwem. Dążono przeto w obozie nieprzyjacielskim z coraz większą zaciętością do pokonania i rozproszenia tych jedynych, niezwykłych. Generał, domyślając się zamiarów wroga, taką łamaną linią szedł ku granicy, iż nie zdołano w szeregach przeciwnika z łatwością orientować się co do jego rzeczywistych zamiarów: widziano go lub słyszano o nim, że jest w Świątce, że około Białozórki, Szybenny, że 28 maja obozuje wreszcie tuż koło Palczyniec. Rzeczywiście generał obozował pod Palczyńcami, z kądem posunął się tegoż 28 maja, około godziny 6 wieczorem, za kordon austriacki. Siły generała, w chwili ostatecznego zbliżenia się do granicy austriackiej, znacznie były uszczuplone. Wśród taborów miał on jeńców rosyjskich; jednego „dońca” pod Łaszkami ujętego i 13 wziętych do niewoli w bitwie pod Salichą. Ośmiu, czy też siedmiu, uwzględniając ich prośby, uwolniono; reszta przeszła z powstańcami kordon galicyjski i, podczas rozwiązania oddziału, dziękowała generałowi za wygodne utrzymanie i ludzkie obchodzenie się z nimi. Przekraczając ze swą jazdą kordon w Szczęsnówce, wysłał wódz do władz organizacji narod. w Galicji, uwiadamiając o swem przejściu kordonu i żądając przewodnika;

pragnął bowiem przejść jedynie przez terytorium austriackie, które w owym miejscu tworzy węgiel, i udać się znowu na Wołyń. Zwrotu nawet tego rodzaju dokonano, przechodząc w Zbarazkiem około wsi Toków, pod Koszlaki, mając zapewne zamiar powtórnego ukazania się na Wołyniu, w okolicy Wyszgródka. Przewodnik, dany przez organizację galicyjską, żyd, wprowadzał na terytorium rosyjskie właśnie w tym punkcie, gdzie rosyjskie wojska były zgrupowane, co omal nie pociągnęło za sobą katastrofy. Czujność wodza ocaliła od niebezpieczeństw, a otrzymane wówczas wiadomości, że niepodobna rachować na natychmiastowe wejście na Wołyń oddziałów Wysockiego, skłoniły Różyckiego do tymczasowego rozwiązania swego pułku jazdy wołyńskiej.

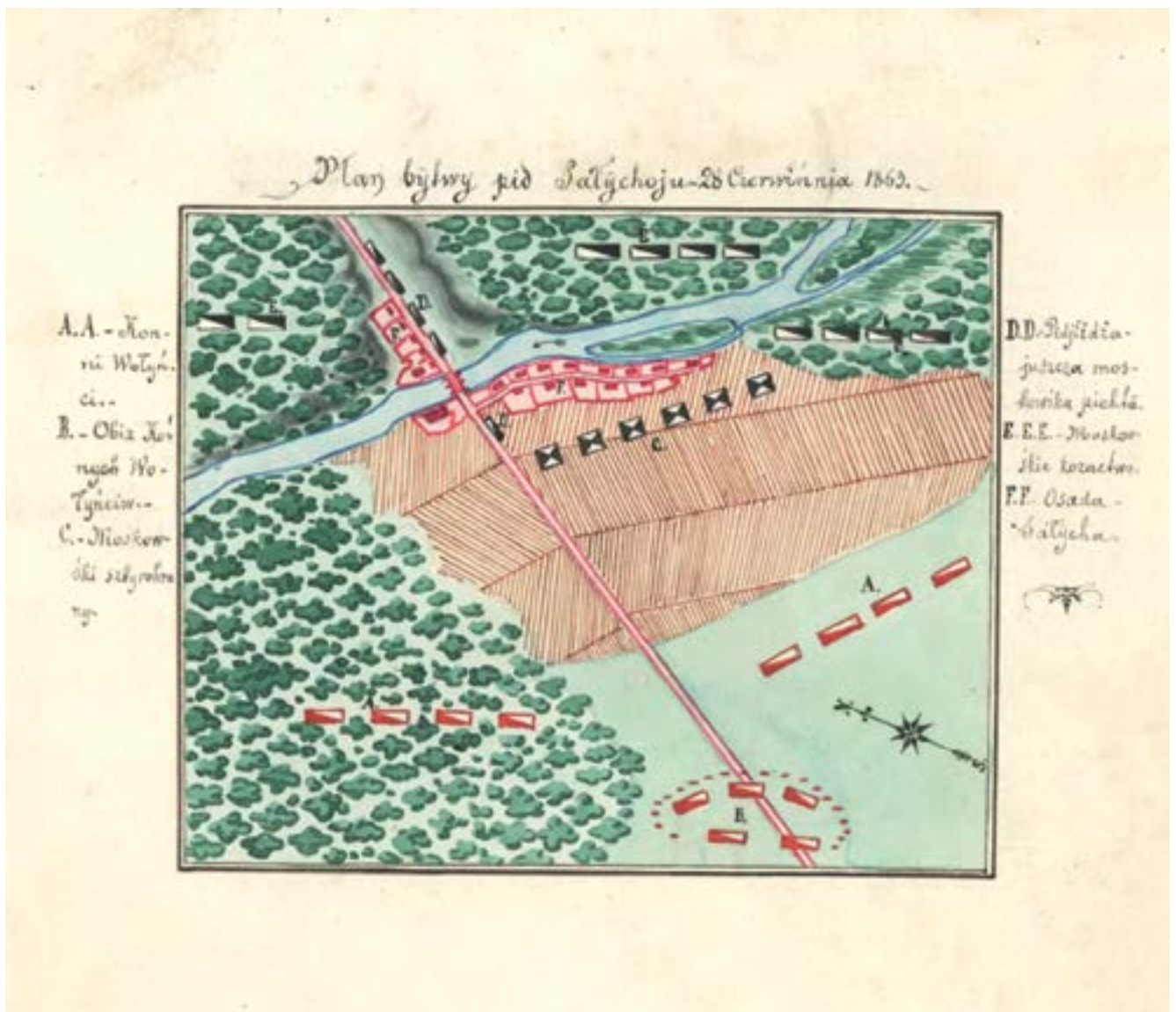
Losy późniejsze ówczesnej walki sprawiły, że już się nigdy owe szyki, wyróżniające się karnością i odwagą, zebrać nie miały. Dzieje jedyne podczas Styczniowego powstania oddziału, który chlubnie walczył, odznaczał się karnością, zwyciężał, lecz nie był pokonany, zostały zamknięte.

Rozeszli się bojownicy, by się już nigdy nie zejść.

*Fragment tekstu Mariana Dubieckiego pt. „Edmund Różycki. Szkic biograficzny”, który ukazał się w Krakowie w 1895 r.*

#### BITWA POD SALICHĄ

Stoczona 26 maja 1863 pomiędzy polskimi oddziałami powstańczymi dowodzonymi przez generała Edmunda Różyckiego, a rosyjskim oddziałem karnym z kapitanem Łomonosowem na czele. Jedno z najbardziej błyskotliwych zwycięstw oręża polskiego w czasie tak zwanej „Kampanii Różyckiego” i całego powstania styczniowego.



# Lwica z Żytomierza

## Anna Henryka Pustowójtówna

---

P

omiedzy walczącymi w powstaniu 1863 roku nie było może głośniejszej i popularniejszej postaci nad Henrykę Pustowójtównę. Sławiono ją, jako bohaterkę, opisywano jej czyny wojenne, zajmowano się nią wiele i wszędzie. Dzienniki w Europie i w Ameryce podziwiała mężną Polkę walczącą za ojczyznę: pisma ilustrowane skwapliwie zamieszczały jej wizerunki i rysowały bitwy, w których brała udział..... Henryce ta wielka popularność i sława nie była miłą; owacye, jakie jej robiono w Pradze, Szwajcaryi i Francyi przyjmowała niechętnie, uciekała od nich .... pozostała zawsze skromną, nie grała komedyi wielkości i nie uważała siebie za istotę wyższą i lepszą od tysiąca swoich rodaczek. Ta atoli skromność, jaką umiała zachować wśród podziwów i uwielbień; ta moc charakteru, która się oparła prądem popularności, spychającej częstokroć sławne kobiety na drogi awanturnicze, dowodzi rzeczywistej wyższości serca i umysłu Henryki Pustowójtówny ...

Poszła na plac boju pielęgnować rannych, ratować ginących, to jest spełniać obowiązki właściwe kobiecie; gdy jednak okoliczności zrzędziły inaczej i podały jej broń w rękę, została żołnierzem i to nie lada jakim, ale w całym tego słowa znaczeniu, wzorowym żołnierzem. Jej męstwo i nieustraszona odwaga była dobrym dla młodych ochotników powstania przykładem. Wobec kobiety, nie cofającej się przed nieprzyjacielem, szli śmiało do bitwy" [1] Tytuł niniejszej notatki i powyższe cytaty pochodzą z artykułu w „Dwutygodniku dla kobiet, pismo belletrystyczne i naukowe” wydawanego w Poznaniu, numer z 11 czerwca 1881 roku. Bohaterka artykułu już nie żyła, a autor czuł się w obowiązku odkłamać mity i legendy, także i te godzące w dobre imię bohaterki.

Sporo miejsca postaci Anny Henryki Pustowójtów poświęcił Mikołaj Berg w „Zapiskach o polskich spiskach i powstaniach” przekład z rosyjskiego wydany w Warszawie w 1906 roku (3). Mikołaj Wasilewicz Berg był naocznym świadkiem wydarzeń 1963 roku jako dziennikarz i korespondent rosyjskich gazet . Znał dobrze okoliczności poprzedzające wybuch powstania. Po jego zakończeniu, zadanie zbadania i opisanie przyczyn oraz przebiegu powstania powierzył mu namiestnik Królestwa Polskiego hrabia Fiodor Berg. Mikołaj Berg był nie tylko dziennikarzem, ale i poetą tłumaczem dzieł Mickiewicza na rosyjski. Prześledźmy zatem przemianę córki rosyjskiego oficera w antyrosyjskiego polskiego powstańca. Swoją relację o naszej bohaterce rozpoczyna ironiczno-romantycznie, od wspomnienia powstańczego obozu generała Mariana Langiewicza:

„Bądź co bądź, były to najpiękniejsze i najpdonioślejsze chwile w życiu Langiewicza, były to najjaśniejsze, najweselsze, i można powiedzieć, że najpoetyczniejsze chwile powstania. Na obnażonych z liścia gałęziach drzew pod Sosnowką, przesiadywało ptactwo, zawodzące czarowną pieśń „Boże cos Polskę” \*, która dźwięczniej i donioślej, niż głosy wszelkich słowików, rozbrzmiewała wesoło i głośno po zasypanej śniegami, nieprzytulnej puszczy, przechodząc przez usta panny Pustowójtów.

Spotykając się tak często z tem nazwiskiem, musimy zapoznać czytelnika z tą osobistością. Zkąd się wzięła i jak się dostała z rosyjskich generalskich salonów do obozu polskich powstańców ! Opowiemy to teraz, w czasie chwilowej ciszy i spokoju, którego używały wojska i sam dyktator przez kilka dni, w czasie których koncentrowały się siły rosyjskie dla otoczenia go żelaznym pierścieniem.

Jakoś nie długo po wojnie 1831 roku, major Teofil Pustowójtów, rozłożony ze swoim pułkiem w okolicach Żytomierza, przystojny i wcale nie głupi człowiek, lecz karciarz i hulaka, obdarzony przysłowiową „szeroką ruska naturą”, zrobił znajomość i zakochał się w pięknej i rezolutnej pannie Kossakowskiej, ożenił się z nią i na jej imię, a może i za jej posag kupił piękny majątek ziemski, Wierchowiszki, położony pod samym Żytomierzem. Tutaj, dnia 26 czerwca 1838 roku przyszła na świat córka Anna, ochrzczona w obrządku prawosławnym wskutek świeżo wydane-go ukazu z roku 1836 o dzieciach, pochodzących z małżeństw mieszanych. Pustowójtowie mieli jeszcze syna i drugą córkę.

Po starannem domowem wychowaniu, młoda dziewczynka została oddana dla dokończenia edukacji do instytutu szlacheckich panien w Puławach, w którym na 300 Polek było zaledwie 50 wychowanek rosyjskiego pochodzenia i to takich, jak nasza bohaterka, mówiących lepiej po polsku niż po rosyjsku i nie zdających sobie sprawy, do jakiej narodowości należą i jakiej są właściwie wiary. Wykłady odbywały się w polskim lub francuskim języku. Dla rosyjskiego języka była wyznaczona 1 godzina na tydzień i to jeszcze wykłady odbywały się nader niedbale i bez uwagi. Również z pomiędzy dwunastu dam klasowych, mających obowiązek prowadzenia i pilnowania rozmowy dziewczątek, jedna tylko była Rosyanka, i ta rozmowa rosyjska była obowiązkową raz w tygodniu. Nadto, ponieważ dla każdej klasy przypadały dwie damy klasowe, a te miały służbę przez dzień, więc Rosyanka miała dyżury w trzech



niższych klasach, w wyższych zaś klasach dziewczęta nie spotykały się już z żywym słowem rosyjskim.

Przytoczone okoliczności dowodzą, jak był zaniebdany rosyjski język w instytucie puławskim; tenże był nadto przedmiotem ogólnej niechęci wychowanek i wszelkie wyszczególnienie się w tym przedmiocie, wywoływało ogólną niezyczliwość współtowarzyszek. Taką nazywano „ruskim duchem”.

Co zaś do religii prawosławnej i jej obrządków, te u większości rosyjskich wychowanek były w zupełnej pogardzie, czemś wcale niepotrzebnym. Pustowojtówna na wyraźne życzenie ojca, chodziła do cerkwi, lecz nudziła się tam i głośno odzywała, że „nie pojmuje, za co ją tą cerkwią męczą”.

Po ukończeniu nauk w Puławach, panna Anna wstąpiła w świat. W Żytomierzu dom generałowej gromadził polską i rosyjską młodzież, a przystojna i inteligentna panna, umiejąca grać i śpiewać, przytem obdarzona od matki-przyrody ognistymi czarnymi oczami i prześlicznymi, lekko falującymi, ciemno-kasztanowymi włosami, była silnym magnesem przyciągającym. Mnóstwo młodzieży kochało się w niej na zabój. Pewien oficer rosyjski (obecnie jeden z wyższych dostojników w armii, a w 1863 roku groźny pogromca powstańców w gubernii płockiej) starał się o jej rękę i bardzo być może, że byłby ja uzyskał, gdyby nie stały na przeszkodzie manifestacyjne czasy 1861 roku, które uniosły awanturniczą dziewczynę do Lublina, do domu jej babki Kossakowskiej, zagorzałej polskiej patriotki, znanej zresztą z różnych skandalików w przeszłości, które nawet w swoim czasie wykluczyły ją z poważniejszych sfer towarzyskich.

W Lublinie w owym czasie główną polityczną rolę odgrywała niejaka pani Pluszczyńska, żona wyższego urzędnika przy rządzie gubernialnym, rozumna i energiczna kobieta, zapalona agitatorka, oddana duszą i ciałem na usługi stronnictwa radykalnego. Panna

Pustowojtów nader prędko znalazła się w kółku jej najbliższych. Pełno jej było wszędzie, przy śpiewaniu patryotycznych hymnów w kościołach, przy każdej demonstracyjnej procesji, gdzie najczęściej brała udział, ubrana po wiejsku z włosami zaplecionymi w długie warkocze, z narodowymi wstążkami.

Wojenny naczelnik lubelskiego okręgu, znany już nam z horodelskiej manifestacji, generał Chruszczew, poufnie przestrzegł pannę Pustowojtównę, że jej „jako córce rosyjskiego generała nie przystoi brać udziału w polskich manifestacjach”. Uwagi te jednak, po kilkakroć powtarzane, nie odniosły zupełnego skutku.

Dnia 7-go lipca 1861 roku panna Pustowojtów wzięła udział w procesji, towarzyszącej przeniesieniu jakiejś statuy świętego z Lublina do wsi Grabowa; 12 zaś lipca w rocznicę unii Litwy z Polską, należała do liczby osób usiłujących urządzić demonstrację przed pomnikiem, wzniesionym na pamiątkę tego dziejowego faktu w Lublinie przez ostatniego z Jagiellonów, króla polskiego Zygmunta Augusta, a odnowionego za panowania i z polecenia Aleksandra I. Manifestacja ta nie mogła się odbyć ściśle podług projektowanego programu, gdyż w danej chwili generał Chruszczew z całym swym sztabem stanął u stóp pomnika; manifestanci więc musieli poprzestać na cichej defiladzie i składaniu na stopniach pomnika kwiatów i wieńców. Trwało to do godziny 11 w nocy. Panna Pustowojtów i tu wystąpiła w stroju wiejskiej dziewczyny. Pomimo zakazu policyi, w niektórych domach oświetlono okna, a w mieszkaniu sądowego aplikanta Mulickiego zajaśniało nawet przeźrocze z widokiem lubelskiego pomnika między popiersiami Sobieskiego i Kościuszki.

Generał Chruszczew zdał sprawę o całym zajściu do Warszawy, wskutek czego wyszły stamtąd różne zarządzenia, między innem zaś, generał Suchozanet, pełniący podówczas obowiązki namiestnika, orzeczeniem z dnia 22 sierpnia 1861 roku, nakazał pannę



## POWSTAŃCY STYCZNIOWI

Stara rycina

Pustowojtów wysłać z żandarmami do Moskwy i tam osadzić ją w jakimś żeńskim klasztorze.

Wojenny naczelnik zakomunikował to rozporządzenie pannie Pustowojtów i jej babce z poleceniem, by się przygotowały do podróży. Nie mogły one jednak uwierzyć, by rozkaz ten mógł być wykonanym i nie czyniły wcale żadnych przygotowań do wyjazdu, dopiero, gdy w parę godzin po zakomunikowaniu rozkazu, dnia 28 sierpnia, staną przed gankiem powóz z kapitanem żandarmeryi Globbem, i gdy przybył na miejsce sam generał Chruszczew dla dopilnowania i przynaglenia do pośpiechu, wówczas uwierzyły kobiety, że to nie żarty i zaczęły się na gwałt zbierać do dalekiej podróży.

Babka i wnuczka postanowiły jechać razem, w nadziei i z zamiarem, że w czasie podróży potrafią w jakikolwiek sposób uzyskać złagodzenie lub odmianę wyroku. Tymczasem ludność, podniecana przez agitatorów, zaczęła tłumnie zapełniać ulicę. Urządziła się prawdziwa demonstracja; chciano wyprządnąć konie i ciągnąć rękami powóz; w tłumie rozlegał się płacz i łkania, a nawet i rosyjskich łez nie mało w dniu tym popłynęło. Panna Pustowojtów ani na chwilę nie straciła panowania nad sobą. Z balkonu wypowiedziała kilka słów uspakajających i prosiła, by powstrzymano się od wszelkich gwałtownych kroków. „Patrzcie, jestem posłuszna i jadę! tak Trzeba!” Z temi słowami wsiadła do powozu i rzuciła w tłum chusteczkę swą, wzroszoną łzami. Chusteczkę tę rozerwano na tysięczne części, które zapewne do dzisiaj i długo jeszcze będą przechowywane, jako cenne pamiątki... Powóz zwolna ruszył, siedzących w nim zasypano kwiatami.

Z pierwszego przepręgu koni babka wysłała do namiestnika prośbę o zezwolenie na powrót do Lublina. W oczekiwaniu odpowiedzi podróże zatrzymały się w Kowlu, powiatowem miasteczku na Wołyniu. Panna Pustowojtów oświadczyła, że jest chorą i dalej jechać nie może. Miejscowi lekarze dnia 1 września wydali na piśmie poświadczenie, że pacjentka jest chorą na zapalenie opłucny (pleuro-pneumonia) wskutek czego stan chorej wymaga starannej i nieustającej opieki lekarskiej, a dalsza podróż zagraża poważnem niebezpieczeństwem życiu podróżnej. Na dowód czego w obecności horodniczego (naczelnika miejskiej policji) i kapтана żandarmów akt ten podpisali: „Latoszyński, lekarz miejski; lekarz powiatowy; radca dworu Goldenmann, dymisyonowany lekarz pułkowy, oraz Białecki, pełniący obowiązki horodniczego, który stwierdził tożsamość podpisów”.

Na szczęście naszej bohaterki miejsce Suchozanaeta zajął już hrabia Lambert. Powyżej wykazaliśmy, jak zaraz po przybyciu do Warszawy nowy namiestnik uległ wpływom dawnych delegatów, między którymi byli i księża. Przez nich to wiele rzeczy dawało się uzyskiwać u hrabiego. Babka Pustowojtówny łatwo wynalazła do nich drogę. Księża przedstawili namiestnikowi całą niestosowność zarządzenia, „by katolicka osadzona została w prawosławnym monasterze, i to jeszcze w Moskwie w tym sercu Rosji”.

Rosyjska prawosławna dziewczyna wyłoniła się naraz katoliczką, a to na mocy dokumentów, fałszywie wystawionych przez łucko-żytomierskiego biskupa Borowskiego (Dokumenty te poświadczają, że Anna Henryka dwojga imion Pustowojtówna

urodziła się w 1832 roku, gdy jeszcze wyznanie dzieci w małżeństwach mieszanych zależało od woli rodziców. W metryce prawosławnej z 1838 roku podano, że matka Anny Pustowojtów ma lat 17, zatem w 1832 roku mogła mieć lat 9 \*\*, jest to najlepszy dowód, że metryka katolicka jest nieprawdziwa. Biskup Borowski za wystawienie tej metryki, oraz inne bezprawne czyny został zesłany do permskiej guberni, skąd dopiero w 1882 roku powrócił na biskupstwo płockie).

Hrabia Lambert, na którego głowie spoczywało rozwiązanie wielu i to nadzwyczaj trudnych do rozwiązania zadań, wciąż szukający jakiejś pewniejszej podstawy wśród owoczesnych stosunków, w których i on i jego generał-gubernator coraz bardziej grzęźli, nie miał ani czasu, ani chęci dokładnego zbadania, co tam zbroiła jakaś lubelska, czy żytomierska wartogłowa dziewczyna i jakiego ona jest właściwie wyznania. Cała sprawa w ogóle wydawała się małoważną, i na takie sprawy patrzono z lekceważeniem! ... A do tego nowy namiestnik starał się o przejednanie Polaków, codziennie ułaskawiał o wiele ważniejszych politycznych przestępców; przebaczając tak miło, zwłaszcza człowiekowi, który nie pozbył się jeszcze wszystkich humanitarnych i ludzkich uczuć, wywiezionych z Francji. Sam na poły Francuz i arystokrata, nie miał czasu uzbroić się w pancerz obojętności i zupełnego spokoju przy wydawaniu mniej lub więcej surowych orzeczeń; nie umiał przytłumić w sobie wszelkich uczuć litości, co może byłoby konieczne w owych czasach!..

Namiestnik polecił więc zawiadomić generała Chruszczewa, że się zgadza na pozostawienie Pustowojtówny w Żytomierzu u jej rodziców. Chruszczew pospieszył zawiadomić o tem podróżne. Anna Henryka Pustowojtów natychmiast wyzdrowiała i opuściła Kowel.

Zachowanie się jej w Żytomierzu niczem się nie różniło od lubelskiego; tak samo należała do wszelkich demonstracji, śpiewała Boże cos Polskę, i głośno wyrażała swe niezadowolenie z istniejących stosunków.

Kijowski generał-gubernator doniósł o wszystkim do Petersburga i zapytał, jak ma postąpić z rozzuchwaloną dziewczyną? Nadszedł rozkaz wysłania jej do Moskwy i osadzenia w jednym z tamtejszych żeńskich monasterów, według wskazania i wyboru moskiewskiego księdza metropolity, Filareta. Jednak metropolita wymówił się, dodając w swym piśmie, iż „Jego Świętobliwość czuje się dotknięty, że właśnie Moskwa wybraną została na więzienie dla osoby tak buntowniczej i nieposkromionej”. Uwzględniając to przedstawienie, zmieniono wyrok i wybrano zapadły Troicko-Biełbażski monaster w kostromskiej guberni na miejsce rekolekcji dla panny Pustowojtówny.

Dziwny zbieg okoliczności! Anna Henryka Pustowojtów, i kostromski Troicko-Biełbażski żeński monaster! ... Istne „fala i skała, poezja i najrealniejsza proza, lód i płomień!”...

Lecz czego nie dokażą energia i wytrwałość? Matka naszej bohaterki użyła wszelkich dostępnych jej wpływów dla ocalenia swej córki od klasztornej niewoli. Zniosła prośbę na ręce cesarzowej, w której, między innymi, podała, że córka jej jest „suchotnicą, upadającą z każdym dniem na siłach”. Ma się rozumieć, że nie brak było świadectw lekarskich, poświadczających te suchoty; o takowe łatwiej było w Żytomierzu niż w przejeździe przez Kowel. Prośba

została w wyższych sferach poparta wpływami katolickiego duchowieństwa w Petersburgu, nie brakło także i świeckich starań, dosyć, że wkrótce nadeszło z Petersburga polecenie, by „wstrzymać do wiosny wyprawianie Anny Teofilówny Pustowojtów do klasztoru, przez ten czas zaś rozciągnąć nad nią najściślejszy dozór policyjny”.

Tego tylko trzeba było proszącej. Surowy na razie dozór, jak zwykle we wszystkim bywa w świętej matuszce Rosyi, po kilku tygodniach zwolnił i naraz panna Henryka z Żytomierza zniknęła. Mówiono, że z jakimś Polakiem uciekła do Bukaresztu, gdzie księżę Couza opiekował się wszelkimi żywiołami wrogimi Rosyi, i gdzie cała ludność sympatyzowała z Polakami. Są pewne dane, że panna Pustowojtówna w czerwcu 1862 roku była w Odessie, a w styczniu 1863 roku zjawiła się ponownie w księstwach naddunajskich i rozdzielala tam jakieś fundusze ...

Po wybuchu powstania znalazła się w Królestwie i z Langiewiczem połączyła się pod Szydłowcem. Ciesząc się doskonałym zdrowiem, z łatwością znosiła trudy i niewygody marszów po złych i zapadłych drogach, wśród śloty i chłodu, nieraz brodząc po kolana w śniegu lub błocie. Wytrzymywała wszelkie niewygody powstańczej egzystencji, jadła co się nadarzyło, nieraz przez dobę i więcej musiała się obywać paru ziemniakami; raz straciwszy konia, 18 mil przebyła piechotą z oddziałem. Co się tyczy jej stosunku do Langiewicza, brak wszelkiej podstawy do jakichkolwiek uwłaczających podejrzeń; nie było nawet czasu do zaprzątania się czem innym prócz wojną. Langiewicz tak był zajęty całymi dniami i nocami kłopotliwymi sprawami dowództwa; tak był moralnie i fizycznie zmęczony, przybity i przygnębiony ciężką na nim odpowiedzialnością, że myśl o jakichkolwiek romansach byłaby i dziwną i niemożliwą. Słowa kochanek i kochanka nie licowały wcale do ówczesnego otoczenia i okoliczności. A jeśli nawet w przelocie schwyciło się całusa, to jeszcze niczego nie dowodzi!..

Petrow opowiadał, że pannę Pustowojtównę w obozie nazywano: „Panem Karolem”... [3]

Tu przerwa w narracji Mikołaja Berga. Insynuacje na tematy obyczajowe zajmują tak bardzo autora „Zapisków ...” że ani się zająknął o tym z jakim poświęceniem pełniła Pustowojtówna funkcje sanitariuszki i adiutanta w oddziale gen. Langiewicza. Tymczasem, jej odwaga, determinacja, zaangażowanie i poświęcenie budziły podziw i zagrzewały powstańców do walki.

Wróćmy do tekstu „Zapisków ...” już po ogłoszeniu dyktatury Langiewicza:

„Popyt na fotografie dyktatora i jego „adjutanta”, Henryki Pustowojtów, był tak wielki, że zakłady fotograficzne nie mogły nastarczyć zamówieniom i sprzedawali kartki w formacie wizytowym po rublu za sztukę. Wkrótce zjawiły się broszurki, kłamry do paszków z popiersiami dyktatora, zamiast do tego czasu używanych popiersi Kościuszki” [3]

Pomiedzy walczacych w powstaniu 1863 roku nie było może głośniejszej i popularniejszej postaci nad Henrykę Pustowojtównę. Sławiono ją, jako bohaterkę, opisywano jej czyny wojenne, zajmowano się nią wiele i wszędzie



**MARIAN LANGIEWICZ  
(GENERAL I DYKTATOR  
POWSTANIA) ORAZ  
ANNA HENRYKA  
PUSTOWÓJTÓWNA  
(ADIUTANTKA  
GENERALA)**

Druck u. Verlag v. C. Barth  
(Wieder), 1863, Muzeum  
Narodowe w Krakowie,  
licencja CC-BY, źródło:  
Cyfrowe Dziedzictwo  
Kulturowe

Kolejne relacje Mikołaja Berga o naszej bohaterce dotyczą wydarzeń po wyjściu korpusu Langiewicza z okrążenia pod Grochowiskami i opuszczenia zgrupowania powstańczego, jego wyjazdu do Galicji jako dyktatora celem ogarnięcia całości spraw powstańczych:

„Należało bez zwłoki korzystać z pozostawionej luki, to też o świcie dnia 19 marca Langiewicz z oddziałem był już w Wiślicy na tyłach rosyjskich stanowisk, nie spostrzeżony i nie goniony przez nikogo. Nie wtajemniczeni w narady zasiedli spokojnie do posiłku i odpoczynku, tymczasem Langiewicz z Pustowojtówną wsiedli na przygotowany wózek i otoczeni eskortą, w której byli generałowie Jeziorański i Waligórski, ruszyli przez Nidę na komorę celną w Opatówku, która podówczas była opuszczoną i w przekroczeniu granicy nie stawiła żadnej przeszkody. Tam się przeprowadzono przez Wisłę w dosyć licznej otoczeniu różnych zbiegów, szukających także bezpiecznego schronienia w Galicji.

Langiewicz i Pustowojtówna na austriackiej komorze w Ujściu wykazali się paszportami generała Waligórskiego z synem, wystawionymi przez szwedzkie poselstwo w Paryżu. Jednak postać dyktatora zanadto dobrze była znana wszystkim z mnóstwa krążących fotografii. Urzędnik kontrolujący paszporty, nie dowierając jednak podobieństwu, dla tem większej pewności zapytał któregoś z powstańców:

– A czy widziałeś dyktatora ?

– A przecież tylko co tu był i rozmawiał z panem, ten małego wzrostu – odrzekł zapytany, ani się domyślając, że dyktator tajemnie starał się przekroczyć granicę.

Przyaresztowany wskutek tego Langiewicz wraz z Pustowojtówną, został odstawiony do Tarnowa, ztamtąd zaś do Krakowa, gdzie go osadzono na Zamku, Pustowojtównę zaś w więzieniu pod telegrafem, pod nadzorem jakiejś kobiety.

... Mijały jednak dni i tygodnie, a Langiewicz wciąż siedział na zamku krakowskim pod silną strażą. Gdy zauważono, że z okna może się porozumiewać z Pustowojtówną, siedzącą pod „Telegrafem”, przeniesiono go do innej baszty, niewidocznej z okien więzienia jego dawnego „adjutanta”. Dnia 2 kwietnia wywieziono go z Krakowa do Tischnowitz na Morawach, przyczem nie pozwolono mu udać się na dworzec kolei żelaznej, lecz zatrzymano pociąg przy rogatce warszawskiej i tam odstawiono Langiewicza o godzinie 4-tej po południu. Pustowojtównę uwolniono zupełnie. Wyjechała ona do Pragi i tam wspólnie ze swą przyjaciółką, śpiewaczką dramatyczną, Zawiszanką, rozpoczęła starania o wydobywanie z więzienia swego towarzysza. Uzyskała pozwolenie na widzenie się z Langiewiczem w Tysznowicach. Miano tam ułożyć plan ucieczki z 26 na 27 kwietnia w nocy. W tym celu Langiewicz zgolił brodę i zmienił ubranie ... lecz zamiar wykryto. Byłego dyktatora dnia 29 kwietnia przewieziono do twierdzy w Josefsztadzie, z kąd z początku nawet w towarzystwie oficera nie pozwolono mu nigdzie wychodzić.

Langiewicza przetrzymywano w Josefsztadzie do końca powstania. potem wyjechał do Turcji i miał być podobno jakiś czas za wezyrostwa Ali-Paszy, generał-policmajstrem w Konstantynopolu – Pustowojtówna mieszkała przeważnie w Paryżu, trudniąc się z początku wyrobem sztucznych kwiatów, następnie dawaaniem lekcji muzyki. W 1870 roku pełniła służbę jako siostra miłosierdzia w paryskich połowych szpitalach. W tym jakoś czasie wyszła za mąż za doktora medycyny Löwehardta, emigranta z 1863 roku i miała z nim czworo dzieci. Umarła 2 maja 1881 roku w Paryżu na suchoty, pochowana dnia 5 maja na cmentarzu w Montmorency, [3]

Nie należy zapominać o tym, że „Zapiski o polskich spiskach i powstaniach” Mikołaja Berga to relacja Rosjanina i skierowana do Rosjan. Nie poznamy więc z jego relacji bohaterskich czynów, poświęcenia i heroizmu polskich powstańców. Co najwyżej dowiemy się nieco o odwadze i brawurze żołnierzy rosyjskich, ale też i o waśniach pomiędzy rosyjskimi dowódcami, co wykorzystywali lub nie polscy powstańcy. Jest to jednostronna, tendencyjna relacja będąca w istocie pastiszem zapisu kronikarskiego.

Mikołajowi Berg umożliwiono dostęp do archiwów wojskowych, protokołów przesłuchań



uwięzionych powstańców, a niewykluczone, że i do samych aresztowanych. W swoich zapiskach powołuje się często na bezpośrednie rozmowy z polskimi i rosyjskimi uczestnikami wydarzeń. Jeśli sympatyzował z powstańcami, to jak wielu Rosjan za przyczyną ich programu reform społecznych, tak Rosji potrzebnych. Polski patriotyzm komentował jako przejaw jakiejś przewlekłej choroby, która dotyka szczególnie dotkliwie polskie kobiety. W jednej z publikacji Berg napisał:

„kobieta polska jest wiecznym, nieubłaganym i nieuleczalnym spiskowcem”. [9]

Wśród dokumentów rodzinnych znalazłem pamiątkę z Powstania Styczniowego, ręcznie spisany w 1864 roku zbiór pieśni powstańczych przez 13 letnią wówczas Stanisławę Stanko, prababkę mojego wujka Tadeusza Bielewicza. Jej 33 letni wówczas ojciec, Roman Stanko ruszył do powstania konno jedynie z szablą wraz z oddziałem 500 ochotników galicyjskiej szlachty. Po wygaśnięciu walk powstańczych wrócił do domu boso, ale z szablą i niestety z ciężkim zapaleniem płuc. Tak to 13-letnia kobieta walczyła piórem z rosyjskim najeźdźcą, gromadząc ponad setkę powstańczych pieśni.

Nie bez powodu więc Mikołaj Berg widział w osobach polskich kobiet ostoję zapiekłego polskiego patriotyzmu. Nie tylko on. Oto relacja jakie metody traktowania Polaków zalecały władze rosyjskie owego czasu:

„Rozpoczęły się więc rządy stanu wojennego. „Proszę działać bez żadnej pobłażliwości i w żadnym wypadku nie tolerować swawoli. Winnych sądzić według praw wojennych i wyroki wykonywać natychmiast” – brzmiał telegraficzny rozkaz cesarza, przesłany Suchozanetowi, a ten i podwładni mu dowódcy wojsk, wypełniali go ściśle. Aresztowania szły za aresztowaniami. Represje, zarówno w Warszawie, jak i na prowincji, gdzie naczelnicy wojenni dopuszczali się okrucieństw niesłychanych. W Płocku np. jen. Rożnów, kazał ćwiczyć różgami kobiety z inteligencji, chodzące w żałobie, oraz wszystkich aresztowanych za udział w manifestacjach. Wszędzie deportowano aresztowanych bez sądu do Rosji.”

Mikołaj Berg musiał i tak stale liczyć się z działalnością rosyjskiej cenzury. Sprawa publikacji jego dzieła będącego owocem pięcioletnich studiów „Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831-1864”, oparła się o autorytet cara Aleksandra II, który

wydał ostateczny zakaz, ponieważ, jak stwierdził:

„tego rodzaju publikacje są obecnie nieodpowiednie, gdyż Polska podczas wszystkich ostatnich wydarzeń jest zupełnie spokojna i nie należy jej niepokoić wspomnieniami o przeszłości. Dokument ten zostanie prawdopodobnie przetłumaczony na języki obce, na polski, i wywoła nieprzyjemne wspomnienia” [2].

W „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej” Anna Henryka Pustowojtów figuruje jako rosyjska rewolucjonistka (4). Zresztą za Aleksandra Hercena: „Rosyjską kobietą u Langiewicza” (5). Ale już w obecnej rosyjskiej edycji Wikipedii jest polską rewolucjonistką (6). Obecne źródła rosyjskie często powołują się na polską publikację: Wawrzykowska-Wierciochowa D., „Najdziwniejszy z adiutantów. Opowieść o Annie Henryce Pustowojtównie”. [8]

Warto wspomnieć, że ojciec Anny Henryki Pustowojtów był z pochodzenia Węgrem, a jej rodzony brat oficerem w armii rosyjskiej. Brat w czasie Powstania Styczniowego służył w twierdzy kijowskiej, a znany był tam z nadgorliwości w prześladowaniu polskich więźniów. [8]

Wśród Rosjan, jak już mieliśmy okazję przekonać się z fragmentu tekstu Mikołaja Berga, nie było jednomyślności co do stosunku do polskich powstańców i metod pacyfikowania rewolucyjnych nastrojów polskiego społeczeństwa. Oto kolejny przykład:

„Zarządzenie to wywołało kłótnię między namiestnikiem i Gerstenzweigiem, zakończoną amerykańskim pojedynkiem. Gerstenzweig wyciągnął los i zastrzelił się. Na Lambercie jednak zajścia dni ostatnich zrobiły takie wrażenie, że rozchorował się, do cesarza wystąpił prośbą o dymisję, a na miejscu wydawał coraz dziksze rozporządzenia”.

Historia życia Anny Henryki Pustowojtów-Löwehard to gotowy scenariusz filmu.

Jacek Pachucki

Ten artykuł został pierwotnie opublikowany na portalu [Elblog.pl](http://Elblog.pl) w styczniu 2018 r. Tekst został opublikowany na portalu PAMIĘĆ HISTORYCZNA po otrzymaniu zgody portalu [Elblog.pl](http://Elblog.pl)

Dzienniki w Europie i w Ameryce podziwiała męzną Polkę walczącą za ojczyznę: pisma ilustrowane skwapliwie zamieszczały jej wizerunki i rysowały bitwy, w których brała udział...

## Przypisy

1. Dwutygodnik dla kobiet Pismo beletrystyczne i naukowe, Poznań 11 czerwca 1881 (<http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/plain-content?id=109630>)

2. Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831-1864 N.W. Berga, powstanie dzieła i jego losy. Sztakelberg J.I. ([http://bazhum.muzhp.pl/media/files/Przeglad\\_Historyczny/Przeglad\\_Historyczny-r1968-t59-n1/Przeglad\\_Historyczny-r1968-t59-n1-s41-66/Przeglad\\_Historyczny-r1968-t59-n1-s41-66.pdf](http://bazhum.muzhp.pl/media/files/Przeglad_Historyczny/Przeglad_Historyczny-r1968-t59-n1/Przeglad_Historyczny-r1968-t59-n1-s41-66/Przeglad_Historyczny-r1968-t59-n1-s41-66.pdf))

3. Zapiski o polskich spiskach i powstaniach Część VII, tłumaczenie z rosyjskiego, prof. Mikołaj Berg, Warszawa Redakcja i Administracja Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 190

4. Путовойтова Анна Теофиловна [3 (15)]. 7.1843, м. Верховишки, близ

Житомира, — 2.5.1881, Париж, русская революционерка (<http://bse.sci-lib.com/article094245.html>).

5. Герцен А. И., Русская женщина у Лангевича, Собр. соч. в 30 томах, т. 17, М., 1959

6. <https://ru.wikipedia.org/wiki>

7. Wawrzykowska-Wierciochowa D., Najdziwniejszy z adiutantów. Opowieść o Annie Henryce Pustowojtównie, [Warsz.], 1968.

8. Rok 1863, Grabiec J. (Józef Dąbrowski) Warszawa-Kraków 1929 ([https://archive.org/stream/rok1863ietysicos00grabuoft/rok1863ietysicos00grabuoft\\_djvu.txt](https://archive.org/stream/rok1863ietysicos00grabuoft/rok1863ietysicos00grabuoft_djvu.txt))

9. <http://colloquium.elsite.eu/images/numery/XV/IG.pdf>

## Skok stulecia, czyli

# Skarbiec Królestwa Polskiego w rękach powstańców

P

owstanie styczniowe obfitowało w wydarzenia niecodzienne, w których powstańcy wykazywali się niezwykłą pomysłowością, determinacją, odwagą i... nerwami ze stali. Co ciekawe, nie zawsze były to heroiczne czyny na polu bitwy. Do jednego z najbardziej spektakularnych wydarzeń należało wykradzenie w biały dzień tajnych carskich map i bagatela, opróżnienie bez jednego wystrzału Skarbcza Królestwa Polskiego. Między innymi o takich, mało znanych historiach, przypomnimy w tym artykule.

Do wyjątkowo „bezczelnych”, a przy okazji pomysłowych i odważnych powstańców z pewnością zaliczał się Aleksander Waszkowski – zakonspirowany członek Warszawskiej Organizacji Miejskiej (a w ostatnim okresie Powstania styczniowego także powstańczy namiestnik Warszawy). Waszkowski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że słabo uzbrojeni powstańcy najbardziej potrzebowali broni, którą najlepiej było kupić, gdyż zdobywanie broni „na wrogu” zbyt dużo kosztowało. Problem polegał oczywiście na tym, że kupno broni wiązało się z potrzebą zdobycia dużych pieniędzy. Drugim elementem niezbędnym do sprawnego poruszania się w polu oddziałów partyzanckich były dokładne mapy. I pieniądze, i mapy były w Warszawie. Tyle że pozostawały w rękach wroga. Jednak Aleksander Waszkowski i mapy, i pieniądze (dokładnie w tej kolejności) postanowił zdobyć. Co więcej, udało mu się tego dokonać bez jednego wystrzału.

### STALOWE NERWY KONSPIRATORA

W pierwszych tygodniach Powstania styczniowego, w lutym 1863 r., Waszkowski podjechał do rożką pod dobrze strzeżone carskie Biura Pomiarów Komisji Przychodów i Skarbu. Młody konspirator kazał poczekać dorożce, po czym pewnym krokiem wszedł (w godzinach pracy) przez nikogo nie kontrolowany do jednego z pokoi, w którym znajdowała się szafa z tajnymi mapami sztabowymi. Waszkowski sprawiał wrażenie tak pewnego siebie Moskala, że nikt nie śmiał go nawet skontrolować. Warszawiakowi sprzyjał fakt, że w carskim biurze co jakiś czas pojawiali się różnego

rodzaju tajniacy i ważne osobistości w związku z wybuchem powstania. Nie wypowiadając ani słowa i zachowując pozę człowieka nie znoszącego jakiegokolwiek sprzeciwu, członek Warszawskiej Organizacji Miejskiej powoli otworzył szafę z mapami sztabowymi, po czym... najspokojniej w świecie wyjął je i powoli wyszedł przez nikogo nie niepokojony.

Oniemieli carscy urzędnicy pracujący w pokoju, gdzie znajdowała się owa szafa, usłyszeli od tajemniczej osoby jedynie jedno słowo „doswidania”. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że właśnie w tej chwili zakonspirowany członek Warszawskiej Organizacji Miejskiej wyniósł im sprzed nosa cenne mapy sztabowe.

Waszkowski musiał mieć nerwy ze stali, gdyż nie spieszył się nawet wtedy, gdy z cenną zdobyczą wsiadł do dorożki. Odjechał spokojnie jak na „carskiego urzędnika” przystało. Konspirator doskonale zdawał sobie sprawę, że zdradzić może go jeden nieopatrzny ruch, przypadkowa kontrola, czy nawet drobny gest zdenerwowania, a wtedy za próbę wykradzenia map zapłaci głową. To, co zrobił Waszkowski, wydawało się tak szalone i nieprawdopodobne, że carscy urzędnicy Biura Pomiarów Komisji Przychodów i Skarbu zorientowali się, że zostali wystrychnięci na dudka dopiero wtedy, gdy nikt z przełożonych nie potrafił powiedzieć, kim była ta „gruba ryba”, która spokojnie wyszła z cennymi mapami sztabowymi. Rosjanie mieli się z pyszna. Jak się jednak wkrótce okaże, ten sam zakonspirowany członek Warszawskiej Organizacji Miejskiej przebiję swój własny numer z mapami...

### NIE MASZ CWANIAKA...

Udana akcja z wykradzeniem map sztabowych dodała Aleksandrowi Waszkowskiemu skrzydeł, toteż nic dziwnego, że wkrótce wpadł na kolejny szalony pomysł. Tym razem zaledwie 22-letni warszawiak obmyślił plan... „obrobienia” Skarbcza Królestwa Polskiego. Opracowywał go kilka miesięcy. W końcu w pierwszych dniach czerwca 1863 r. przedstawił swoim zwierzchnikom scenariusz akcji, po której zdobędzie carskie złoto.



**Jarosław Mańka,**

dziennikarz,  
scenarzysta i  
reżyser



I w tym przypadku plan Waszkowskiego był niezwykle prosty. Sprytny powstaniec wziął na swój celownik najmniej zrusyfikowanych Polaków pracujących w Kasie Głównej Komisji Rządowej i Skarbu Królestwa Polskiego w Warszawie i zaproponował im wprost wydanie całej kasy władzom powstańczym. Podjął rozmowy z kasjerem Kasy Głównej Stanisławem Janowskim i głównym kontrolerem Stanisławem Hebdą. Pewność siebie Waszkowskiego znowu zrobiła wrażenie, choć ryzyko było ogromne – w razie donosu zruszczonych Polaków groziła mu śmierć.

Podczas pierwszych rozmów pracownicy Skarbu Królestwa Polskiego nie powiedzieli „nie”, a niebawem zażądali tylko rozkazu na piśmie Rządu Narodowego, by ułatwiono im ucieczkę za granicę z taką ilością carskiego złota, która pozwoli im rozpocząć nowe życie. Jednym słowem „złoto dla zuchwałych”.

Rząd Narodowy oczywiście zgodził się na takie warunki i niebawem Waszkowski przystąpił do akcji. Śmiało można powiedzieć, że przejęcie carskiego skarbcza było skokiem stulecia. Łupem powstańców padło 40 tys. rubli w złocie, 470 tys. w banknotach i ponad 3 miliony w listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Krótko mówiąc, „nie masz cwaniaka nad Warszawiaka”.

Aleksander Waszkowski był gorącym patriotą. Walczył z zaborcą do końca, zdając sobie sprawę, że upadek powstania jest nieuchronny. 10 grudnia 1864 r. przyjął funkcję ostatniego powstańczego naczelnika Warszawy i starał się wydawaniem rozkazów i odezw utrzymywać wrażenie, że powstańcze tajne Państwo Polskie nadal trwa. Wiedząc, że zbliża się koniec, świa-

domie nie opuszczał miasta. Aresztowany 19 grudnia 1864 r. został stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej 17 lutego 1865 r., mając niespełna 24 lata.

### KOLEJNY SKOK NA CARSKIE ZŁOTO

O wyczynie Waszkowskiego śmiało można powiedzieć, że był to polski skok stulecia. Dla porównania podczas zdobycia rosyjskiego konwoju z pieniędzmi i bronią w bitwie pod Żarzynem koło Puław powstańcy zdobyli 140 tys. rubli i 400 karabinów. Wtedy jednak rozgorzała zażarta kilkugodzinna bitwa, w której zostało zabitych 181 carskich żołdaków, ale ofiary były także i po stronie powstańców. Podczas zdobycia carskiego złota w Warszawie nie padł ani jeden strzał. 45 lat później, w 1908 r., inny konspirator ze stalowymi nerwami, razem z grupą bojowców PPS, na stacji Bezdany niedaleko Wilna, opanował wagon pocztowy przewożący pieniądze z Kongresówki do Sankt Petersburga i zdobył 200 tysięcy rubli. Tyle że podczas tego napadu bomby i kule latały gęsto – podczas akcji zabito jednego i raniono pięciu carskich żołnierzy.

Jedno jest pewne, carskie pieniądze dobrze przysłużyły się polskiej niepodległości, gdyż przeznaczono je m.in. do utworzenia organizacji strzeleckich, które stały się później podstawą struktur Legionów Polskich. Pewne jest też to, że ów konspirator bardzo dobrze znał historię i przebieg Powstania styczniowego i prawdopodobnie nieobca była mu też historia skoku na Skarbiec Królestwa Polskiego.

*Tekst został opublikowany za zgodą autora  
(pierwotnie był udostępniony  
w serwisie internetowym FPG24.pl)*

# O Karolu Różyckim w 190-lecie Powstania Listopadowego

„Ktokolwiek czytał Pamiętniki Jazdy Wołyńskiej i wspomnienia jego emigracyjnych przyjaciół miał uczucie, że zbliża się do czegoś większego, niż nauka, talent i sława, bo do wielkiej duszy ludzkiej. Uczucie to mieli także spólcześni; miał je Adam Mickiewicz”.

O

pinia Stanisława Szpotańskiego, wyłożona na kartach Ludzi listopadowych ukazuje nam jakby iskrę elektryczną płynącą między pokoleniami, o których mowa w pierwszej części cytatu. Raz jeszcze dowodzi ona, że rozmowa o stuleciu polskiej niewoli nie musi oznaczać nudnej pogadanki na lekcjach polskiego, czy historii albo, co gorsza, swoistego garbu niepozwalającego nam funkcjonować we współczesnym świecie, ale że ten „piękny” wiek XIX może być piękny nie tylko nazwy. Wystarczy nieco rozsunąć nieumiejętnie wykorzystywaną niekiedy faktografię, by z jednej strony dostrzec tam postawy i wartości mające swój wymiar uniwersalny, z drugiej – by odkryć pokłady tego „wielkiego – jak powiedział Jan Paweł II – dziedzictwa, któremu na imię Polska”.

Ileokroć myślę o Karolu Różyckim – i jego synu Edmundzie! – przychodzą mi do głowy słowa z przepięknie przez Mickiewicza przepolszczonej powieści poetyckiej – bo tak się to fachowo nazywa – Giaur. Oto w kongenialnej wobec oryginału wersji możemy przeczytać następujące, wielce wymowne słowa: „walka o wolność, gdy się raz zaczyna/ z ojca krwią spada dziedzictwem na syna”. Jaki ma to związek z obu Różyckimi? W zasadzie należy powiedzieć, że ścisły! Edmund (1827-1893) był faktycznym kierownikiem powstania styczniowego na Ukrainie, a dokładniej na Wołyniu, gdzie sformował pułk jazdy; Karol natomiast w tych samych okolicach dowodził pułkiem jazdy w powstaniu listopadowym. Gdyby znał ich Plutarch, uczyniłby

ich bohaterami swych Żywotów Równoległych – albo nie uwierzył, że chodzi o dwie różne osoby.

## POCZĄTKI KARIERY WOJSKOWEJ. POWRÓT NA WOŁYŃ

Karol Różycki urodzony opodal Jampola w roku 1789 należał do tego pokolenia, dla którego okres formacyjny stanowiła epoka napoleońska i z którego wywodziła się większość starszych stopniem oficerów powstania listopadowego. Jak wielu szlacheckich synów zaciągnął się pod narodowe sztandary w utworzonym przez Cesarza Księstwie Warszawskim. Działo się to w chwili, kiedy Polacy w czasie krótkiego istnienia tegoż państwa przeżywali chwilę największego tryumfu: wpięrowe odparcie armii arcyksięcia Ferdynanda maszerującej ku Warszawie, a następnie zwycięską kontrofensywę Józefa Poniatowskiego, zręcznym manewrem wkraczającego do Galicji. Na wieść o zbliżaniu się wyzwolicielskich wojsk, młody Karol jako prosty ułan – nazwą formacji określano wówczas „szeregowców” – trafił do oddziału Piotra Strzyżewskiego. Wziął udział w bitwie pod Zaleszczykami i Wieniawką oraz przedzielającym je ataku na Tarnopol – wszystko latem 1809 r.

To był chrzest bojowy. Potem przyszła wojna z Rosją, w czasie której wziął udział w niezbyt szczęśliwie rozegranej bitwie pod Mirem. W dalszym toku działań trafił do niewoli, zakończonej, jak pisze autor biogramu Różyckiego w Polskim Słowniku Biogra-



**Dominik Szczęsny-Kostanecki,**  
publicysta



*Karol Różycki*

CHARLES ROZITSKI

ficznym, „w niewyjaśnionych okolicznościach”. Odbył wszystkie pozostałe kampanie napoleońskie, tj. sasko-niemiecką oraz – najsmutniejszą – kampanię 1814 roku, zwieńczoną abdykacją Cesarza. Jest wówczas podporucznikiem, czyli piastuje najniższą, ale jednak oficerską szarżę. Piszemy o tym wszystkim we wspomnieniu człowieka zasłużonego w powstaniu listopadowym i w okrągłą rocznicę tegoż, aby pokazać – jak nakazuje dobry obyczaj historyczny – jakie były początki tej błyskotliwej kariery wojskowej.

To że przebył jej stopnie od ułana świadczy o dwu ważnych kwestiach. Po pierwsze Różycki musieli być zamożni na tyle, by opłacić konia z rzędem – inaczej było niezwykle trudno zostać kawalerzystą. Nie należeli zatem do szlachty drobnej – ale też i nie na tyle zasobnej, by móc opłacić, czyli wystawić część pułku – nie mówiąc

już o jego całości. Tzw. średnia szlachta – a więc i Różycki – stanowiła w zgodnej opinii historyków najbardziej patriotycznie usposobioną część polskiego społeczeństwa. Po drugie fakt, iż nasz bohater zaczynał od zera oznaczał, iż ani on, ani jego rodzina nie szukali dlań protekcji. To bardzo istotna okoliczność, która w połączeniu z męstwem zapewnia rekrutowi szacunek kompanów, czy w ogóle otoczenia. Będziemy świadkami, jak bardzo czynnik ten da o sobie znać w powstaniu listopadowym.

Słowo o życiu prywatnym późniejszego generała. Czynimy to w tym miejscu, bowiem właśnie w piętnastoleciu przedzielającym ostateczny upadek Napoleona i wybuch listopadowej insurekcji rozkwitło ono nad wyraz bujnie. Jego ośrodkiem stała się Huta Cudnowska (ob. Agatówka), wieś położona malowniczo na samym skraju historycznego Wołynia. Był to mająteczek wniesiony



**POJEDYNEK KAROLA RÓŻYCKIEGO Z HOWANEM**

Pojedynek Karola Różyckiego z Howanem, pułkownikiem rosyjskim pod Jizą w 1831 roku Karta pocztowa wydana nakładem S. W. Niemojowski, Lwów. Światłodruk EUREKA Lwów.

Różyckiemu w 1822 r. przez małżonkę – Mariannę Czajkowską, siostrę Michała Czajkowskiego, późniejszego Sadyka Paszę, ważnego reprezentanta szkoły ukraińskiej polskiego romantyzmu, który notabene walczyć będzie w oddziale swego szwagra. Szwagier tymczasem oczekiwał się piątki dzieci. Po roku 1827, wziąwszy dymisję z wojska, oddał się wyłącznie życiu rodzinnemu oraz gospodarowaniu. Niestety, z jego dworu nie pozostał ślad, choć z dużym prawdopodobieństwem można określić, gdzie stał.

**POWSTANIE LISTOPADOWE**

W tym momencie opowiadania wydarzenie historyczne, jakim było powstanie listopadowe, niczym w powieści szkatułowej, splata się nierozzerwalnie z opisem go dotyczącym. Chodzi o niewielką rozmiarami i kontrastowo ogromną pod względem znaczenia książeczkę Powstanie na Wołyniu, czyli Pamiętnik Pułku Jazdy Wołyńskiej, uformowanego w czasie wojny narodowej polskiej przeciw despotyzmowi tronu rosyjskiego 1831 roku; pisany przez dowódcę tegoż pułku Karola Różyckiego P. [pisownia dostosowana do reguły dzisiejszej ortografii].

Jakże wspaniałe są tytuły starych książek! Zawierają tak wiele treści, że od razu wiadomo, o czym będzie mowa. Co się tyczy tej właśnie, to ma ona jedną wielką zaletę i jedną, równie wielką wadę. Zacznijmy od pierwszej. Oto źródło opublikowanie niemal nazajutrz po opisywanych wydarzeniach, tj. w roku 1832, co, jak na wspomnienia, jest dużym ewenementem. Nie słychać tam też jeszcze echa późniejszych emigracyjnych swarów. Problem z kolei leży w tym, że mówimy tu o jedynym źródle przydatnym dla opisanie kampanii oddziału Róży-

kiego na Wołyniu. Ową solitudo widać doskonale we wszelkich artykułach poświęconych niniejszym wydarzeniom: wszystkie cytują Pamiętnik i wszystkie po nim powtarzają, bo i cóż mają robić? Tymczasem my wolimy po prostu oddać głos bohaterowi. O tym, jak doszło do zawiązania Pułku Jazdy Wołyńskiej powiada on w następujący sposób: (kiedy wiadomo już było, że powstanie wybuchło i się utrzymało...)

„[...]starałem się wyrozumieć fabrykantów [strażników] leśnych, zawołanych strzelców, i z pociechą znalazłem, że nie mniej jak ja, kochają Polskę. Powiększyłem natychmiast wyrobek u siebie leśny, i rachowałem w okolicy trzech mil, że na pierwszą wiadomość, pod pozorem polowania w borach osiemset przeszło strzelców stanie[...]

Ostatecznie, nocą 16 na 17 maja stanęło ich znacząco mniej, ale wielką w tym rolę odegrały przewencyjne, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, działania władz oraz fakt, iż powstanie trzeba było przełożyć ponieważ spodziewane nadejście korpusu generała Dwernickiego nie doszło do skutku. O co zresztą później miał Różycki pretensje, które sięgną apogeum w drugiej połowie lat 30., po publikacji Uwag nad wyprawą generała Dwernickiego na Ruś. Tymczasem, mimo ograniczonej liczby powstańców, nocą 16 na 17 maja...

„[...]zebraliśmy się w lasach korowiniec małych [właśc. Małych Korowiniec], o mil cztery od Żytomierza, miasta gubernialnego Wołynia, osadzonego działami i wojskiem, ale zebraliśmy się nie wszyscy”.

Oddział skierował się w kierunku Lubara i Cudnowa, gdzie 20 maja doszło do napadu na rosyjski konwój z rekrutami – swoistego chrztu bojowego: „pod samym Cudnowem 560 rekrutów uwolnionych, błogosławiło nam, rozsypując się w stronę lasów. Oficer konwoju

wyłęky, na kolanach dziękował za zostawione swoje życie, które mniej może cenil od bomazek, jakie mu kazalem powrócić – 50. Karabinów z bagnetami i tyleż z ładunkami ładownic było pierwszą naszą zdobyczą, a osiemdziesiąt czapraków nowych huzarskich robionych w Cudnowie przykryły siodła naszych jeźdźców.

A zatem pierwsze starcie i od razu zwycięstwo, które ma zawsze wielki walor ze względów psychologicznych. Potem przyszły kolejne, również zwycięskie. Szarpanie wroga, akcje dywersyjne, w tym ekspropriacyjne i inne, bezustanne manewry – taki charakter miały te zmagania. Na przykład w Ułanowie, jak powiada Różycki, „dla przecięcia komunikacji zebrana była poczta”, koni niezdolnych do transportu ludzi „użyto do wieszania karabinów”. Ale trafiały się – a jakże! – również starcia bardziej regularne. Zwróćmy uwagę na dzień 27 maja, kiedy to w okolicach Krasnopola doszło do udanej szarży na oddział piechoty w sile około pół batalionu – dosłownie rozniesiony przy pomocy uwielbianych przez polską kawalerię lanc. Pułkownik wspominał niebawem:

„Pamiętacie koledzy moi, że kolumna ta mała podpłynęła posoką, litość by odwracała niewinne oczy wasze od tego widoku, ale młode oczy wasze widziały dużo łez, a uszy słyszały jęki waszych rodzin, które wyciskało bożyszczce tej tłuszczy. Pamiętacie, jak bracia nasi ścisnęli ich i z czworoboku w piramidę zrzucili. Pamiętacie, kiedy jeźdźcy płochliwszych koni pieszo deptali po głowach i siłą obydwu rąk wtłaczali groty po drzewca w swoje ofiary”.

Podobna guerilla nie mogła jednak trwać wiecznie. Przy małej liczebności pułku, wobec konieczności manewrowania nie przed jednym, ale większą liczbą oddziałów rosyjskich, wreszcie z nadzieją wsparcia powstania w etnicznej Polsce, 10 czerwca 1831 roku, przeprowadził się Różycki przez Bug, symbolicznie kończąc wołyński etap walk. Jego dalsze losy w insurekcji to już temat na inną opowieść.

## NA EMIGRACJI

Po powstaniu listopadowym przebywał w Paryżu. Przez Juliusza Słowackiego typowany był na jednego z przywódców, którzy wyprowadzić mają naród polski z domu niewoli, o czym zaświadcza wiersz Proroctwo. Słowa: „kiedy RÓŻA stanie złączona z kamieniem/, a nad nimi się dąb zakolysze/ cała emigracja zagore płomieniem/ i o paszport do Boga napisze” wbrew temu, co w tej kwestii próbują wymyślać niekiedy poloniści, stanowią czytelną aluzję do trzech popularnych wówczas wysokich rangą oficerów: Różyckiego, to już wiemy; pod dwoma pozostałymi kryptonimami – do Mikołaja Kamieńskiego i Henryka Dembińskiego. Co jeszcze ciekawsze, mowa o postaciach dowódców, w powstaniu listopadowym walczących w każdej z trzech części dawnej Rzeczypospolitej: Rusi, Korony i Litwy. Przypadek? Być może tak, ale nawet jeśli, to wtórne nadanie mu tego znaczenia ma głęboki sens w obliczu wyzwań współczesności.

„Różycki Karol – powiada jego wieloletni przyjaciel Leonard Rettel – był roslę postaci, rysów twarzy wielkiego pokoju i powagi, niepospolitą siłą duszy objawiających, a przecież nie było tam najmniejszego cienia surowości; włos jego ciemny, po osiemdziesiątym roku życia zaledwie lekko zaczął się przesypanywać siwizną. W całej postawie, w ruchu, w obliczu, w niewielu gestach, w dobitności, jaką głos jego nigdy prawie nie podniesiony nadawał wyrazom, była jakaś harmonia, jakaś całość, która zarazem i kochać go i być mu posłusznym kazała”.

Nam pozostała wdzięczna pamięć i ów pamiętnik, o którym entuzjastycznie wprost wypowiadał się sam Adam Mickiewicz w „Pielgrzymie Polskim” (nr z 4 listopada 1833 r.): „opisy Różyckiego są tak żyjące, tak malownicze, tak prawdziwe, że czytającemu zdaje się, iż nie na książkę patrzy, ale na kraj wołyński, że z kart wychodzą konie i ludzie, a wypadki toczą się przed oczyma. Zapominamy wtenczas o książce, o pisarzu; czekamy z biciem serca i bez oddechu, kto wygra bitwę, jak się skończy wyprawa?”.

### JAZDA WOŁYŃSKA

„Ktokolwiek czytał Pamiętniki Jazdy Wołyńskiej i wspomnienia jego emigracyjnych przyjaciół miał uczucie, że zbliża się do czegoś większego, niż nauka, talent i sława, bo do wielkiej duszy ludzkiej. Uczucie to mieli także spóźnieńsi; miał je Adam Mickiewicz”.

Opinia Stanisława Szpotańskiego, wyłożona na kartach Ludzi listopadowych ukazuje nam jakby iskrę elektryczną płynącą między pokoleniami, o których mowa w pierwszej części cytatu



## Decydująca bitwa w dziejach Rzeczypospolitej

# Zwycięstwo polskiego oręęża pod Cudnowem koło Żytomierza

W

dniach 14 października – 2 listopada 1660 r., pod Cudnowem koło Żytomierza, wojska Rzeczypospolitej zmierzyły się z przeważającymi siłami moskiewsko-kozackimi.

Przed bitwą moskiewski dowódca Wasyl Szeremietiew, którego car mianował „wojewodą kijowskim”, zapowiadał marsz blisko 100-tysięcznej armii na Lwów i Kraków. Powiedział to ze szczególną zuchwałością i fanfaronadą, chwalił się, że zdobędzie Kraków, weźmie do niewoli króla polskiego i w srebrnych kajdanach doprowadzi go do cara moskiewskiego. Przy okazji pozwolił sobie na bluźnierstwo: wskazał na ikonę Jezusa Chrystusa i powiedział, że nie będzie uważał go za Boga i Zbawiciela, jeśli nie pomoże mu pokonać królestwa „Lachów” i schwytać króla polskiego. [\*]

Wojska polskie były dowodzone przez hetmana Stanisława Potockiego i hrabiego Jerzego Lubomirskiego. Po stronie Korony walczyły też siły tatarskie pod wodzą nuradyna sołtana Safera Gereja oraz oddziały byłego hetmana Wielkiego Księstwa Ruskiego Iwana Wyhowskiego i brata byłego kanclerza Ukrainy Jerzego Niemiryca – Stefana Niemiryca. Razem armia Rzeczypospolitej wraz z sojusznikami wystąpiła w sile 57 tys. ludzi, w tym 25 tys. Tatarów oraz 40 dział.

Armia moskiewska liczyła ok. 49 tys. ludzi, w tym 11 tys. jazdy, 28 tys. piechoty i dragonii a także 10 tys. pospolitego ruszenia, oraz 50 dział. Pod Cudnowem Szeremietiew i Ciuciura planowali zjednoczyć się z 20-tysięcznym wojskiem zaporoskim pod wodzą hetmana Jurija Chmielnickiego.

27 września 1660 roku wojska moskiewsko-kozackie dotarły do Cudnowa. Szeremietiew nakazał spalić miasteczko i przeprowił się na prawy brzeg rzeki Teterów gdzie rozbił obóz, zostawiając nieobsadzony roniony zamek cudnowski, i postanowić czekać na nadejście armii Jurija Chmielnickiego. Tymczasem kilka godzin później do Cudnowa dotarły wojska polskie i zajęły wspomnianą twierdzę.

Wojska Szeremietiewa zostały wyparte z miasta przez jazdę Potockiego, która zablokowała Mosk-

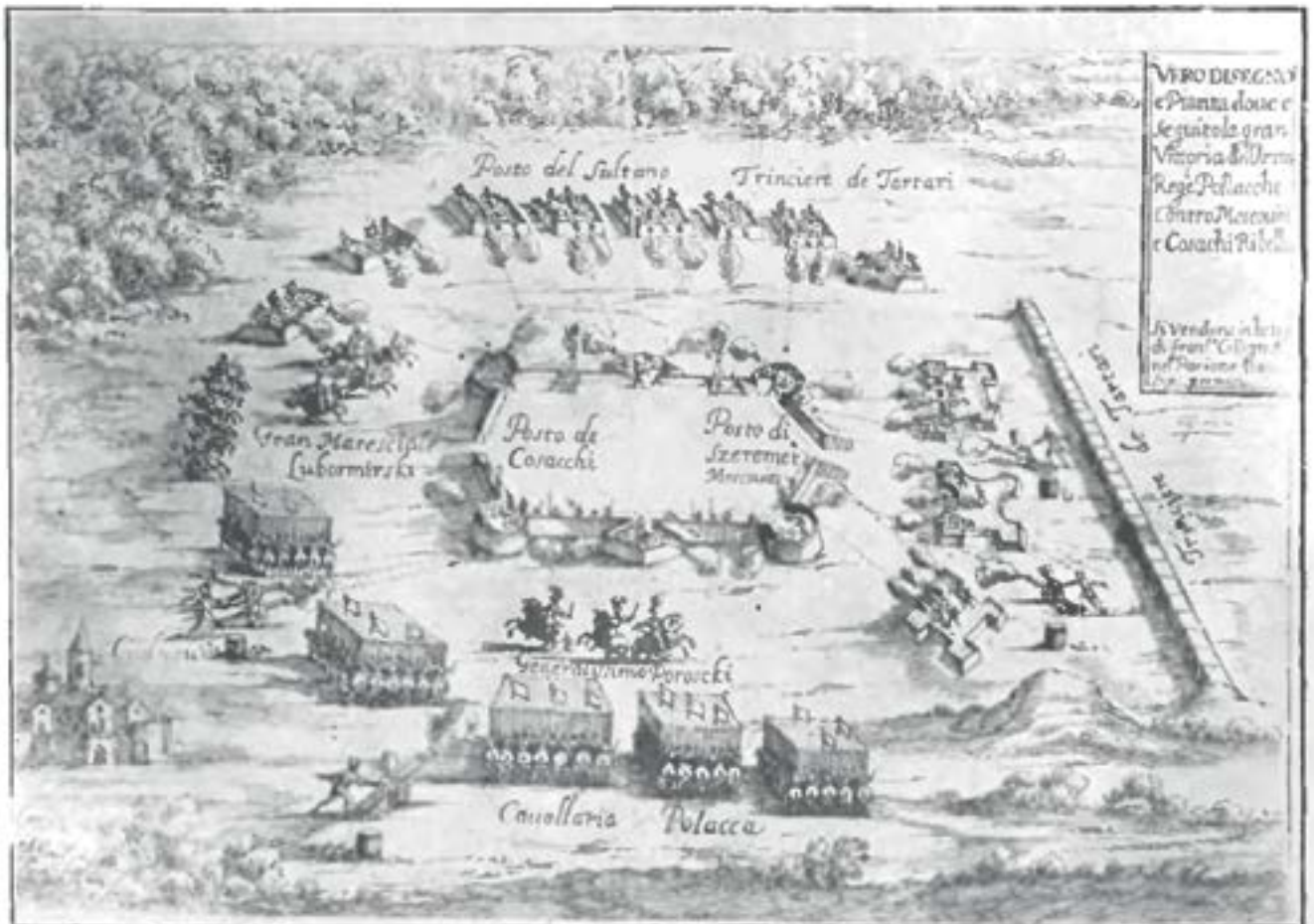
lom drogę odwrotu. Z kolei hrabia Lubomirski, wraz z tatarskimi sojusznikami rozbił obóz na lewym brzegu rzeki Teterów. 28 września Tatarzy wsparci przez polską artylerię wyparli siły moskiewskie z pobliskich sadów, przerwali szyki rosyjskie i wtargnęły do obozu moskiewskiego – odznaczył się wtedy pułk rotmistrza Stefana Bidzińskiego, w którym służył Jan Sobieski, przyszły król Polski. Wojska Szeremietiewa i Cieciry od zupełnej zagłady uchronił tylko brak wsparcia tego ataku ze strony Potockiego.

Z kolei Jan Sapieha, który dowodził pracami inżynierskimi, kazał usypać wały i szańce oraz skierować bieg rzeki tak, żeby zalać dolinę zajęętą przez obóz moskiewsko-kozacki. Dzięki temu całe przedpole obozu wroga zostało poprzecinane liniami szańców. Zadanie ustawienia artylerii powierzono chorążemu koronnemu Janowi Sobieskiemu. 1 października polskie działa zaczęły prowadzić ogień w kierunku taboru Moskali.

Walki trwały codziennie. Wskutek oblężenia obozu oddziałom Szeremietiewa i Cieciry zaczęło brakować żywności. Jednocześnie oddziały Jurija Chmielnickiego nie spieszyły się z pomocą wojskom moskiewskim i dotarły do wsi Słobodyszczce, znajdującej się za 27 km od Cudnowa dopiero wieczorem 5 października. W kierunku oddziałów kozackich ruszyła dywizja Jerzego Lubomirskiego i zablokowała Chmielnickiemu drogę na Cudnow. 7 października 1660 r. została stoczona bitwa polsko-kozacka, w wyniku której wojska kozackie zamknęły się w warownym obozie, a przez to nie mogły przyjąć z pomocą siłom moskiewskim.

8 października Szeremietiew podjął desperacką, ale nieudaną próbę wyrwania się z oblężenia. Z każdym dniem położenie wojsk moskiewskich stawało się coraz bardziej przygnębiającym. Żołnierzom Szeremietiewa i Cieciry brakowało żywności, w obozie panował głód i choroby, Moskale i Kozacy nie mieli możliwości pochować rozkładających się zwłok a zniszczone groble okolicznych stawów zmieniły rejon obozu moskiewskiego w błotniste bajoro.





*Współczesny plan oblężenia Cudnowa w 1660 r.  
(Szytych nieznanego autora ze zbiorów Pawlikowskiego).*

14 października Moskale wreszcie zdołali i wy dostać się z pułapki, zostawiając w obozie spalone wozy i rannych, ale polsko-tatarskie uderzenie zepchnęło ich pod las w miejsce nazywane „Rośnica” na północny zachód od wsi Horodyszczce. Głodni, wymęczoni i zdemoralizowani najeźdźcy ponownie musieli założyć ufortyfikowany obóz.

Trzy dni później sytuacja Moskale uległa dalszemu pogorszeniu. 17 października między Rzeczpospolitą a Kozakami Jurija Chmielnickiego został zawarty Traktat Słobodyszczewski, który przekreślał drugą ugodę perejasławską, strony zgodziły się na przywrócenie trzeciego członu Rzeczpospolitej – Księstwa Ruskiego, Ukraina Prawobrzeżna wracała do Polski.

Przygnębieni oplakaną sytuacją Moskale żywili jeszcze nadzieję na ratunek. Liczyli na odsiecz moskiewskiej armii na czele z Jurijem Boratyńskim, ta jednak nie przyszła, ponieważ jej dowódca obawiał się powstania w Kijowie i po dotarciu pod Brusilów, (znajdujący się 90 km od Cudnowa), wrócił do miasta nad Dnieprem. Ostatecznie zdemoralizowani Moskale zostali zmuszeni do podjęcia negocjacji, które zaczęły się 23 października i trwały do 2 listopada. 4 listopada 1660 roku nastąpiła ostateczna kapitulacja.

Jednak gwarancje bezpieczeństwa zostały naruszone przez Tatarów. Zabili oni lub powlekli

w jasyr setki żołnierzy kozackich i moskiewskich. Złapali też przerażonego i splamionego łzami moskiewskiego dowódcę Szeremietiewa, który w przeddzień bitwy wyróżniał się szczególną zuchwałością wobec wojsk Korony i bluźnierstwem wobec Jezusa Chrystusa.

„Dawni żołnierze, moskiewskie, inflanckie, pruskie wojny pamiętający, nie pomną tak pięknej i ciężkiej wojny; bo przez siedm niedziel w każdy dzień wolno się było bić” – napisał autor diariusza.

Wiadomość o porażce pod Cudnowem wywołała panikę w Moskwie. Moskiewski car Aleksiej był tak przerażony możliwymi konsekwencjami tej klęski, że opuścił swoją stolicę i uciekł aż za Białejezero, jednak gdy dowiedział się, że polska armia nie myśli o wyprawie za Dniepr, uspokoił się i zawrócił do Moskwy.

„Weselże się Ojczyzno, z tak wielkiej wygranej, Pokój w Polsce! Do Rusi do ziemie obiecanej, Masz przystęp, jeno umie postępować” – napisał w swoim poemacie o bitwie pod Cudnowym pułkownik Samuel Leszczyński.

Wiosną następnego 1661 roku zwycięzcy – Stanisław Potocki i Stefan Czarniecki – rzucili do nóg króla polskiego 327 sztandarów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

#### BITWA POD CUDNOWEM

Oblężenie obozu rosyjskiego, dowodzonego przez Wasyla Szeremietiewa i Tymofieja Cieciorę, przez Polaków na wioskiej ilustracji z XVII w.

# 275. rocznica powstania Katedry św. Zofii w Żytomierzu

# W

iek XVII – czas wojen kozackich i moskiewskich, to dla diecezji kijowskiej szczególnie ciężkie lata. Zawarty w roku 1686 traktat Grzymułtowskiego ostatecznie przyznał Rosjanom Kijów wraz z ziemią smoleńską, czernihowską, siewierską oraz lewo-brzeżną Ukrainą. Diecezja kijowska zawęziła się do obszarów po prawej stronie Dniepru.

Pozbawieni katedry, zmuszeni jeszcze przez wojska Chmielnickiego do opuszczenia Kijowa, biskupi katolicycy rezydowali w Lublinie. W liście skierowanym do papieża, biskup Andrzej Chryzostom Załuski (1680-1691) skarżył się, że pod jego rządami pozostała zaledwie dwudziesta część diecezji. Będzie jednak starał się ratować to, co pozostało – wyjednuje u władz Rzeczypospolitej fundusze, sprowadza zakony i rozpoczyna, zakończony niestety niepowodzeniem, starania o budowę katedry w Białej Cerkwi.

## ŻYTOMIERZ STOLICĄ DIECEZJI

Potrzeba nowej katedry była oczywista, ale sprzyjający czas nadszedł dopiero po roku 1711, kiedy to na mocy traktatu pruckiego Rosja zrzekła się pretensji do prawobrzeżnej Ukrainy. Na wyludnione i zniszczone tereny zaczęli powracać dawni mieszkańcy, sprowadzano też osadników z Mazowsza i Małopolski. Odnowienie diecezji kijowskiej (historyczna nazwa pozostała, choć Kijów był w rękach Moskwy), a od 1724 roku kijowsko-czernichowskiej nastąpiło za sprawą biskupa Jana Samuela de Ossa Ożgi (1723-1756), który za jej stolicę obrał Żytomierz.

W Żytomierzu w latach 1724-1725, na miejscu zniszczonego w XV wieku przez Tatarów kościoła Panny Marii, wybudowano drewnianą katedrę, konsekrowaną w 1726 r. Nowa katedra nie była udana – budynek miał wady konstrukcyjne. Około roku 1732 r. biskup Ożga własnym kosztem rozpoczął budowę nowej świątyni – murowanej z cegły, którą konsekrowano w 1746 r. Zasługi tego wybitnego kapłana przypomina zachowana do dziś pamiątkowa tablica. Wkrótce, bo w 1762 r. rozpoczęło także działalność seminarium duchowne.

Żytomierz był miastem leżącym na pograniczu ścierających się kultur i narodowości. Liczne najazdy ze wschodu i południa parokrotnie niemal zrównały miasto z ziemią. Przewaga drewnianej zabudowy narażała miasto na pożary. Jeden z najgroźniejszych, w którym znacznie ucierpiała nowa katedra, miał miejsce w 1768 r., kiedy po ogłoszeniu Konfederacji Barskiej miasto

zajęły wojska moskiewskie, pałac je doszczętnie. Bardzo szybko jednak katedra została odbudowana.

Drugi rozbiór Polski w roku 1793 na zawsze odłączył Żytomierz od Polski. Na czele diecezji kijowskiej stał wówczas biskup Kacper Cieciszowski (w latach 1784-1797). Dzieje diecezji kijowskiej zamyka data trzeciego rozbioru. Ostatni jej skrawek – powiaty żytomierski i owrucki zostają połączone z częścią diecezji łuckiej tworząc diecezję łucko-żytomierską. Pozostała część dawnej diecezji kijowskiej została oddana w zarząd arcybiskupa mohylewskiego.

## WIEK XIX

Pierwszym biskupem łucko-żytomierskim został wspomniany wcześniej Kacper Cieciszowski (w latach 1798-1831), który, co prawda, przeniósł się do Łucka, ale to za jego rządów, w 1801 r., przebudowano katedrę w Żytomierzu, którą konsekrowano 30 sierpnia 1805 r.

Około połowy wieku XIX wybudowany został przy katedrze pałac biskupów, a następca Cieciszowskiego, bp Michał Piwnicki (w latach 1831-1845) przeniósł do Żytomierza konsystorz i seminarium duchowne, które pomieściło się w budynkach skasowanego w 1842 r. klasztoru bernardynów. Obecnie w dawnym pałacu biskupim znajduje się Żytomierskie Muzeum Krajoznawcze z kolekcją dzieł sztuki pochodzących w dużej części z dawnych majątków okolicznej szlachty.

## WŁADZA SOWIECKA NA ŻYTOMIERSZCZYŹNIE

W 1917 r. na czele diecezji łucko-żytomierskiej stanął bp. Ignacy Dub-Dubowski. Początek rządów sowieckich na Żytomierszczyźnie to czas wielkiej anarchii i terroru, grabieży i rekwizycji, represji skierowanych także wobec Kościoła. W czerwcu 1919 r. bp. Dubowski zostaje wypędzony z pałacu biskupiego. Nie bez trudu, ponieważ próbują ująć go sowieccy agenci, udaje mu się dotrzeć do Łucka. Przyjedzie jeszcze raz do Żytomierza podczas ofensywy polskich wojsk na Kijów. Gdy jednak w czerwcu 1920 r. front zostanie przerwany przez armię Budionnego opuści miasto na zawsze. Kiedy w wyniku traktatu ryskiego po stronie sowieckiej znalazła się cała diecezja żytomierska, papież Pius XI w 1925 r. ostatecznie rozwiązał jej unię z diecezją łucką. Wkrótce także wszystkie diecezje rzymsko- i greckokatolickie zostały zlikwidowane przez władze Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej.



### STAN KATEDRY. PRACE KONSERWATORSKIE

Katedra w Żyтомierzu przetrwała w kształcie architektonicznym nadanym jej ostatecznie na przełomie XIX i XX wieku. Ówczesna niewielka rozbudowa kościoła w duchu neobaroku, autorstwa cenionego architekta Władysława Dąmbrowskiego, nie wpłynęła znacząco na zachowany do dziś zewnętrzny wygląd świątyni. Nie ucierpiał również XIX-wieczny pałac biskupi, mimo próby podpalenia go w 1919 r. Katedra początkowo stała zamknięta, później urządzono w niej muzeum. Skutkiem rządów sowieckich, a także okupacji niemieckiej było jednak zagrabienie lub zniszczenie elementów wystroju wnętrza, obrazów, rzeźb, przedmiotów liturgicznych. Zachowało się na szczęście wiele tablic pamiątkowych poświęconych osobom duchownym i świeckim m.in. epitafium kompozytora i pianisty Juliusza Zarębskie-

go, ufundowane przez jego rodzinę, wykonane przez znanego rzeźbiarza Andrzeja Pruszyńskiego. Szczególnie cenna jest wspomnianą już tablica z napisem fundacyjnym z 1746 r., upamiętniającym bpa Ożgę.

16 stycznia 1991 r. papież Jan Paweł II wznowił działalność diecezji rzymskokatolickich na Ukrainie, mianując biskupów we Lwowie, Kamieńcu Podolskim i Żyтомierzu.

W 2013 r. zakończone zostały w katedrze św. Zofii prace, których celem było zabezpieczenie świątyni przed wilgocią. Na wniosek Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” udzielone zostały dotacje z Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Ochrona polskiego dziedzictwa kulturowego za granicą. Projekt prowadzony był pod kierunkiem dr. inż. Ryszarda Jurkiewicza.

*oprac. Dorota Janiszewska-Jakubiak, Dzieje.pl*

# Kościół i klasztor Jezuitów w Żytomierzu



a początku XVIII w., po uspokojeniu kraju, Kazimierz Stecki h. Radwan, kasztelan kijowski, fundował w Żytomierzu kościół i klasztor dla jezuitów. [...] Uchwała sejmu 1768 roku wyrzekła: „fundacją W. Kaziemierza Steckiego, kasztelana kijowskiego, w recesje sejmowym 1726 roku do aprobacji pozostała dla kś. jezuitów jako nie tylko co do misji, ale i co do szkół bardzo potrzebnych ad publicam utilitatem aprobujemy”. Zakład ten przetrwał aż do zniesienia zgromadzenia w 1773 roku [1].

\* \* \*

Kazimierz Stecki wzniósłszy się do krzesła senatorskiego, kasztelanii kijowskiej, upamiętnia się fundacją misji jezuickiej; buduje dla niej gmach duży, murowany z kościołem, pod warunkiem, iż jezuiti będą utrzymywali szkołę trzyklasową. Rzucono w ten sposób, w roku 1724, pierwsze podwaliny szkoły średniej w Żytomierzu. Fundacja Steckiego, potwierdzona na sejmie roku 1768, rozszerzona została przez męża wielkiej nauki, Józefa Andrzeja Załuskiego, biskupa kijowskiego, który do owych trzech klas dodał czwartą [2].

W 1768 roku konfederaci barscy zajęli Żytomierz. O tym zajęciu podaje ciekawe i jedyne szczegóły Serwacy Prus Suchorzewski w swoim „Echu odgłosem ukraińskich rzezi brzmiałem” [„Echo ukraińskiej rzezi”].

Najprzód palestra żytomierska przystąpiła do związku, do którego wciągnął ją Bohdanowicz, umyślnie w tym celu wysłany do Żytomierza przez generację. Na wezwanie tejże generacji ściągnęły do Żytomierza i milicje nadworne ziemian, jako to Proskurów, Rościszewskich i in. Obożny przyprowadził szlachtę i kozaków pańskich. Suchorzewski, autor relacji, daje się także namówić, wchodzi do związku i przysięga.

Gdy milicja Proskurów zdążyła z Kornina do Żytomierza, spotkała w pobliżu Leszczyna podjazd dońców, wysłany do Żytomierza dla rozpędzenia sejmiku zwołanego przez Pawszę i Burzyńskiego. Konfederaci wpadli w zasadkę, dońcy przyparli ich do rudy. Zginął wtedy pułkownik Głowacki, dowódca milicji Rościszewskich, poległ i Sokołowski. Pomimo to walka zawiązała się na nowo w Leszczynie, dano ognia z armat, dońcy pierzchnęli, a gdy noc zapadła, konfederaci wyruszyli do Żytomierza. Tu zaczęto się naprędce fortyfikować, postawiono rogatki, puszkarza nie było, znalazł się Niemiec, który się podjął go zastąpić. Armata stanęła w zamku, druga u bernardynów, gdzie i wierni kozacy stanęli za palisadą, drudzy na wałach zamkowych. Dońcy otoczyli miasto, husarze

wpadli od Stanisławki i uderzyli na klasztor bernardynów, lecz wierni kozacy ich odparli. Wtedy zapalili domy i przypuścili szturm do zamku. Puszkarz Niemiec razem dał ognia ze wszystkiej armaty, po czym padł trupem. Serbowie biorą armaty i ruszają na miasto. Palą się domy kapitulne i biskupie, katedra, kościół jezuicki, kramy. W kościele jezuickim zgorzał ks. Zrubicki. Lud jednak zdołał się zatyłkami powykradać z miasta.

Tymczasem ujrano poza miastem nadciągający jakoby tłum ludzi, który dońce wzięli za wojsko polskie, opuścili stanowisko i uszli w lasy do Owruca i Narodycz. Nie było to jednak wojsko, tylko Burzyński z tłumem szlachty nadciągał na sejmik, ujrzawszy jednak zniszczenie miasta, zawrócił do domu. Niedobitki związkowych udały się do Baru.

Miasto zostało zupełnie spalone, tak że pozostały puste place. Po tym zniszczeniu lud rozbiegły zaczął wracać do swoich popielisk, ale zaledwie rozpoczął się krzątać około odbudowy swych domów, zaczął się szereg w tymże jeszcze roku głód. Bernardyni, których kościół nie zgorzał, karmili głodnych. Na domiar nieszczęścia wybuchła jeszcze po całym kraju morowa zaraza, która zdziesiątkowała ludność. Po tej zarazie Żytomierz przez lat kilkanaście dźwigał się z ruiny i odbudowywał. W roku 1772 odbyły się tu już sejmiki [1].

\* \* \*

Kościół ten w 1773 r. zamknięty, klasztor obrócony na szkołę, później umieszczono tu jurysdykcje, w końcu przerobiono na więzienie, istniejące i obecnie. Kościół w 1841 r. rozebrano i z cegieł zbudowano kamieniec przy ul. Cudnowskiej [1].

Po rozwiązaniu zakonu i wytworzeniu Komisji Edukacyjnej [Komisji Edukacji Narodowej, powołanej w 1773 roku; pierwszej w Europie władzy oświatowej o charakterze dzisiejszego ministerstwa oświaty publicznej] zarząd i plany nauki przechodzą do rąk rzeczonoj Komisji, która z dotychczasowej szkoły duchownej wytwarza świecką, „wydziałową”, dla województw kijowskiego i braclawskiego, szybko rozwijającą się i zapełniającą się tłumnie uczniami. Liczba uczących się po dziesięcioletnim istnieniu tej szkoły „wydziałowej” – odpowiadającej dzisiejszym gimnazjom, a składającej się z sześciu klas – w 1784 roku 600 uczniów wynosiła. Ilość to znacznie większa, niż była liczba uczących się po siedemdziesięciu latach w gimnazjum żytomierskim, w połowie wieku XIX. [...]



Szkoły żytomierskie w epoce po przekształceniu ich, po roku 1831, wydały kilkunastu ludzi, którzy w życiu naszego społeczeństwa odznaczali się duchem obywatelskim. Takimi wśród innych byli: Apollo Korzeniowski [(1820-1869), pisarz, poeta, autor dramatów; ojciec Josepha Conrada], Zygmunt Sierakowski [(1827-1863), generał, działacz niepodległościowy, dowódca powstania styczniowego na Żmudzi] (stracony w roku 1863), Leonard Sowiński [(1831-1887), poeta, historyk literatury i tłumacz, działacz polityczny], Władysław Kozłowski [(1832-1899), filozof, psycholog, powstaniec styczniowy], Władysław Kamiński, dr med. August Kwaśnicki, dr Jan Kwaśnicki, dr Wacław Lasocki, Adolf Kruczkowski, dr Adolf Trachtenberg... Ścisłość każe zastrzec, że duch obywatelski czy też wiedza szersza lub rozwój uzdolnień owych uczniów gimnazjum żytomierskiego rozwinęły się przeważnie nie pod wpływem rzeczonyj szkoły, lecz gniazda rodzinne tych ludzi, tradycje narodowe, wówczas jeszcze – w połowie XIX wieku – niemilknące, główną tu rolę odegrały, nie zaś szkoła, już wtedy obca.

Mury pojezuickie, gdzie stała „szkoła wydziałowa” i tam istniała dość długo, przeszły z czasem do xx. misjonarzy [Zgromadzenie Księżych Misjonarzy, stowarzyszenie życia apostołskiego założone 17 kwietnia 1625 roku w Paryżu przez św. Wincentego a Paulo; jego celem jest naśladowanie Chrystusa głoszącego Ewangelię ubogim]. Jeszcze za dni rządów biskupa Sołtyka, w roku 1757, chciano mieć księży misjonarzy w Żytomierzu dla kierowania seminarium duchownym, które założył Sołtyk, wchodząc w układy z misjonarzami w Płockiem; myśl tę oczywiście bardzo popierał Józef Andrzej Załuski, mąż również uczony, jak i gorliwy pasterz, ale jego wywiezienie do Kaługi, gdzie półtora [pięć i pół] roku strawił, opóźniło ich przybycie do diecezji kijowskiej. Dopiero w roku 1783 przybywają misjonarze do Żytomierza, obejmują mury pojezuickie i zarząd seminarium, w nim uczą i nim kierują aż do roku 1842. Byli oni tam pospolicie nieliczni; zaledwie czterech bywało: trzech uczyło, czwarty kapelanował w zgromadzeniu szarytek ... [2]

Redakcja

## Przypisy

1. Józef Krzywicki, „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”

2. Marian Dubiecki, „Na Kresach i za Kresami – wspomnienia i szkice”, Kijów 1914

# Józef Brandt. Zmiażdżony przez Sienkiewicza

## 180. rocznica urodzin wielkiego malarza. Cztery wątki biografii

Pamięci Mirosława Rowickiego (1953-2020)  
Redaktora naczelnego „Kurier Galicyjskiego”

# W

korowodzie XIX-wiecznych twórców kultury prowadzących dialog z czasoprzestrzenią Kresów węzłowe miejsce zajmuje Józef Brandt (1841-1915) – mistrz malarstwa batalistycznego oraz rodzajowego: w obu przypadkach w dużej mierze osadzonego tematycznie w realiach południowo-wschodnich rubieży dawnej Rzeczypospolitej. Przez długie lata z różnych względów w dużej mierze zapomniany, ostatnimi laty wrócił tryumfalnie do ścisłego kanonu sztuki polskiej.

### RODOWÓD ARTYSTYCZNY

Dobry obyczaj nakazuje zapytać o środowisko i okoliczności, w jakich wzrastała postać będąca przedmiotem historycznego namysłu – dzięki temu można pokusić się o odpowiedź na pytanie, czy dokonany przez nią wybór życiowej drogi stanowił naturalne dopełnienie szeregu wydarzeń, czy też był dziełem ślepego przypadku, stanowiącego jedną z sił kształtujących historię. Wydaje się, że w przypadku bohatera niniejszego eseju należałoby udzielić odpowiedzi pośredniej. Ale po kolei...

Józef Brandt przyszedł na świat w roku 1841, w prowincjonalnym, niebędącym nawet siedzibą powiatu Szचेbrzeszynie, gdzie jego ojciec August, potomek niemieckich przybyszów, pracował jako lekarz. W Kongresówce trwała wówczas tzw. „noc paskiewiczowska”, którą opisać można jako politykę ograniczania autonomii i swobód przyznanych Polakom na kongresie wiedeńskim, realizowaną w warunkach stanu wojennego. O tym, jak ponure były to czasy najlepiej świadczy fakt ubóstwa polskiego życia kulturalnego: niemal wszystkie wybijające się jednostki udawały się na emigrację do krajów zachodniej Europy, bądź emigrowały wewnętrznie. Luki tej nie mogły zapełnić utwory Hoffmannowej, czy Lenartowicza, zmuszonego notabene do opuszczenia kraju po Wiośnie Ludów. Serce polskiej kultury biło wówczas gdzie indziej, przede wszystkim w Paryżu.

W postaci Brandta nie odnajdziemy drugiego Mozarta, tworzącego swe pierwsze utwory w wieku pięciu lat – to nie ten przypadek. Jednakowoż pierwsze zetknięcie z malarstwem nastąpiło stosunkowo wcześnie. Matka Józefa, Krystyna z domu Lessel, córka i wnuczka znanych warszawskich architektów, amatorko zajmowała się rysownictwem, co nie mogło ująć uwagi chłopca. Mimo to jej zamiłowania, niestanowiące ani źródła dochodu, ani – jak się wydaje – życiowej pasji, nie mogą posłużyć za argument przesądzający. Większą rolę odegrała – już podczas nauki w warszawskim Instytucie Szlacheckim – znajomość z Juliuszem Kossakiem. Na marginesie warto zaznaczyć, iż szeroko rozpowszechniona informacja, jakby do ich pierwszego spotkania doszło dopiero w Paryżu jest najzupełniej błędna. 17 listopada 1857 – podkreślmy: przed pierwszą podróżą do stolicy Francji – Józef Brandt pisał w liście do matki:

„Niedziela cały ranek przesiaduję u nich [Kossaków], przypatrując się, jak maluje lub wspólnie malując i tak jakoś przyzwyczailiśmy się do siebie, że nieco mi smutno będzie po jego wyjeździe, [...] jakoś mnie i oni [Kossakowie] dość polubili, uważając więcej jak przyjaciela niż nieznanego”.

Wywołany przed chwilą „paryski” okres w życiorysie Brandta (1858-59) przyniósł jedną dotkliwą porażkę i trzy nieoczywiste z początku sukcesy. Wszystkie tamte zdarzenia razem można uznać za punkt zwrotny w jego karierze. Zrazu nie został przyjęty na studia w École Centrale des Arts et Manufactures – gdyby ją ukończył a następnie wybrał pracę w zawodzie, zostałby, mówiąc językiem współczesnym, kimś na skrzyżowaniu inżyniera i specjalisty w zakresie wzornictwa przemysłowego. Ta droga została przed nim zamknięta, otworzyła się natomiast inna, związana już bezpośrednio z malarstwem w rozumieniu artystycznym. Przysłużyło się temu odnowienie kontaktu z Juliuszem Kossakiem, nawiązanie znajomości z doskonałym polskim portrecistą



**Dominik Szczęsny-Kostanecki,**

publicysta

Henrykiem Rodakowskim a także możliwość współpracy z akademikiem-orientalistą Léonem Cognietem, być może mniej cenionym, niż Jean-Léon Gérôme, wciąż jednak pozostającym w kręgu zainteresowania najbardziej wymagających odbiorców sztuki.

Jeśli, w kategoriach ogólnych, przypisać wszystkim trzem „opiekunom” młodego Brandta najistotniejsze dla nich cechy malarstwa, a więc: Rodakowskiemu – umiejętność portretowania, Cognietowi – akademicki orientalizm, najstarszemu Kossakowi – niezrównany geniusz w przedstawianiu koni, realizowany nierzadko w poetyce kresowej, zwłaszcza ukraińskiej, a następnie połączyć to z niekwestionowaną miłością ojczyzny – o czym za chwilę – a pierwszą także podróżą odbytą wraz z Kossakiem na Ruś Czerwoną (być może i dalej?) otrzymamy piorunującą mieszankę, która sprawiła, że, korzystając po trochu z dorobku każdego ze swych mistrzów i własnych doświadczeń, Józef Brandt w zasadzie nie mógł nie zainteresować się Kresami południowo-wschodnimi.

### CZY BRANDT BYŁ ORIENTALISTĄ?

W literaturze przedmiotu często można spotkać się ze stwierdzeniem, z którego wynika, iż Brandt „wielkim polskim orientalistą był”. Mam z tym stwierdzeniem przynajmniej dwa problemy. Po pierwsze odnajduję w nim przemożną chęć udowodnienia, że polska sztuka wieku XIX wieku pozostawała w ścisłym związku z trendami ogólnoeuropejskimi. Do pewnego stopnia jest to prawdą: główne nurty malarstwa europejskiego pojawiły się nad Wisłą – nad Niemnem i Dnieprem też – ale z pewnym opóźnieniem. Jednak to nie czasowa dylatacja stanowi o nieprzystawalności tego terminu do malarstwa Brandta. Jego wspaniałe portretowani – na różne sposoby – Kozacy, jak chociażby na obrazie „Wesele kozackie”, to jednak nie są Beduini, czy Fellachowie dopadnięci pędzlem wspomnianego wyżej Gérôme’a. Wyobrażonych bohaterów dzieli przestrzeń kilkuset kilometrów i co ważniejsze: inna przynależność cywilizacyjna.

To po pierwsze, po drugie: nie możemy zapominać, że o ile francuscy orientaliści, ukazując owe egipskie starożytności, czy muzułmanów pielgrzymujących do Mekki, odwołują się pośrednio do swych zdobywczy, jako naukowcy „odkrywczy” Wschodu, o tyle Brandt, przedstawiając widzowi obraz ukraińskiego pogranicza zagrożonego tatarską napaścią, sięga nie tyle do innego mitu – co oczywiste – ale do innego typu mitologicznej opowieści. Kozacy funkcjonują tu – przy całym swym lokalnym kolorycie – za broniących najdalszych posterunków rycerzy wspólnej sprawy, której na imię cywilizacja wolności. Czy zdążający do Mekki muzułmanie z obrazu Léona Belly’ego mają coś wspólnego z obroną „wspólnego”, francusko-arabskiego dziedzictwa? Rzecz jest co najmniej wątpliwa... Oba podejścia różni zatem zupełnie inny stosunek do opisywanego tematu: Francuzi ukazują nam dziwy świata Wschodu, Brandt opisuje wschodnią rubież Rzeczypospolitej z czułością należną dzielnym – choć bywa, że niesfornym – członkom Wspólnoty.

Co jednak, jeśli uznamy, że Brandt opisuje czas dawno miniony, czas, do którego nijak nie da się powrócić? Wszak II połowa wieku XIX – okres największej aktywności malarza – przypada na okres pełzających,



a następnie rozkwitających etno-nacjonalizmów. Jak wobec tych nowych zjawisk pozycjonował się malarz polskich Kresów?

Zwróćmy uwagę na przemożny fakt, że Józef Brandt jak ognia unika w swej twórczości konfliktów, które mogłyby posłużyć do żyrowania polsko-ukraińskich niesnasek. Wszystkie owe rzezie pod Batohem, czy wycięcia w pień załogi Buszy przez ludzi Czarneckiego w jego malarskich realizacjach nie istnieją. Upatruję w tym swoistego, politycznego geniuszu twórcy – jak gdyby myślał on tymi pięknymi kategoriami, które zaczęły po powstaniu styczniowym powoli zanikać. Jak gdyby chciał zostawić spadkobiercom Rzeczypospolitej polityczny testament, którego pierwsze zdanie brzmiałoby „bądźcie zgodni”. Owo przywiązanie do źródła żywotności dawnej Polski wbrew obowiązującym modom stanowi jeszcze jedną przesłankę, by sądzić, że mimo wschodniego sztafażu, Brandt orientalistą – a więc piewcą odległej egzotyki – ze względów ideowych stać się po prostu nie mógł.

„Orientalizm” stanowił dla artysty ciekawe źródło nieporozumień. Tworząc na co dzień na potrzeby odbiorcy zachodnioeuropejskiego spotykał się z – śmieszoną z naszej perspektywy – opinią, iż jego obrazy nie pozostają w zgodzie z kanonami „wzorcowej” sztuki orientalnej. Oddajmy głos artyście, piszącemu z Monachium w roku 1878 do Wacława Szymanowskiego:

„Przepraszam serdecznie, że osmielałem się obarczać łaskawego Pana moją prośbą, lecz ufny w życzliwość Jego dla mnie postanowiłem odważnie napisać. Niektóre francuskie dzienniki 1-o biorą mnie za Niemca [ze względu na nazwisko – przyp. DSK], a 2-o z Kozaków z Ukrainy robią Arabów i tem samym uważają, że w charakterystyce i typach nie są dostatecznie prawdziwymi. Ponieważ obecnie Szanowny Pan prawie cały świat paryski poznał może by można uprosić kogo, ażeby był tak dobry i następujące sprostowanie umieścić. Że jestem Polakiem, i że obraz mój przedstawia <<Kozaków Ukraińskich z 17 wieku ciągnących na wojnę, a witających step pieśniami bojowymi>> [chodzi najpewniej o obraz „Powitanie stepu”]. Oto jest moja prośba a przy niej najserdeczniejsze ukłony i wyrazy prawdziwego szacunku i poważania”.

O ileż łatwiej byłoby Brandtowi zdobywać uznanie Europy, gdyby tylko delikatnie zmodyfikował swe „orientalne” obrazy, wymieniając Kozaków i Tatarów na Beduinów, Berberów czy Fellachów! Skończyłyby się kłopoty podobne do tych, ukazanych w powyższym liście. On jednak pozostał wierny Ojczyźnie. Żeby lepiej przyswoić kresowe krajobrazy, ponawiał swe wizyty na Ukrainie (1871, 1874, 1884...), na ogół, choć nie zawsze podróżując w towarzystwie Juliusza Kossaka. Za każdym razem starał się nieco zmodyfikować swoją

Sienkiewicz pokonał Brandta. Trafnie (koniunkturalnie?) odczytał kierunek rozwoju idei narodu? Być może uczciwie w tę nową koncepcję wierzył. Jeśli jednak autor Trylogii drukowany był w XX-leciu oraz – co warte osobnej refleksji – w PRL-u w ilościach przemysłowych, to autor Obrony zaścianka popadał w coraz większe zapomnienie.

trasę. Odwiedzał Podole i Pokucie, Bukowinę i ziemię kijowską (być może przejeżdżał przez Żytomierz!). Pięknym, choć nie natychmiastowo zrodzonym owocem tamtej eskapady jest ukończony w 1886 Jarmark w Bałcie na Podolu – przedstawiający, mówiąc współczesnym językiem, negocjacje handlowe między dwoma szlachećmi i Tatarem. Obraz został zbudowany na zasadzie kontrastu. Z barwnością jarmarku kontrastuje stalowe, nieruchome niebo, zamożność herbownych ze skromnym

odzieniem ich kontrahenta, to zaś dodatkowo z pysznymi barwami prezentowanych kobierców... Kto nie widział – niech wyszuka chociażby w Internecie!

## MONACHIUM

Dzięki artystycznej polityce Ludwika II, króla Bawarii (mimo zjednoczenia Niemiec w roku 1871 Wittelsbachowie zachowali tytuł królewski) Monachium stało się drugą obok Paryża stolicą malarstwa europejskiego. W niepewnych czasach poprzedzających wybuch powstania styczniowego Józef Brandt przeprowadził się do grodu nad Iserą, a więc jako relatywnie młody jeszcze, 20-letni człowiek. Uzupełniał studia pod okiem kolejnych malarzy – Franza Adama oraz Theodora Horschelta, korygujących jego wczesne, warsztatowo niedoskonałe jeszcze prace.

W Monachium talent Brandta rozkwitł z całą siłą: to tu powstawały najsłynniejsze z jego dzieł: „Czarniecki pod Koldyngą”, „Bitwa pod Wiedniem”, „Powitanie

stepu”. I właśnie wówczas, pokonując kolejne stopnie artystycznego rzemiosła, artysta wstąpił w związek małżeński z owdowiałą Heleną z Woyciechowskich Pruszkową, która wniosła mu w posagu majątek Orońsko, gdzie, odpoczywając po trudach życia w hałaśliwym mieście, spędzał letnie wakacje.

Z okresu monachijskiego trwającego niemal do końca życia wiąże się z Brandtem dwie zasadnicze opowieści. Pierwsza dotyczy opieki artystycznej, jaką malarz, z czasem coraz obficie honorowany – z początku głównie niemieckimi – odznaczeniami oraz członkostwem w stowarzyszeniach malarskich, sprawował nad innymi polskimi artystami przechodzącymi przez bawarską kuźnię artystów. Zaliczyć do nich trzeba przede wszystkim obu braci Gierymskich (Maksymiliana i Aleksandra), Alfreda Wierusz-Kowalskiego, Józefa Chełmońskiego, Jana Rosena oraz jednego z najpopularniejszych i najbardziej płodnych malarzy przełomu wieków – Wojciecha Kossaka, wobec którego Brandt spłacał po części dług wdzięczności zaciągnięty w młodości u Juliusza. Wszystkich tych twórców, mimo podejmowania przez nich różnorodnej tematyki (znajdziemy w ich dorobku dzieła zarówno historyczne, rodzajowe, jak i portretowe) łączy jeden wspólny mianownik w postaci akademizmu. Termin ten został nacechowany cokolwiek pejoratywnie w latach 70. i 80. XIX wieku wraz z ofensywą impresjonizmu. Nie wchodząc zbyt głęboko w spór między tymi szkołami, czy wręcz artystycznymi filozofiami, stwierdzić należy, że to akademizm wraz z odwołaniem do, mówiąc w największym skrócie, toposów klasycznej kultury w coraz mniejszym stopniu rozumiałych dla arystokracji pieniądza, czyli niedouczonej humanistycznie burżuazji – stanowił w tym zderzeniu sztukę wyższą. Dlatego też Brandtowi – słusznie zwanemu przywódcą polskiej szkoły w Monachium – należy poczytywać za zasługę, że w tym właśnie duchu „prowadził” kolejne pokolenie polskich artystów pędzla.

Druga popularna monachijska opowieść wiąże się ze słynnym atelier malarza, w którym zgromadził istny arsenał przedmiotów potrzebnych do „malowania z natury”. Znawczyni tematu, Agnieszka Bagińska opisywała wygląd pracowni Brandta w roku 1876 w następujący sposób:

„Dominującymi elementami kompozycji są kurtyny, na których wyeksponowano obiekty z jego kolekcji: zbroję husarską, kirysy, kołczugi, kołpaki, misiurki, cztery rzędy końskie i broń białą. Centralną część tej konstrukcji wieńczy obraz Matki Boskiej otoczony jataganami, grotami włócznie i moździerzami. Na dole leżą instrumenty muzyczne, elementy kostiumów i ryszunka oraz pistolety...”

Tak pięknie zakomponowane atelier przestawało więc być li-tylko miejscem pracy, warsztatem, skąd może i wychodzą na świat piękne dzieła, ale które samo w sobie nie stanowi podniety estetycznej. Bez cienia przesady można powiedzieć, że pracownia Brandta stała się autonomicznym dziełem sztuki – o czym można było się naocznie przekonać podziwiając zrekonstruowane atelier na wystawie zorganizowanej w 2018 w Muzeum Narodowym w Warszawie. Pełniła również rolę wypożyczalnią- rekwizytorium, chętnie odwiedzanego – i czynnie wykorzystywanego! – przez młodszych kolegów Brandta, nieodmiennie traktowanych przezeń z pozbawioną krzty zazdrości serdecznością, na jaką zdobyć potrafią się tylko ludzie wielcy.





## ZMIAŹDŻONY PRZEZ SIENKIEWICZA?

Skoro o wielkości mowa, zatrzymajmy się na chwilę przy wpływie, jaki ów tytan malarstwa wywarł na tytana literatury – Henryka Sienkiewicza. Autor Janka Muzykanta nie krył swej fascynacji twórczością Monachijczyka. Źródła historyczne zaświadcniają, że laureat literackiej nagrody Nobla za rok 1905 kilkakrotnie i w pełnych najwyższego uznania słowach podkreślał, że niektóre z kresowo-ukraińskich dzieł Brandta przyczyniły się do powstania *Ogniem i Mieczem*. Żeby lepiej zrozumieć myśl pisarza, oddajmy mu niniejszym głosem:

„[Brandt] nie ma sobie równego w odtwarzaniu stepów, koni, zdziczałych dusz stepowych i krwawych scen, które się rozgrywały dawniej na onych pobojujowiskach”.

Zdziczałe dusze stepowe – jak rozumiemy: kozackie, wszak Kozaków u Brandta najwięcej... Czuł tu pasującą woń szowinizmu, która – powiedzmy to wreszcie otwarcie – snuje się na kartach Trylogii, zwłaszcza w jej pierwszym tomie. Zwróćmy uwagę: z obdarzonego lokalnym kolorytem obrońcy granic przed Islamem, później również i moskiewskim prawosławiem, staje się Kozak „zdziczałą duszą”, ot, taką zdolną do grabieży i Bóg wie, czego jeszcze.

Tak, Sienkiewicza fascynowało malarstwo Brandta. Tyle tylko, że w sensie ideowym nic z niego nie rozumiał, koncentrując się wyłącznie na skądinąd przepięknie wymalowanym kresowym sztafażu. Niestety, Polacy i inne narody europejskie (nie wyłączając Ukraińców) na przestrzeni ostatniego 30-lecia XIX wieku, bądź na początku wieku XX weszły w fazę samookreślenia w kategoriach, które należy uznać za bardziej plemiennie, niż uprzednio: wspólnej mowy i wspólnej krwi. Wszelka opowieść o narodzie politycznym, na plan dalszy odsuwającej spór o to, czy ikonostas jest koniecznym elemen-

tem świątyni, oraz czy język polski pochodzi od ukraińskiego, czy też ukraiński od polskiego – powtórzmy: wszelka tego typu opowieść przestała mieć znaczenie. Wzrost znaczenia burżuazji rozszerzył naród – pierwotnie twór par excellence stanowy – o nią samą, zbliżając go jednocześnie do mas chłopskich, które najpóźniej, ale również wyczuły możliwość zdobycia społecznego prestiżu. W tak skonstruowanym społeczeństwie jedyną ideą scalającą całość był nacjonalizm rozumiany nie jako zestaw wartości (te były dla każdego stanu inne), ale jako wspólnotę opartą na wartości rozumiałej i przystępnej dla całego społeczeństwa – a więc na języku właśnie. W tej opowieści – wyznawanej niestety przez arcyministra polskiej prozy Sienkiewicza – Kozak stał się OBCYM. Z towarzysza broni spod Chocimia przedzierzgnął się w awanturnika przykładającego rękę do uśmiercenia Rzeczypospolitej. Końcowe słowa „Ogniem i mieczem” o „krwi pobratymczej”, niepasujące zresztą do wymowy całości, nie są w stanie niczego w tym obrazie zmienić.

Owszem, lata później wielu AK-owców przyjmie pseudonim „Bohun”. Należy jednak przypuszczać, że za tymi decyzjami stała chęć podkreślenia buntowniczego rysu własnego charakteru, nie zaś realna miłość do świata I Rzeczypospolitej.

Sienkiewicz pokonał Brandta. Trafnie (koniunkturalnie?) odczytał kierunek rozwoju idei narodu? Być może uczciwie w tę nową koncepcję wierzył. Jeśli jednak autor Trylogii drukowany był w XX-leciu oraz – co warte osobnej refleksji – w PRL-u w ilościach przemysłowych, to autor Obrony zaścianka popadał w coraz większe zapomnienie. Ze swą koncepcją Kresów jako miejscem spotkania przegrał ówczesną walkę o rząd dusz. Na dobre – i miejmy nadzieję: na stałe – powrócił wraz z 100. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości.

## ZAPOŻYCZY

Obraz Józefa Brandta, wybitnego przedstawiciela nurtu batalistycznego w malarstwie drugiej połowy XIX w., w latach 70. i 80. przywódca polskiej kolonii artystycznej w Monachium. Urodzony w 1841 w Szczepieszynie, zmarł w 1915 w Radomiu.

# Rosyjski ślad w twórczości Henryka Sienkiewicza

**K**iedy w druku ukazała się powieść „Ogniem i mieczem” (pierwotny tytuł „Wilcze gniazdo”), Sienkiewicz natychmiast został publicznie oskarżony przez znanych pisarzy i krytyków o rujnację wieloletniej tradycji „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej, o zagubienia mitu Arkadii na Wschodzie. Po publikacji trylogii dostał od rosyjskiego pana z Petersburgu wynagrodzenia w wysokości osiem tysięcy rubli (to bardzo dużo pieniędzy), a dzieło Sienkiewicza nawet i dziś pomaga Moskwie formować kształtować negatywny obraz Ukraińców w umysłach Polaków.

Nowe opracowanie motywów kozackich powstały w okresie pozytywizmu. Do jego odrodzenia przyczynił się Henryk Sienkiewicz powieścią historyczną „Ogniem i mieczem”. Od 2 maja 1883 do 1 lutego 1884 roku, na łamach krakowskiego Czasu i warszawskiego Słowa ukazała się powieść, której pierwotny tytuł brzmiał – „Wilcze gniazdo”. Mimo oparcia się na źródłach historycznych i stworzeniu pozorów relacji historycznej, Sienkiewicz też tworzył swoisty mit Ukrainy zgodny z ideą całej trylogii – „ku pokrzepieniu serc”.

Obraz Ukrainy u Sienkiewicza wywarł silniejszy wpływ, niż setki tomów rozpraw naukowych. O wytworzonym obrazie ziemi ukraińskiej i stosunków polsko-ukraińskich dyskusja nie kończy się i po dzień dzisiejszy. Autor wykorzystał główne motywy „szkoły ukraińskiej”: orientalizm w kontekście historyzmu, przyroda i bezmiar dzikich pól i przestrzeni stepowej, problem kozacki i życie szlachty. Z drugiej strony obdarzył kozaków takimi cechami, jak okrucieństwo, dzikość, szaleństwo, pijarstwo. Sienkiewicz nie widzi przyczyn konfliktów na Kresach jako społecznych i religijnych, nie nadaje im charakteru narodowego, traktuje ich jako konflikt lokalny między kozakami i królewskimi kresowymi. Powstanie Chmielnickiego traktowane jest przez pisarza jako wojna domowa, a Ukraina, jak część Polski, dla której „król – ojciec, a Rzeczpospolita – matka”. W finale utworu obraz Ukrainy prawie jest zakończony. Ukraina występuje jako oderwana politycznie i ideowo od Rzeczpospolitej formacja kozacko-chłopska, nie jest godna ani podziwu ani zachwyty (dotyczy to również kozaków). Twórca mówi o spustoszeniu Ukrainy i Rzeczpospolitej, winą za to obarcza kozaków. Fabuła tworzy negatywny wizerunek Ukrainy jako miejsca będącego i w przyszłości zarzewiem konfliktów. Widać to w symbolicznym epilogu: piękna Helena (Rzeczpospolita) rozchodzą się z okropnym Bohunem (kozacką Ukrainą), tak rozchodzą



**Jan Matkowski,**  
publicysta



się drogi obu narodów. Autor kończy powieść słowami „nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą”, podkreślając dalszy zawiły bieg historii.

Po Sienkiewiczu zainteresowanie historią Ukrainy słabnie. Pisarze zaczynają zwracać większą uwagę na ukraińską kulturę, folklor, wzajemne wpływy. Jednak generalnie w literaturze dominują stereotypy związane z Ukrainą i obrazy, które utrwaliły się wcześniej: stereotyp „Rusin-buntownik-Kozak”, „Ukraina-step-piękną przyrodą”, „Ukraina-matka”, „Ukraina-utracony raj”. Opiewając Ukrainę tworzone hymny (literackie i malarskie) na cześć człowieka „naturalnego”, żyjącego w zgodzie z naturą, człowieka nieskażonego przez cywilizację, wyrażano tęsknotę za życiem bezpośrednim i żywiołowym.

O inspiracjach Sienkiewicza nie wiele wiadomo. Opisu-  
jąc wydarzenia z okresu Chmielnickiego, żadnym słowem nie wspomina o Moskalach. A od 1654 roku cała ich armia jest obecna na Ukrainie i bierze aktywny udział w walkach polsko-ukraińskich. Kiedy w druku ukazało się „Wilcze Gniazdo” (a później „Ogniem i mieczem”), to natychmiast został

publicznie oskarżony przez znanych pisarzy i krytyków o rujnację wieloletniej tradycji „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej, o zagubienie mitu Arkadii na Wschodzie. Po publikacji trylogii dostał od rosyjskiego pana z Petersburgu wynagrodzenia w wysokości osiem tysięcy rubli (bardzo dużo), a dzieło Sienkiewicza nawet i dziś pomaga Moskwie formować ukraińsko-polskie stosunki. Sytuacja z Sienkiewiczem nie była wynalazkiem dla ideologów rosyjskich. Wcześniej metoda była aprobowana z pomocą powieści „Taras Bulba”, która służyła dla poszerzenia antypolskości wśród mas oraz ośmieszała Kozaków. Gogol również dostał honoraria za „Bulbę”, a zanim utwór pojawił się w druku, kilka lat był szlifowany przez cenzurę i recenzentów. W 1943 roku we Lwowie garstka ukraińskich nacjonalistów osądziła zarówno osobę Gogola i jego „Tarasa Bulbę”. Jednak utwór był popularny wśród Ukraińców i zbiera swoje żniwa do dziś. Zresztą jak i „Ogniem i mieczem”. Choć, należy powiedzieć, w ekranizacji Jerzy Hofmana „ostre kąty” Sienkiewicza zostały dość dobrze zglądzone.

21.05.15 r.



Czy ostatni król Rzeczypospolitej został otruty?

# Tajemnicza śmierć Stanisława Augusta

11

lutego 1798 roku król Stanisław August Poniatowski po wypiciu porannej filiżanki bulionu nagle zasłabł po czym stracił przytomność. Wezwany medyk nie był już w stanie pomóc ostatniemu władcy Rzeczypospolitej, który do chwili zgonu nie odzyskał przytomności. Polski król zmarł następnego dnia o ósmej nad ranem. Po nagłej śmierci Poniatowskiego Petersburg obiegła plotka o prawdopodobieństwie otrucia króla. Plotka nie była bezpodstawna zważywszy na fakt o którym mieszkańcy Petersburga nie mogli wiedzieć. Otóż polski król zapowiedział swojemu dworowi rychłą odmianę losu i powrót do Warszawy leżącej wtedy w zaborze pruskim. Nikt z dworu Stanisława Augusta nie musiał się zastanawiać komu mogło zależeć na pozbyciu się polskiego władcy...

1 lutego 1798 roku Stanisław August Poniatowski, przebywający na wygnaniu w carskiej Rosji, w Petersburgu, wkrótce po spotkaniu z carem Pawłem I zapowiedział swojemu dworowi rychły powrót do Warszawy i odbudowę utraconej polskiej państwowości. Król był wyraźnie podekscytowany i tryskał energią, po niedawnej wizycie imperatora, w Pałacu Marmurowym – swojej petersburskiej siedzibie. Otoczenie Poniatowskiego, przyzwyczajone od dłuższego czasu do posępnych nastrojów monarchy, z pewnością było mocno zdziwione takimi wieściami, co więcej, niecodzienne zachowanie monarchy zdawało się potwierdzać ich prawdziwość. Dworzanie Poniatowskiego musieli się zastanawiać o czym król rozmawiał z władcą Rosji i dlaczego, ta ponad dwugodzinna rozmowa odbywała się przy zamkniętych drzwiach. Jakie tematy poruszali dwaj władcy? Tego, zwłaszcza w świetle późniejszych wydarzeń, możemy się jedynie domyślać...

W Petresburgu przebywał wtedy poseł pruski, markiz Girolamo Lucchesini. Był on doskonale poinformowany o nastrojach panujących na carskim dworze. Wiedział jaką estymą Paweł I darzy polskiego monarchę. Lucchecini miał też kilku donosicieli na dworze Poniatowskiego. Wśród nich miał być też niestety sekretarz naszego monarchy, Friese. To właśnie Friese miał poinformować pruskiego ambasadora o tajemniczej rozmowie cara z Poniatowskim i, o zgrozo, o szczerej radości polskiego króla po serdecznym pożegnaniu z Pawłem I. Czy król Prus, Fryderyk I Wielki dowiedział się o spotkaniu Pawła I z Poniatowskim? Z pewnością tak...

11 lutego 1798 roku Poniatowski wcześniej rano wypił zwyczajową filiżankę bulionu. Nie minęło wiele czasu, gdy król podczas porannego czytania poczty poczuł się źle. Wkrótce monarcha nieoczekiwanie zasłabł.

Pośpiesznie wezwany medyk nie był jednak w stanie pomóc Stanisławowi Augustowi. Wkrótce goniec

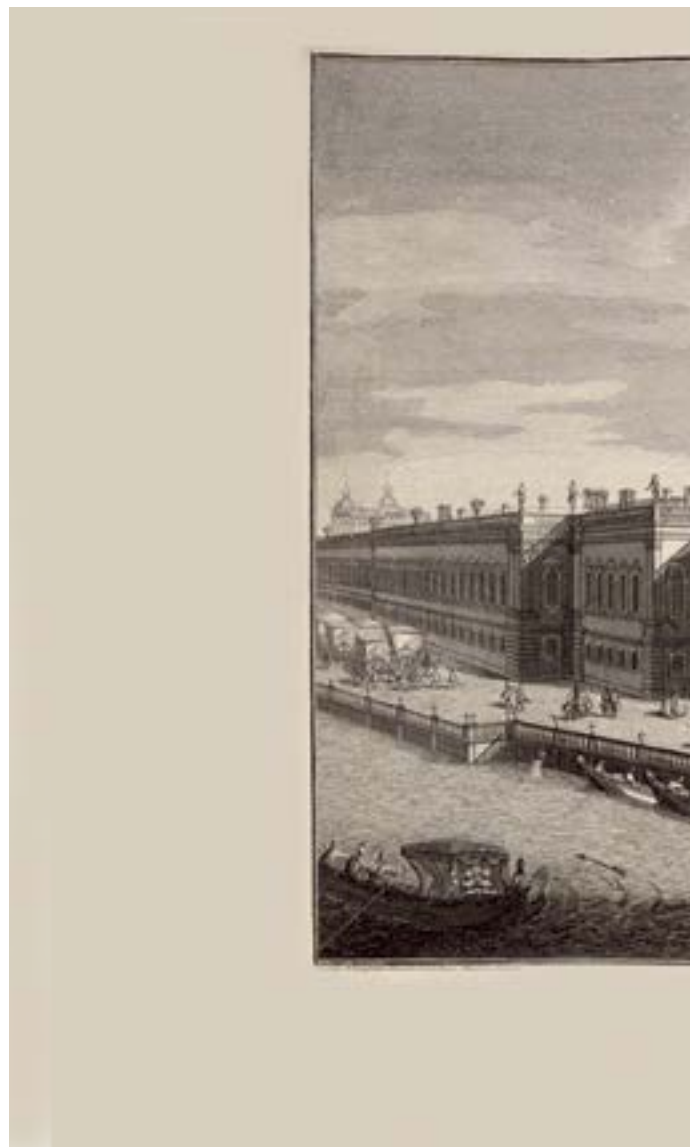
popędził na dwór cara Pawła, który niezwłocznie przybył do Pałacu Marmurowego wraz z synami: Aleksandrem i Konstantym.

Władcy Rosji nie było już jednak dane zamienić z Poniatowskim nawet słowa, gdyż król nadal był nieprzytomny. Następnego dnia, 12 lutego 1798 roku, o godzinie 8 rano ostatni władca Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Stanisław August Poniatowski, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Lekarz stwierdził wylew



**Jarosław Mańka,**

dziennikarz,  
scenarzysta i  
reżyser



krwi do mózgu, ale już wtedy dla wielu okoliczności śmierci Poniatowskiego były mocno podejrzane.

Pogrzeb, jaki na rozkaz Pawła I, wyprawiono polskiemu królowi, 5 marca 1798 roku, był na miarę...rosyjskich carów. Kondukt żałobny otwierali heroldowie niosący herby... (sic!) Polski i Litwy, czyli składowych państwa, które w 1795 roku zostało wymazane z mapy Europy! Jeden z heroldów dzierżył też królewską łaskę z orłem białym. Następnie na czele oddziału gwardzistów jechał sam car Wszechrosji, z obnażoną szpadą opuszczoną na znak żałoby. Królewskiej trumnie, ustawionej na katafalku ozdobionym królewską koroną, towarzyszyli najwyżsi dostojnicy carskiego dworu, nie wyłączając carskich ministrów. Na całej trasie orszaku pogrzebowego- od Pałacu Marmurowego aż po kościół św. Katarzyny car nakazał ustawić szpaler gwardzistów. W uroczystościach wzięło udział, bagatela, 12 tys żołnierzy! W kościele św. Katarzyny, która była jedyną katolicką świątynią w Petersburgu, odprawiona została uroczysta msza, po czym trumnę złożono w kościelnej niszy, którą zamurowano.

Na rozkaz cara na nagrobku wyryto sentencję rozpoczynającą się od słów:

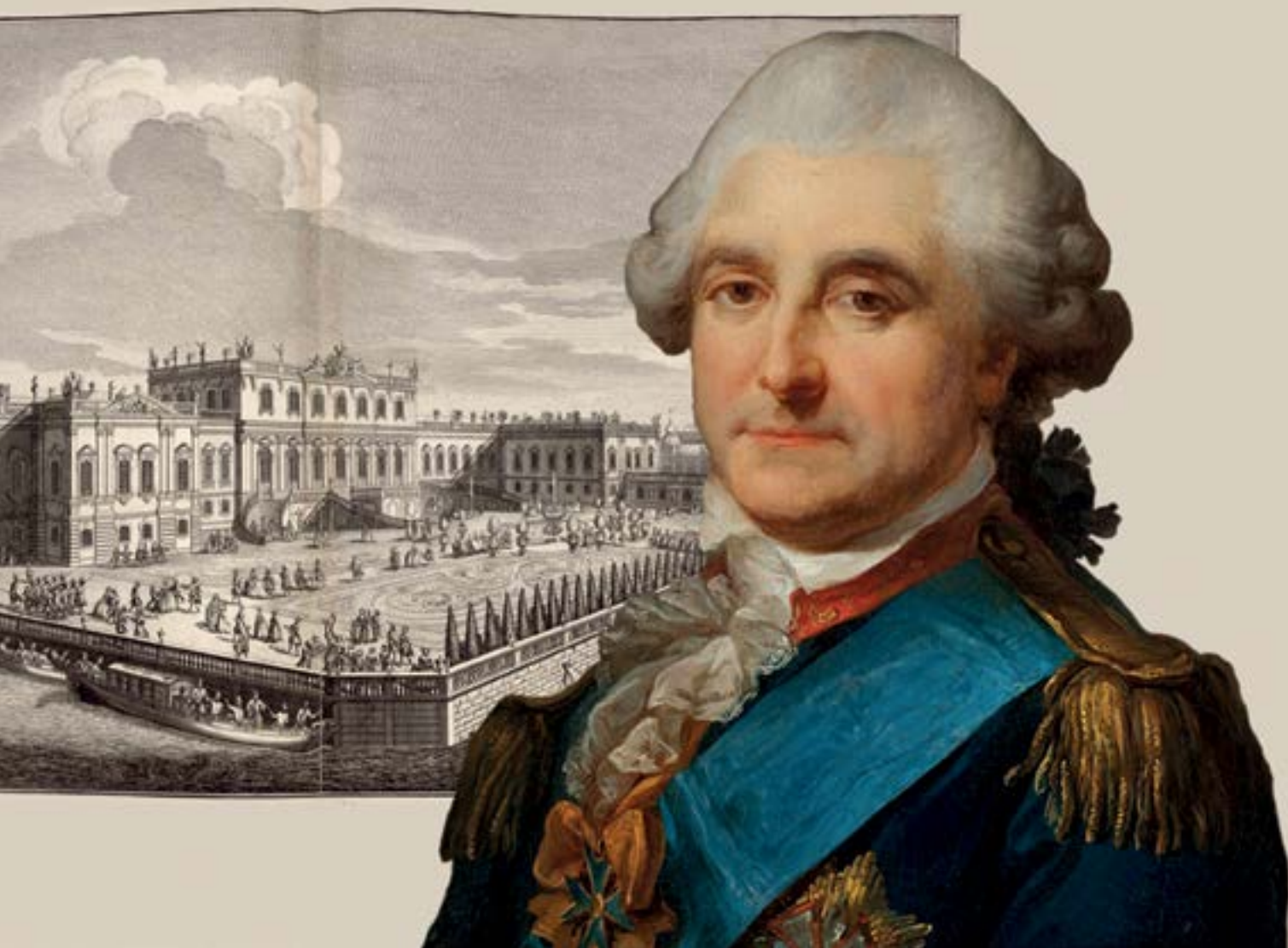
„Stanisław II August / Król Polski, Wielki Książę Litewski / wymowny przykład zmienności doli!”

Mieszkańcy Petersburga, którzy tłumnie uczestniczyli w tej smutnej uroczystości, z pewnością nie mogli się nadziwić dlaczego Paweł I, żegna polskiego monarchę ni-

czym rosyjskiego cara? Okoliczności śmierci Poniatowskiego, niezwykle uroczysty pogrzeb, wszystkie te wydarzenia przynosiły na myśl wiele pytań.

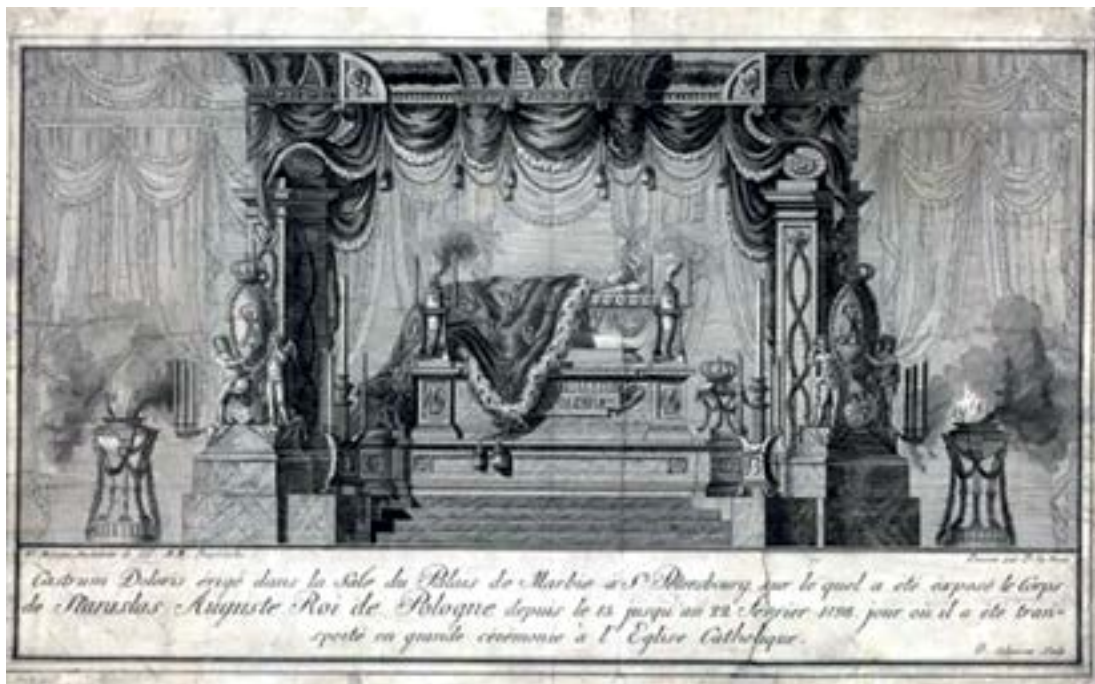
Car Paweł I żegnał niezwykle uroczysto władcę nieistniejącego państwa, które w głównej mierze unicestwione zostało z inicjatywy jego matki, carycy Katarzyny II. Sam Paweł I niespełna rok przed pogrzebem Poniatowskiego, w styczniu 1797 roku „przy pieczętował los Rzeczypospolitej podpisując traktat trzech czarnych orłów- Rosji, Prus i Austrii. Traktat ten przecież zobowiązywał sygnatariuszy do wymazania z historii Europy nawet imienia Polski! Tymczasem przed trumną Poniatowskiego heroldowie nieśli białego orła i litewską pogoni... .

Aby odpowiedzieć na te pytania i zrozumieć motywy postępowania ówczesnie panujących, musimy przemieścić się w czasie do początków panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ten urodzony w 1732 roku w Wołczynie (obecnie Białoruś) monarcha, jako Stanisław Antoni Poniatowski herbu Ciołek, już z racji więzów krwi, predystynowany był do ważnych funkcji w Rzeczypospolitej. „Familia” Czartoryskich dbała o swoje interesy w oparciu o carską Rosję i to pod parasolem Rosji zdobywała ona w Rzeczypospolitej coraz to większe wpływy, dbając przede wszystkim o interesy „swoich”. Rodzice Stasia: Stanisław Poniatowski (kasztelan krakowski) i Konstancja z Czartoryskich, przykładali wielką wagę do wykształcenia i ogłady niezwykle słabowitego syna. Geneza późniejszego



**CASTRUM DOLORIS  
KRÓLA STANISŁAWA  
AUGUSTA  
PONIATOWSKIEGO W  
PETERSBURGU**

Ivan Ivanovič Kolpakov wg  
rys. Josepha Lapeine'a, 1798,  
miedziory



postępowania Poniatowskiego niewątpliwie tkwiła w jego podróży do Petersburga, gdzie trafił jako prywatny sekretarz brytyjskiego ambasadora, Charlesa Hanbury Williamsa w połowie 1755 r. . . .

Przystojny, inteligentny i żądny wrażeń Poniatowski zwrócił uwagę urodziwej i ocytanej księżniczki rodem ze Szczecina. Wkrótce młodzi zapalali do siebie uczuciem. Niebezpieczny romans rozwijał się w najlepsze rozpalając uczucia przyszłego króla, tym bardziej, że jak sam podkreślał, była to jego pierwsza kobieta. Sen z powiek zakochanemu Poniatowskiemu z pewnością spędzał fakt, iż piękna księżniczka była mężatką, na dodatek jej mężem był . . . wielki książę Piotr, przyszły car Rosji. Williams chcąc uchronić Stanisława, odesłał go do Polski w połowie 1756 r. Poniatowski nie zamierzał jednak przerywać romansu, gdyż wrócił do Petersburga chroniony immunitetem dyplomatycznym jako poseł saski.

Owocem romansu Stanisława Antoniego Poniatowskiego i Katarzyny była córka Anna Piotrowna. Fakt ten na petersburskim dworze nie stanowił większej tajemnicy, tym bardziej, że na igraszkach z polskim arystokratą nakrył swoją żonę car Wszechrosji – Piotr III! Wtedy przed gniewem zazdrosnego męża Katarzyny uratował Stanisława przebywający w Petersburgu Franciszek Ksawery Branicki.

Niestety dziecko Katarzyny i Poniatowskiego nie przeżyło drugiego roku życia. Dla zakochanego Stasia był to niewątpliwie cios, Poniatowski z pewnością był w Katarzynie bardzo zakochany, a Katarzyna? . . . Wkrótce udowodni, że najważniejsze dla niej zawsze będą interesy Carskiej Rosji.

Jeszcze w 1762 roku, przy pomocy carskich gwardzistów, (których przysłała caryca potrafiła przeciągnąć na swoją stronę), Katarzyna przeprowadziła bezkrwawy zamach stanu doprowadzając do uwięzienia własnego męża. Sama natychmiast ogłosiła się imperatorem Wszechrosji. Żyjący mąż w więzieniu, który na dodatek jest carem, z pewnością nie dawał spokoju Katarzynie toteż nie dziwi zbyttno fakt, iż wkrótce Piotr III zmarł na „atak kolki hemoroidalnej”.

Póki co Katarzyna już w 1762 roku pokazała, że będzie władczynią bezwzględna dążącą po trupach do celu. Jeszcze w 1762 roku caryca pisała do Poniatowskiego, iż wysyła do Warszawy swojego posła Keyserlinga,

po to, aby pomógł uczynić go królem, po śmierci panującego Augusta III Sasa. Poniatowski zaślepiony miłością pisał listy w których deklarował gorące uczucie i chęć powrotu do Petersburga. Na to jednak nie zgodziła się już caryca. Poniatowski miał realizować jej plan. Jak wiemy, Katarzyna słowa dotrzymała, i pod rosyjskimi bagnetami Stanisław Antonii Poniatowski wybrany został na króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów w roku 1764, stając się, jak historia pokaże, ostatnim królem mocarstwowego niegdyś państwa.

Nie czas na opisywanie w tym miejscu rządów Stanisława Poniatowskiego, tym bardziej na jego ocenę. Warto jednak prześledzić „drogę” Poniatowskiego z Warszawy do Petersburga, w ostatnich latach jego życia. Po klęsce pod Maciejowicami i wzięciu do niewoli Tadeusza Kościuszki (10 października 1794 roku) naczelnikiem powstania zostaje Tomasz Wawrzecki. Wojska rosyjskie i pruskie oblegają Warszawę w której wraz z dworem przebywa Stanisław August. 3 listopada ulubieniec carycy, Aleksander Suworow, dokonał rzezi Pragi. Powstanie upadło. W Polsce Suworow konsekwentnie wykonywał rozkazy carycy :aresztowania, egzekucje i konwiskaty mienia. Król próbował wstawiać się za powstańcami pisząc kolejne listy do Katarzyny. Oczywiście bezskutecznie. Co więcej, 5 stycznia 1795 roku, na rozkaz carycy król siłą został zmuszony do wyjazdu do Grodna. Król mógł się wtedy bronić jedynie łzami i wymówkami, co jednak na carskich oficerach nie zrobiło większego wrażenia. Caryca upokorzyła swojego kochanka i majestat Rzeczypospolitej, czyniąc polskiego króla de facto swoim więźniem. Nie był to jednak koniec upokorzeń. 25 listopada 1795 roku, w dzień, a jakże, św. Katarzyny, i w 31 rocznicę swojej koronacji, Stanisław August został zmuszony do podpisania „dobrowolnej” abdykacji. . . . za co caryca zapewniła mu utrzymanie i pensję. Wielu historyków zgadza się w ocenie, iż odmowa „dobrowolnej” abdykacji, mogła być pochyta jako protest króla i uratowanie honoru. Tak się jednak nie stało.

Tymczasem od 6 stycznia 1796 roku na Zamku Królewskim i w Łazienkach zaczęli panoszyć się Prusacy, którym w podziale łupów przypadła Warszawa ( do roku 1807 ). Śmierć carycy w 1796 roku nagle odmieniło położenie Poniatowskiego. Paweł I, który swojej matki

nienawidził, uwolnił Tadeusza Kościuszkę, Niemcewicza i innych przywódców insurekcji 1794 r. Zaprosił on też do Petersburga Stanisława Augusta. Oczywiście takiemu zaproszeniu król nie mógł odmówić... W petersburskim Pałacu Marmurowym monarcha zamieszkał w marcu 1797 roku. Pałac Marmurowy stał się dla Poniatowskiego też rodzajem więzienia tyle, że w wykwintnej formie. Król ustawicznie zapraszany był do uczestnictwa w „uciążliwych dla starszego człowieka, carskich balach, ucztach i zabawach. Czyżby polski monarcha przydawał splendoru carowi Pawłowi I? Z pewnością tak, choć petersburska ulica szeptała, że nie tylko o to chodziło...

Zastanawiające, jak na rosyjskiego cara, uwolnienie przywódców insurekcji, w tym Tadeusza Kościuszki, któremu nadto car wypłacił 60 tys rubli! Nigdy przedtem, ani potem taka łaskawość ze strony Rosji wobec „buntowników” nie miała już miejsca. Wiadomo, że car nienawidził swojej matki, ale czy tylko dlatego wobec udręczonych Polaków zaczął być tak szczodry? Czy chciał jedynie na złość zrobić swojej nieżyjącej rodzicielce? Czy były też inne przyczyny jego postępowania?

Nad trumną Poniatowskiego Paweł I uronił niejedną łzę, a pogrzb polskiego monarchy był prawdziwie „carski”. Petersburska ulica już wcześniej szeptała, że Paweł I wierzył, iż Poniatowski był jego ojcem, a stosunek cara do Poniatowskiego i Polaków, miał te przypuszczenia jedynie potwierdzać. Pamiętajmy, że Poniatowski miał z carycą dziecko, które przedwcześnie zmarło. W Petersburgu nie było to tajemnicą. Paweł I najprawdopodobniej jednak nie był synem Poniatowskiego.

Historycy dowodzą, iż ojcem Pawła I był inny kochanek carycy, przystojny adiutant cara Piotra III, Sergiusz Sałtykow. Czy lepiej być synem adiutanta, czy też potomkiem polskiego króla, uważanego za jednego z najbardziej wykształconych monarchów ówczesnej Europy? Pytanie wydaje się należeć do kategorii retorycznych.

Wróćmy jednak do rozmowy Pawła I i Stanisława Augusta z 1 lutego 1798 roku. Biorąc pod uwagę fakt, iż Paweł uważał się za syna Poniatowskiego, mogła to być rozmowa serdeczna Poniatowski jest po niej wyraźnie podekscytowany, wręcz szczęśliwy. Zapowiada rychły powrót do Warszawy, dodaje przy tym, że „imię Polski odzyska blask” (sic!).

Warto zwrócić uwagę, że od 1796 roku Warszawa znajduje się w pruskich rękach. Co więcej Prusacy z pewnością z dużym niepokojem patrzyli na uwolnienie przez Pawła I przywódców kościuszkowskiej insurekcji, którą sami tak gorliwie pomagali dobijać. Sam Paweł I powiedział uwolnionemu przez siebie, Ignacemu Potockiemu (marszałkowi Sejmu): „Zawsze byłem przeciwny podziałowi Polski, był to krok równie gorszący, jak niepolityczny”.

W przypadku Pawła I, o którym mówiono, że kieruje państwem jak pijany woźnica powozem, wszystko było możliwe. Był on władcą nieobliczalnym i jeśli tylko miał taki kaprys, mógł chcieć odrodzenia polskiej państwowości.

Sam panowanie Pawła I Romanowa nie trwało długo. Jak się okazało napis, który Paweł rozkazał wykuć na grobie Poniatowskiego, (...) król Polski, wymowny przykład zmienności doli” okazał się proroczy także w stosunku do rosyjskiego cara. Historia zatoczyła tragiczną koło – mąż i syn Katarzyny, Piotr III i Paweł I nie odeszli z tego świata na własne życzenie. Życie syna Katarzyny I zakończyło się tragiczną śmiercią w zamachu przygotowanym za wiedzą... jego syna Aleksandra.

Paradoksalnie to właśnie syn Pawła, Aleksander I,

car Wszechrusi, reaktywował po Kongresie Wiedeńskim 1815 roku „w ramach Imperium Rosyjskiego, Królestwo Polskie ze stolicą w Warszawie... Tym samym Aleksander I car Rosji i tytułarny król Polski przekreślił ważność konwencji petersburskiej (zawartej przez jego matkę przed 18 stoma latami) o wymazaniu z historii Europy nawet nazwy Polska!

Żyjący w czasach Stanisława Augusta, ksiądz Jędrzej Kitowicz, tak określił czasy i panowanie Stanisława Augusta: „Polacy terazniejsi wcale się do szabli nie porywają, idąc za swymi mistrzami (...). Chce on (król-J.M.) Polskę wślawić swoim panowaniem, ale tylko takimi dziełami, które nie śmierzają prochem.”

Wolność nie jest dana raz na zawsze. O wolność trzeba walczyć. W czasach Poniatowskiego Rzeczypospolitej Obojga Narodów bez zaciętej walki nie dało się uratować, zwłaszcza w otoczeniu tak „przyjemnych” sąsiadów.

Stanisław August egzystencję i rozwój Rzeczypospolitej widział w oparciu o carską Rosję, a ściślej, w oparciu o Katarzynę, tym bardziej, że to Katarzyna wyniosła go na tron Rzeczypospolitej. Były to jednak próżne rachuby. Stanisław August do końca wierzył w sentymenty i skrupuły Katarzyny, których caryca po prostu nie miała. Liczył się tylko interes Rosji. Nic poza tym. Podobnymi „wartościami” kierował się król Prus- Fryderyk Wilhelm III, który z pewnością wiedział o tym, że Paweł I darzy dużym szacunkiem polskiego króla. Dzięki szpiegom na dworze Stanisława Augusta w Petersburgu pruski król z pewnością dowiedział się o spotkaniu cara Rosji i polskiego króla, a zapowiedź powrotu Poniatowskiego do Warszawy nie wróżyło Prusom niczego dobrego. 10 dni po spotkaniu Pawła I z Poniatowskim polski król umiera w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Czy tym razem bulion był czymś doprawiony? Czy król został otruty? Na to pytanie zapewne już nigdy nie znajdziemy odpowiedzi. Król w chwili śmierci miał 66 lat, i był też schorowany. Jednak okoliczności jego śmierci do dzisiaj zastanawiają wielu historyków. Odbudowanie polskiej państwowości godziło w żywotne interesy Prus. Prusy musiałyby stracić sporą część polskich ziem. Czy w takim razie Prusy w wiadomy sposób postanowiły udaremnić zamiary Pawła I?

Zmienność doli nie opuszczała naszego monarchy nawet po śmierci a pogrzb w Petersburgu okazał się być jednym z trzech pogrzbów ostatniego króla Rzeczypospolitej. Co więcej, choć postać monarchy budziła wśród Polaków tak skrajne emocje, to jednak był on polskim królem i pochówek w odległym Petersburgu godził w majestat Rzeczypospolitej. Dlatego podjęta została nawet próba wykradzenia królewskiej trumny (sic!), co dla śmiałków skończyło się tragicznie. Wszystko to jednak temat na zupełnie nową opowieść...

*Tekst został opublikowany za zgodą autora (pierwotnie artykuł ukazał się na portalu PFG24.pl)*

\*Autor jest reżyserem filmu „Trzy pogrzeby ostatniego króla Rzeczypospolitej”

Nikt z dworu Stanisława Augusta nie musiał się zastanawiać komu mogło zależeć na pozbyciu się polskiego władcy...

# Róża Czacka a Żytomierz

Wszystko zaczęło się w stolicy  
guberni wołyńskiej

---







ojciec Święty Franciszek 28 października 2020 r. zatwierdził dekret Kongregacji Spraw Kanonicznych otwierający drogę do beatyfikacji Matki Róży, Elżbiety Czackiej, założycielki Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, która lata I wojny światowej spędziła w Żytomierzu. Był to dla niej czas swoistych rekolekcji. Pojawiła się myśl o podjęciu życia zakonnego oraz o powołaniu nowego zgromadzenia zakonnego, które służyłoby ludziom niewidomym. W 1917 roku Róża Czacka przyjmuje habit franciszkański i składa śluby wieczyste w III Zakonie św. Franciszka.

Róża Czacka urodziła się 22 października 1876 roku w Białej Cerkwi (obecnie Ukraina). Była córką Feliksa Czackiego i Zofii z Ledóchowskich, a także prawnuczką Tadeusza Czackiego (założyciela Liceum Krzemienieckiego) oraz bratanicą kardynała Włodzimierza Czackiego. W wieku 22 lat zupełnie straciła wzrok.

Własną ślepotę potraktowała jako wezwanie do zajęcia się innymi niewidomymi. Młoda, wykształcona, religijna dziewczyna rozpoczyna życie „po niewidomemu”. Uczy się alfabetu Braille’a, zapoznaje z najnowszymi osiągnięciami nauki o niewidomych, dużo podróżuje po Europie (m.in. do Francji, Austrii, Szwajcarii). W 1911 roku zakłada Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi.

Staraniem nowej instytucji powstają w Warszawie: ochronka, szkoła powszechna, warsztaty, biblioteka brajlowska oraz tzw. patronat, obejmujący na terenie miasta dorosłych niewidomych i ich rodziny.

„Trzy wojenne lata (1915-1918) spędziła Róża Czacka w Żytomierzu, który jako stolica diecezji łucko-żytomierskiej skupił uchodźców z całej niemal wschodniej połaci kraju.

Zamieszkała początkowo wraz ze swoją towarzyszką w domu bezhabitowych sióstr II Zakonu św. Franciszka. Był to zresztą okres po kasacie większości zgromadzeń zakonnych i zakazie noszenia habitów.

Róża Czacka myśli już wtedy o powołaniu specjalnego zgromadzenia, którego celem byłaby służba niewidomym. Odbywa samotny nowicjat pod kierunkiem swego spowiednika, profesora seminarium żytomierskiego, ks. Władysława Krawieckiego. Składa śluby zakonne przyjmując imię siostra Elżbieta. Kiedy zostaje cofnięty zakaz noszenia habitów, decyduje się obrać tę formę życia zakonnego i ten strój jako całkowicie jednoznaczny i ułatwiający pełne oddanie się Bogu. W 1917 r. za pozwoleniem władz kościelnych przyjmuje habit Zakonu św.

Trzy wojenne lata (1915-1918) spędziła Róża Czacka w Żytomierzu, który jako stolica diecezji łucko-żytomierskiej skupił uchodźców z całej niemal wschodniej połaci kraju. Zamieszkała początkowo wraz ze swoją towarzyszką w domu bezhabitowych sióstr II Zakonu św. Franciszka. Był to zresztą okres po kasacie większości zgromadzeń zakonnych i zakazie noszenia habitów. W 1917 r. za pozwoleniem władz kościelnych przyjmuje habit Zakonu św. Franciszka

Franciszka” – czytamy w książce pt. „Trwająca obecność. Matka Elżbieta Czacka i jej dzieło”.

W maju 1918 roku wraca do Warszawy jako siostra Elżbieta. Po uzyskaniu koniecznych pozwoleń przyjmuje kandydatki do nowego zgromadzenia, które od 1 grudnia 1918 roku zaczyna istnieć jako Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Jego charyzmatem staje się służba ludziom niewidomym i wynagradzanie za duchową ślepotę świata. Opiekunem duchowym Zgromadzenia i całego Dzieła zostaje ksiądz Władysław Kornilowicz.

W 1922 roku, dzięki otrzymanej darowiźnie kilku mórg ziemi w Laskach, Matka Elżbieta rozpoczyna budowę zakładu dla niewidomych. To tutaj stopniowo zostają przeniesione placówki dla niewidomych dzieci – szkoła i warsztaty; powstaje dom macierzysty Zgromadzenia.

Do wybuchu II wojny światowej, Laski kierowane przez Matkę Czacką stają się nowoczesną placówką dającą niewidomym wychowankom wykształcenie podstawowe i zawodowe, pozwalające na samodzielne i niezależne finansowo życie, przywracające im ludzką godność.

Laski stają się ośrodkiem duchowości franciszkańskiej, przyciągają ludzi poszukujących; są miejscem, gdzie cierpienie spowodowane brakiem wzroku, przyjmowane jest z męstwem i pogodą; gdzie na równych prawach współpracują ze sobą osoby niewidome, pracownicy świeccy i siostry zakonne.

We wrześniu 1939 roku, w czasie bombardowania Warszawy, Matka Czacka zostaje ranna w głowę i traci oko. Po powrocie do Lasek kieruje odbudową zakładu.

W 1950 roku rozpoczyna się trwająca do śmierci choroba Róży Czackiej. Przekazuje kierownictwo swojej następczyni i wspiera Dzieło modlitwą i ofiarą cierpienia. Matka Elżbieta Róża Czacka zmarła w opinii świętości 15 maja 1961 roku w Laskach. Została pochowana na cmentarzu, który znajduje się na terenie Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Laskach. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył kardynał Stefan Wyszyński, z którym współpracowała przez szereg lat.

Jej proces beatyfikacyjny na szczeblu diecezjalnym rozpoczął w grudniu 1987 kard. Józef Glemp, po czym 8 lutego 1988 Stolica Apostolska wydała zgodę tzw. nihil obstat na jego rozpoczęcie. Po zakończeniu części diecezjalnej, akta procesu zostały przekazane Kongregacji Spraw Kanonicznych do Rzymu, która 3 kwietnia 1998 po zapoznaniu się z tą dokumentacją wydała dekret o jego ważności. Na postulatora generalnego został wyznaczony ks. Sławomir Oder. W 2011 złożono tzw. positio wymagane w dalszej procedurze beatyfikacyjnej, a 9 października 2017 za zgodą papieża Franciszka promulgowano dekret o heroicznosci jej życia i cnót.

Źródło: Ekai.pl

„Trwająca obecność. Matka Elżbieta Czacka i jej dzieło”, Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, Laski 2018

# Pakt Piłsudski-Petlura

Spotkania Marszałka i Atamana w  
maju 1920 roku na Ukrainie

---





sojusz polsko-ukraiński w 1920 roku był przede wszystkim dziełem wybitnych przywódców obydwu narodów: Józefa Piłsudskiego i Symona Petlury. Kontakt korespondencyjny między nimi został nawiązany wiosną 1919 r. Spotkali się po raz pierwszy 9 grudnia 1919 r. w Warszawie. W ciągu następnych lat rozmawiali ze sobą wielokrotnie. Szczególny charakter miały ich spotkania w maju 1920 r. podczas „wyprawy kijowskiej”.

Czynnikiem wyróżniającym te wydarzenia był fakt, iż Petlura występował wówczas jako gospodarz, witający polskiego sojusznika na wyzwolonym terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej. Państwo to kilka miesięcy później zostało zniszczone przez bolszewików, ale wiosną 1920 r. istniała realna szansa na utrwalenie niepodległego bytu Ukrainy.

Przekazy źródłowe, którymi dysponujemy, są dosyć skąpe. Nie znamy szczegółów rozmów prowadzonych w cztery oczy przez obydwu przywódców. Zagadnienia omawiane przez nich, okoliczności i atmosferę tych spotkań możemy jednak w ogólnych zarysach odtworzyć na podstawie relacji świadków oraz opublikowanych listów i przemówień Marszałka.

Rozpoczęta 25 kwietnia 1920 r. „wyprawa kijowska” była efektem podpisanej w nocy z 21 na 22 kwietnia „umowy politycznej pomiędzy Polską i Ukraińską Republiką Ludową, popularnie określanej jako Pakt Piłsudski-Petlura. Rząd polski uznał prawo Ukrainy do niezależnego bytu państwowego, a granice między obu państwami określono wzdłuż rzeki Zbrucz i dalej na północ do Prypeci, pozostawiając po polskiej stronie Galicję i większą część Wołynia. W odezwie do mieszkańców Ukrainy Piłsudski zapowiadał jak najszybsze wycofanie wojsk polskich: „Z chwilą gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowiąc będzie mocen, żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów”.

Głównym problemem, który musieli rozwiązać sojusznicy była budowa niemal od podstaw administracji państwowej na wyzwolonych terenach i formowanie armii ukraińskiej. Władze URL napotykały przy tym na szereg przeszkód. Przede wszystkim brakowało odpowiednio przygotowanych kadr urzędniczych. Zadania nie ułatwiała z reguły bierna postawa ludności ukraińskiej, wynikająca ze zmęczenia trwającą od sześciu lat wojną. Również wkraczające Wojsko Polskie nie zawsze zachowywało się właściwie. Większość oficerów, pamiętająca walki toczące przeciwko Ukraińcom w Galicji lub będąca pod wpływem poglądów endeckich, nie rozumiała dalekosiężnych planów Piłsudskiego i potrzeby sojuszu z Petlurą. Ich samowola znacznie utrudniała współpracę z Ukraińcami. 6 maja 1920 r. Piłsudski pisał do premiera Skulskiego: „Wojsko staje się ciężarem coraz większym, drażniącym ludność i wzbudzającym coraz nieprzyjemniejsze uczucia”.

Marszałek uznał za konieczne omówienie tych kwestii z Petlurą. 3 maja przeniósł swoją kwaterę główną z Równego do Żytomierza, gdzie urzędował na dworcu w wagonie kolejowym. 4 maja w liście do żony Aleksandry informował ją: „Jutro odwiedzam suwerena nowego państwa – Petlurę, żeby go popędzić, by pracował szybciej”. Do spotkania doszło 5 maja w oddalonym o 50 kilometrów Berdyczowie. Symon Petlura przybył tam pociągiem z Kamieńca Podolskiego.

Jedyny znany opis tego spotkania pozostawił pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski. W swojej literackiej, niemal poetyckiej relacji, napisał:

„Ataman schodzi po stopniach wagonu, z głową lekko ku prawemu ramieniu przechyloną. Jest średniego wzrostu, dość krępy, złotowłosy, w granatowej świtce. Oczy jego błędzą po oficerach polskich i ukraińskich. Czuję, że w tej chwili my i oni chcemy jak najlepiej – na długo i na zawsze [...]. I to się właśnie wyraża w poważnym i sprężystym ukłonie wojskowym, wszystkich oficerów, którym ścielona jest cała droga Atamana od stacji aż do pociągu Naczelnego Wodza. Aż oto wyciągnęli ku sobie ręce i skłonili głowy do pocałunku. [...] A mnie się zdało, że w pocałunku tym, jak gdyby na wadze najczulszej zawisła zgroza wszystkiej krwi regimentarzy i atamanów, wszystkie ból długiej walki, ból dróg i bezdroży, pożaru i zniszczenia, umowy i rozłamu”.

Piłsudski nie był człowiekiem nadmiernie wylewnym, toteż forma, którą nadał spotkaniu z Petlurą, była zaskakująca dla Kaden-Bandrowskiego. Zdaniem prof. Włodzimierza Sulei „był to gest pojednania, gest czyniony przez reprezentantów dwu bratnich, ale i bratnią krwią splamionych narodów. Przez ludzi, którzy zrozumieli, iż w imię przyszłości pojednanie to, ponad cieniami przeszłości czynione, jest równoznaczne z wyborem nowej, trudnej, ale i jedynej dla obydwu narodów drogi”.

Nie znamy dokładnie treści rozmowy w Berdyczowie, ale z pewnością dotyczyła ona przede wszystkim spraw związanych ze stabilizacją sytuacji politycznej na wyzwolonych terenach Ukrainy oraz planów strategicznych na przyszłość. Następnego dnia, 6 maja 1920 r., Piłsudski napisał do premiera Skulskiego list, w którym zawarł swoje refleksje i wnioski wynikające z narady z Petlurą.

Wyraził w nim przekonanie, że „bolszewicy tracą cały prawy brzeg Dniepru aż do Morza Czarnego”. Armię ukraińską zamierzał skierować do ofensywy na Odessę. Zastanawiał się jak wykorzystać główny atut Petlury, czyli ukraińskie oddziały powstańcze działające na tyłach bolszewików: „Puszczone samopas niechybnie doprowadzą po dłuższym czasie do oczyszczenia Ukrainy od bolszewików, lecz za to kraj cały będzie niechybnie bardzo trudny do ujęcia w ręce, do jakich takich rządów”. W porozumieniu z Głównym Atamanem wydał zatem rozkaz „aby bandy z sprzed frontu odsyłano na tyły do oznaczonych z góry punktów, gdzie częściowo będą rozbrojone i odesłane do domów, częściowo wciągnięte do szeregów ukraińskiego wojska”.

Podczas spotkania 5 maja Piłsudski niewątpliwie domagał się od Petlury zintensyfikowania wysiłków w kierunku unormowania sytuacji na tyłach frontu. Stwierdził, że rząd ukraiński „pracować musi nad jakim takim skonsolidowaniem się, śpieszyć nadzwyczajnie przy ułożeniu najprymitywniejszych podwalin organizacji administracji”. W Berdyczowie ustalono także, że 16 maja Piłsudski odwiedzi Petlurę w Winnicy, dokąd w międzyczasie miały się przenieść władze Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Powitanie na dworcu kolejowym w Winnicy według wspomnień Stanisława Lisa-Błońskiego wyglądało bardzo uroczysto:

„Pociąg powoli się zbliża. Parowóz przestaje sapać i zatrzymuje się przed peronem. Kompania honorowa prezentuje broń. Orkiestra gra hymny narodowe: polski i ukraiński. Tysiące ludzi krzyczy: „Niech żyje!”



**Mirosław Szumiło,**

polski historyk,  
doktor  
habilitowany nauk  
humanistycznych

Niech żyje!” Okrzykom nie ma końca. Cóż za wzruszający, uroczysty moment! [...] Marszałek Piłsudski wita się z Atamanem Petlurą, z ministrami Rządu ukraińskiego, z wyższymi oficerami wojsk polskich i ukraińskich. Krótkie przemówienia na dworcu, wręczenie wiązanki kwiatów i odjazd do kwatery”.

Z tego powitania pochodzą słynne fotografie i film przedstawiający Petlurę i Piłsudskiego na dworcu kolejowym salutujących przez okna w salonce. Oprócz Petlury i jego sztabu przywódcę państwa polskiego oficjalnie witał prezydent miasta oraz przedstawiciele ludności ukraińskiej, polskiej i żydowskiej z Winnicy. Spotkanie z przedstawicielami organizacji kulturalnych, oświatowych i społecznych wszystkich narodowości odbyło się następnie w Sali Balowej budynku Rady Miejskiej.

Tam padły znamienne słowa Piłsudskiego:

„Polska i Ukraina przeżyły ciężką niewolę. Oba te kraje należą do tych, na których panował stały terror. Już dziecko uczono tutaj, aby trzymało na uwięzi swe myśli. Niewola i prześladowanie były stałym udziałem obydwu krajów. Wolna Polska nie może być istotnie swobodną, dopóki naokoło panuje wciąż hasło niewolniczego poddawania woli narodowej przemocy terroru. Polska, osiągnąwszy największy skarb na ziemi, tj. wolność, zdecydowała się odrzucić wszystko to, co wolności zagraża, jak najdalej od swych granic. I w błysku naszych bagnatów i naszych szabel nie powinniście widzieć nowego narzucania cudzej woli. Chcę, abyście w nim widzieli odbłyśnięcie swej wolności. Ataman wasz w pięknej swej odezwie obiecał zwołać jak najprędzej wolny sejm w wolnej Ukrainie. Szczęśliwym będę, kiedy nie ja – mały sługa swego narodu – ale przedstawiciele sejmu polskiego i ukraińskiego ustanowią wspólną platformę porozumienia. W imieniu Polski wznoszę okrzyk: Niech żyje wolna Ukraina!”.

### SOJUSZ POLSKO-UKRAIŃSKI

Józef Piłsudski i Semen Petlura w Stanisławowie, sierpień 1920 r.





Niejak w cieniu oficjalnego spotkania odbyła się następnie robocza konferencja Piłsudskiego z Petlurą i premierem rządu URL Izaakim Mazepą, na której mówiono o szarej rzeczywistości. Strona ukraińska przedstawiła Piłsudskiemu memoriał w sprawie unormowania relacji w terenie. Zwrócono w nim uwagę na nadużycia dokonywane przez oddziały Wojska Polskiego na Ukrainie: bezprawne rekwizycje i różne przykre incydenty w stosunkach między sojusznikami. Marszałek obiecał, że postara się wyeliminować te negatywne zjawiska.

Zamykającym punktem wizyty Piłsudskiego był uroczysty obiad wydany na cześć Marszałka w hotelu „Savoy” na ulicy Pocztowej (Sobornej). Opis tego zamkniętego dla publiczności spotkania zachował w pamięci obecny na nim Henryk Józewski, wówczas wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie ukraińskim :

„Pamiętam całą uroczystość. Rząd URL in corpore. Wyżsi dowódcy wojskowi. Uroczysty bankiet. Miejsce reprezentacyjne przy stole ustawionym w podkowie zajęli Petlura i Piłsudki. W pewnym momencie Petlura wstał i wygłosił na cześć Piłsudskiego dłuższe przemówienie. Petlura – wódz Ukrainy – przemawiał z niezwykłym talentem, mówił wzruszająco, z właściwą Ukraińcom uczuciowością, z połotem. Mówił o Piłsudskim, wodzu Polski, o ukraińsko-polskim braterstwie, o pomocy polskiej w walce o wolność Ukrainy. Słów Petlury słuchano z otwartym sercem. Nie było to urzędowe, formalne,

zdawkowe. Było w tym coś z tchnienia prawdy.

Po pewnym czasie głos zabrał Piłsudski. Słuchano go w największym napięciu – słuchano jak objawienia, jak wyroku. Piłsudski mówił o polsko-ukraińskim sojuszu, o braterstwie broni, o walce Ukrainy o wolność i pomoc w walce tej Polski, wreszcie o czekającym Ukrainę wysiłku utrzymania swej wolności, o gromadzeniu własnych sił w obronie przed atakami wroga”.

Z pewnością nie wszystkie problemy we wzajemnych relacjach zostały wyeliminowane, ale śmiało można stwierdzić, że spotkaniem Piłsudskiego i Petlury w maju 1920 r. towarzyszył duch pojednania polsko-ukraińskiego. Niestety zabrakło czasu dla umocnienia się Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kontrofensywa bolszewicka, przełamanie linii frontu przez Armię Konną Siemiona Budionnego i błędy polskich dowódców spowodowały, że już na początku czerwca rozpoczął się wymuszony odwrót sił sprzymierzonych z Ukrainy. Petlura nie zdążył sformować silniejszej armii, a „wyprawa kijowska” zakończyła się porażką.

Dziś, gdy toczy się niełatwy dialog polsko-ukraiński w kwestiach dotyczących historii, powinniśmy szczególnie pamiętać o dwóch wybitnych przywódcach, którzy wytyczyli szlak wiodący do porozumienia i pojednania.

*dr hab. Mirosław Szumiło  
dla Polskiego Centrum Medialnego „Jagiellonia”*

#### UROCZYSTE SPOTKANIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO NA PERONIE DWORCA KOLEJOWEGO W BERDYCZOWIE

5 maja 1920 r. marszałek Józef Piłsudski spotkał się w Winnicy z atamanem Symonem Petlurą, przywódcą Ukraińskiej Republiki Ludowej.



## POLSKOJĘZYCZNA TELEWIZJA VOD W ŻYTOMIERZU

- Pamięć historyczna. Filmy dokumentalne;
- Imprezy Polonijne. Wiadomości o życiu Polaków z byłych Kresów;
- Dziedzictwo. Zamki, pałace i kościoły z lotu ptaka.



PORTAL SPOLECZNO-POLITYCZNY

 **Jagiellonia.org**





**Projekt wspierany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów  
w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2021**



**Projekt „Polskie media na Ukrainie 2021-2022” realizowany  
przez Fundację Wolność i Demokracja**

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana  
z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.